POLITYKA I NASTROJE

Czy Polsce grozi fala antyamerykanizmu?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 9/312 25 LUTEGO–3 MARCA 2019

Ja, „olszewik" – Cenckiewicz wspomina śp. Jana Olszewskiego

SZUKAJ WYDANIA Z PORUSZAJĄCYM FILMEM FABULARNYM

Pio, Pio, Pio, Piątek! – niezwykła kariera naszego piłkarza

Izrael rozpoczął zimną wojnę z Polską

BENIAMIN NETANJAHU

MATEUSZ MORAWIECKI

ISSN 2269-8500

Nr indeksu 288829

Nakład: 80 tys. egzemplarzy

ALEKSANDRA GINTROWSKA | JULIA GINTROWSKA | PAULINA GROCHOWSKA | RENATA PRZEMYK
ŁUKASZ DRAPAŁA | MAREK PIEKARCZYK | JAKUB WOCIAL | KRZYSZTOF KILJAŃSKI
ORAZ ORKIESTRA POLSKIEJ FILHARMONII BAŁTYCKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

Niezapomniany koncert

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Do wierszy Zbigniewa Herberta

GDAŃSK

POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA IM. FRYDERYKA CHOPINA

18 MARCA 2019

GODZ. 20.00

Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego

BILETY DOSTĘPNE
W KASACH FILHARMONII BAŁTYCKIEJ

Bilety24
WWW.BILETY24.PL

WWW.GINTROWSKI.PL | /GINTROWSKI.PRZEMYSLAW | #GINTROWSKI

MECENAS KONCERTU: LOTOS

PARTNERZY: LOTTO, Poczta Polska, GDAŃSK

PATRONI MEDIALNI: trojmiasto.pl, Zarząd Transportu Miejskiego w Gdańsku, Do Rzeczy, wprost

eprasa.pl de79146524

W RZECZY SAMEJ

Prawdziwą stawką jest Sejm

PAWEŁ LISICKI

Im bliżej wyborów do Parlamentu Europejskiego, tym więcej sondaży i tym mniej wiadomo. Według tego, który zamówiło w Instytucie Badań Rynkowych i Społecznych Radio Zet, zjednoczona opozycja wygrałaby z PiS. Zgodnie z tymi badaniami gdyby przeciw PiS wystartowali razem w jednej koalicji PO, Nowoczesna, SLD, PSL, Zieloni i ugrupowanie Barbary Nowackiej, to zdobyliby 38,5 proc., podczas gdy PiS mógłby liczyć na 34,7 proc. głosów. Dziwne to bardzo wyniki i całkiem odmienne od tych, które nie tak dawno opublikował CBOS. W ogóle coraz częściej mam wrażenie, że w zależności od tego, czego oczekuje zleceniodawca, takie wyniki otrzymuje. Nie zmienia to faktu, że polityczna wojna o Parlament Europejski powoli się rozkręca. I, co widać, PiS rozumie jej znaczenie.

Nie chodzi tu bowiem o synekury dla zasłużonych, jak twierdzą niektórzy komentatorzy, ani o ucieczkę do Brukseli, jak kpią przeciwnicy, ani o dość niejasny wpływ, który wprowadzenie paru posłów więcej będzie miało na politykę PE. Stawka jest inna i jest nią tak naprawdę zwycięstwo w październikowych wyborach do Sejmu. Dlatego właśnie na listach PiS pojawiło się tyle znanych i ważnych polityków, na czele z Joachimem Brudzińskim, Beatą Szydło, Beatą Mazurek czy Adamem Bielanem. Ich obecność ma pokazać elektoratowi, że dla rządzących to ważne wybory i nie wolno ich przespać. Powszechnie rozpoznawalne nazwiska mają stać się kluczem do sukcesu. Najlepszym potwierdzeniem trafności tej strategii są kąśliwe uwagi oponentów.

Dla PiS kolejność – najpierw wybory do PE, a potem do Sejmu – jest wyjątkowo niewygodna. Dlaczego? Ponieważ słaby wynik w tych pierwszych, co jest przecież realnym scenariuszem, może łatwo przyczynić się do demobilizacji i kiepskich wyników w październiku. Chodzi tu przede wszystkim o psychologię, o wrażenie. O to, czy na początku czerwca PiS będzie mógł mówić, że idzie od zwycięstwa do zwycięstwa, czy będzie musiał tłumaczyć się ze słabości. Wiara w siłę też jest siłą – tego uczy polityczne doświadczenie. W pierwszym przypadku wybory do PE byłyby wstępem do wygranej w Sejmie, w drugim stawiałyby ją pod mocnym znakiem zapytania.

Dla wszystkich rządzących wybory do Parlamentu Europejskiego są trudne. Po pierwsze, wyborcy pozwalają sobie w nich na więcej. Opozycji, nawet słabej, łatwiej zatem zdobyć głosy sprzeciwu i niechęci. Po drugie, co już charakterystyczne dla Polski, jak pokazała druga tura wyborów samorządowych, sprawnie wywołana histeria może spowodować mobilizację antypisowskich wyborców, którzy pójdą głosować „przeciw PiS i za Europą", jakkolwiek byłoby to niedorzeczne. Po trzecie wreszcie, wybory do PE w większym stopniu interesują wyborców w średnich i dużych miastach, z natury rządzącej prawicy niechętnych.

Jednak i opozycja ma swoje kłopoty. Sumowanie elektoratów dobrze wygląda na papierze, jednak w rzeczywistości wcale nie musi dać spodziewanych efektów. W jaki sposób połączyć deklarujące przywiązanie do tradycyjnych wartości PSL z Zielonymi, SLD i Nowacką? I czym w ogóle różniłaby się taka koalicja od Wiosny Biedronia, która zresztą, co ciekawe, z sondażu na sondaż słabnie? Polityka „kupą, mości panowie", którą należałoby chyba zmienić na „kupą, mości panowie, panie i osoby płciowo niezidentyfikowane", może się zakończyć krachem i brato(siostro)bójczą wojną po ogłoszeniu list. Dlatego takie sondaże, w których wszystkich wrzuca się do jednego worka, można postrzegać jako instrument w ręku najsilniejszego gracza, PO. W ten sposób dyscyplinuje się resztę. Jednak czy to wystarczy? Czy da się zbudować formację i wygrać wybory na jednym, jedynym haśle, na tym, że jest się przeciw PiS? Czy takie spoiwo wystarczy? Bardzo bym się zdziwił.

Tym razem PiS pierwszy wystartował i pierwszy ogłosił listy do PE. To daje mu przewagę nad konkurentami. Czy wystarczającą, okaże się rychło. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl de79146524

TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DLACZEGO ŻYDZI NAS NIENAWIDZĄ
Jak żyć z antypolonizmem

20 ROZMOWA Z JACKIEM CZAPUTOWICZEM
JESTEM PRZEKONANY, ŻE ODNIEŚLIŚMY SUKCES

24 PAWEŁ LISICKI
ZWYCIĘSTWO IDEOLOGII

KRAJ

28 PIOTR SEMKA
WIOSNA, CZYLI KAŻDY WIDZI TO, CO CHCE WIDZIEĆ
Komu Biedroń solą w oku

32 ŁUKASZ WARZECHA
PRZEKOP NIEZGODY

36 KAMILA BARANOWSKA
FACHOWIEC OD WSCHODU

38 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ZASZCZUĆ KSIĘDZA

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SMAK HOMOPOLONEZA

KULTURA

46 PIOTR GOCIEK
OSCARY SUBIEKTYWNIE
Najlepsze filmy roku 2018

50 ROZMOWA Z PIOTREM GACKIEM
ZAGINIONA KRÓLOWA SEKSAPILU

52 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
BERLINALE 2019

53 ROZMOWA Z CZŁONKINIAMI ZESPOŁU TULIA
CHCĄ SIĘ DO NAS TULIĆ

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 WITOLD REPETOWICZ
GROŹBA ANTYAMERYKANIZMU
Waga sojuszu z USA

64 KS. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI
KOŚCIÓŁ KONTRA PEDOFILIA

HISTORIA

66 PIOTR ZYCHOWICZ
TECZKA BLAJCHMANA
Amerykańska wpadka dyplomatyczna

ŚWIAT

74 MAŁGORZATA WOŁCZYK
SKRAJNA KONIECZNOŚĆ
Eksplozja nowej hiszpańskiej prawicy

78 ROZMOWA Z DYREKTOREM INSTYTUTU WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ
WĘGRZY DALEJ INWESTUJĄ W RODZINY

EKONOMIA

82 STEFAN SĘKOWSKI
NA „LEŻAKACH" TRACĄ WSZYSCY
Czy polskie mięso jest zdrowe?

84 ROZMOWA Z PREZESEM ZARZĄDU KGHM
WIELKIE SPRZĄTANIE W KGHM

SPORT

86 ŁUKASZ MAJCHRZYK
ITALIA U STÓP PIĄTKA
Polak gwiazdą Serie A

O ZDROWIU

92 KATARZYNA PINKOSZ
DEBATY „DO RZECZY": CUKRZYCA, NIEWYDOLNOŚĆ SERCA

96 ROZMOWA Z MARCINEM CZECHEM
POTRZEBUJEMY LEKÓW Z POLSKI?

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (62), ZYCHOWICZ, KOPER (69), WARZECHA (77), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (100), CENCKIEWICZ (104), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (105), KATARYNA (106), ŁYSIAK (107)

eprasa.pl de79146524

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu głos w dyskusji o kontrowersyjnej książce opisywanej niedawno na naszych łamach, a także spojrzenie na szkołę, uczniów i rodziców nauczycielskimi oczyma. E-maile do działu „Listy" prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Wokół książki „Dalej jest noc" – Krzysztof Masłoń, Maciej Pieczyński, „DRz" 7/2019

Dobrze, że Panowie Krzysztof Masłoń i Maciej Pieczyński zwrócili uwagę na złe intencje, którymi kierowali się niektórzy autorzy monograficznych artykułów w dwutomowej publikacji „Dalej jest noc". Dla mnie najbardziej bulwersujący jest artykuł Dariusza Libionki. Dokonał on istotnego zafałszowania faktów z historii Polski i relacji polsko-żydowskich nawet z okresu sprzed II wojny światowej. Napisał, że w latach 1861–1862 w pow. miechowskim „pojawiły się hasła rozprawy ze szlachtą i Żydami wzorem Galicji" (t. 2, s. 24). Nawiązuje w ten sposób do krwawej rabacji w Galicji w roku 1846. Wiadomo, że w 1846 r. zrewoltowani chłopi pod przywództwem Jakuba Szeli zamordowali ponad tysiąc osób ze stanu szlacheckiego. Nie zamordowali nikogo ze społeczności żydowskiej. Co więcej, po wymienionych wydarzeniach przedstawiciele Żydów występowali w roli rozjemców między chłopami a szlachtą. Pisał o tym pozytywnym oddziaływaniu Żydów Majer Bałaban, żydowski historyk, w udokumentowanej pracy „Dzieje Żydów w Galicji i Rzeczpospolitej Krakowskiej 1772–1868", Lwów 1916 r., reprint: Szczecin 2015 r., s. 165–166. Pan prof. Dariusz Libionka, opisując wysiedlenie Żydów w okresie II wojny światowej z różnych miejscowości w pow. miechowskim, „zapomniał" przedstawić podstawowe dokumenty – zarządzenia (ogłoszenia) władz niemieckich, które zapowiadały wysiedlenie Żydów i... rozstrzeliwanie Polaków nie tylko za pomoc, lecz także jakąkolwiek styczność z wysiedlanymi Żydami.

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że pominięcie podstawowych dokumentów niemieckich jest celowym i zamierzonym działaniem.

Zapoznanie czytelników z wymienionymi dokumentami zmieniałoby istotnie przekaz ideowy wymienionego artykułu.

PS Niemieckie plakaty i obwieszczenia były zamieszczone w publikacji „Polacy – Żydzi 1939–1945" pod red. S. Wrońskiego i M. Zwolakowej, Warszawa 1981, ale D. Libionka najwidoczniej nie chce znać tych dokumentów. Wymieniona publikacja nie została też zamieszczona w bibliografii „Dalej jest noc". ***Janusz Woźnica***

Nauczyciel też człowiek

[...] Pracuję jako nauczyciel przeszło 20 lat. [...] Marzę o tym, by pracować nie więcej niż czterdzieści godzin tygodniowo. Właściwie nigdy nie policzyłam, ile czasu pracuję. W tygodniu – rzecz normalna. Ale jak oszacować pracę w weekend? Stawiam w semestrze średnio 12–14 ocen każdemu uczniowi, co oznacza przeszło 1300 ocen (zaznaczam, że żadna ze mnie rekordzistka). Za każdą z nich kryją się sprawdzian, wypracowanie, kartkówka, recytacja, praca domowa, projekt itp. [...]

Do tego dochodzą kontakty z rodzicami... To odrębny rozdział. [...] przecież rodzic zna się na wszystkim. Wie, jak należy uczyć biologii, matematyki, fizyki, polskiego, angielskiego czy historii. I dzieli się tą swoją „wiedzą" z nauczycielem, umieszczając wpisy w dzienniku elektronicznym. Ich lektura kosztowała mnie kilka nieprzespanych nocy. Przyjęłam więc taką taktykę, by wiadomości od rodziców czytać tylko rano. Niektóre z nich są naprawdę osobliwe, np. graniczą z hejtem [...].

Rodzice są przekonani, że mają cudowne i wyjątkowe dzieci. Nie przeczę, że tak jest. Ale nauczyciel widzi to cudowne i wyjątkowe dziecko w innym kontekście niż rodzic – w grupie rówieśniczej. A to zmienia postać rzeczy. Czasami zdarza się tak, że jakiś wrażliwy i inteligentny chłopiec staje się w klasie specjalistą od dręczenia słabszych od siebie, a filigranowa, efemeryczna blondyneczka – mistrzynią w snuciu intryg. [...]

I.M., nauczyciel jednej z warszawskich szkół

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress)
Współpraca: **Marek Budzisz**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Andrzej Hulimka/Forum, Mateusz Jagielski/East News, oprac. graf: JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu wydania podstawowego 288829
Nr indeksu wydania z filmem 296430
Nakład 80 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl de79146524

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Opowieści wujka Donka

Mamy za sobą kolejną polityczną pogadankę Donalda Tuska. Zbawca z Brukseli raczy nimi swoich polskich fanów w półtoramiesięcznych odstępach. I tak jak wyrafinowany uwodziciel stopniuje napięcie, powoli ukonkretnia obietnice. Zawsze wybiera okazje, przy których nikt nie może zadać mu niewygodnego pytania. Albo przemawia na spotkaniach ludu platformerskiego, albo idzie do ulubionego TVN, gdzie dziennikarki spijają mu z ust polityczne mądrości. Tym razem w rozmowie z Katarzyną Kolendą-Zaleską Tusk ogłosił w końcu, że chce być patronem politycznego Ruchu 4 Czerwca, który odsunie PiS od władzy. Po raz kolejny od czasu listopadowego wezwania do walki z „nowymi bolszewikami" użył agresywnego tonu konfrontacji. Tym razem ogłosił: „Nie będę udawał, że to nie moja wojna czy że to nie moje wybory". Jednocześnie pospieszył z uspokajającymi deklaracjami, że Polsce nie potrzeba żadnej nowej partii. Na koniec zwierzył się z wystudiowanym oburzeniem, że obsesja Jarosława Kaczyńskiego na punkcie pieniędzy głęboko nim wstrząsnęła. W kwestii startu w wyścigu prezydenckim nie opowiada się jednoznacznie.

Jakie pytania nasuwają się po tej rozmowie? Pierwsze: Na jakiej podstawie ma powstawać nowych Ruch 4 Czerwca? Nie ma już zbyt wielu ludzi niezaangażowanych w ruch antykaczyzmu. Ostatnich stojących obok polityki wyciąga z apolityczności partia Wiosna. Kto ma udzielać nowemu ruchowi biur, telefonów i pomocy logistycznej? Platforma? Grzegorz Schetyna musi mieć świadomość, że nowy ruch może posłużyć Tuskowi do wysadzenia go z siodła w jego partii i intronizowania za jakiś czas np. Rafała Trzaskowskiego.

Jeśli Ruch 4 Czerwca ma powstawać na podstawie samorządów, to pytanie, kogo ma objąć. Owszem, w Gdańsku czy Poznaniu prezydenci miast nauczyli się już wchodzić w rolę polityków. Ale gdzie indziej? I kolejna kwestia – jak do Tuska odniesie się ruch Biedronia.

Tusk chce sprawdzić, jak Wiosna wypadnie w eurowyborach. Jeśli osiągnie słaby wynik, to zlekceważy najsłynniejszego polskiego geja. Jeśli Biedroń zdobędzie dobry wynik, wówczas będzie chciał na jesień stworzyć wspólny front ludowy dla obalenia PiS pod swoim patronatem. Pytanie, czy lewicowcy z Wiosny ulegną tym zachętom? Jeśli poczują się silni sukcesem w maju, to do kolejnych wyborów też będą chcieli pójść pod własnym szyldem. I ostatnie pytanie: Czy da się tworzyć taki ruch na dystans, z Brukseli?

Nie jest też pewne, czy charyzma Tuska sprawdzi się na nowo. Czy jego styl – raz kokieteryjnych uśmiechów, raz grożenia wojną – nie wywoła odpychającego wrażenia. Co innego raz na jakiś czas prowadzić wywody przed uległą dziennikarką, a co innego wrócić na brutalny ring polskiej polityki.

I czy młodzież jeszcze kupi 60-latka wymachującego europejskim sztandarem? Symbol wyborów 4 czerwca 1989 r. jest czytelny dla pokolenia Solidarności. Czy skusi millenialsów? Tusk jest jak bokser, który po długiej przerwie ma znowu wejść na ring. Dawna sława każe traktować go z respektem. Gwarancji, że uda mu się powtórzyć sukcesy sprzed lat, jednak nie ma. I on też o tym dobrze wie. ©℗

FOT. KRZYSZTOF MYSKOWSKI/KFP

AWANTURA O POMNIK

Trzech mężczyzn przewróciło w Gdańsku pomnik ks. Henryka Jankowskiego. Ich akcję dokumentował filmem dziennikarz Tomasz Sekielski. Przewracający pomnik byli w przeszłości aktywnymi członkami ruchu Obywatele RP. Pusty cokół pomnika został później zdewastowany – namazano na nim m.in. słowa: „pedofil" i „zło". Do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy" nie było wiadomo, co stanie się z pomnikiem. Władze Gdańska zapowiedziały, że monument zostanie ustawiony ponownie na cokole. ***(luz)*** ©℗

DONIESIENIE NA TIMMERMANSA

W Rumunii do specjalnej sądowej sekcji ds. ścigania przestępstw wpłynęła skarga, w której wymieniono m.in.: wiceszefa Komisji Europejskiej Fransa Timmermansa i unijną komisarz ds. sprawiedliwości Věrę Jourovą. Według rumuńskich mediów jest podejrzenie, że urzędnicy pracujący nad raportem w ramach współpracy i weryfikacji złamali prawo. W raporcie tym Komisja Europejska zarzuciła Rumunii cofanie procesu walki z korupcją i oddalanie się od niezależności sądownictwa. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl de79146524

Lawendowa Warszawka

„Kiedyś jeszcze będziemy płakać po HGW" – mawiał pewien mój bardzo katolicki kolega. I wygląda na to, że to właśnie – przynajmniej w Warszawie – nadchodzi ten moment. Rafał Trzaskowski, w odróżnieniu od Hanny Gronkiewicz-Waltz, postanowił zupełnie wprost wspierać ruchy LGBTQWERTY i podpisać z nimi kartę LGBT+. Co z tego wynika?

Otóż od teraz w Warszawie będziemy mieli hostel dla prześladowanych gejów, centrum kultury gejowskiej, pełnomocnika ds. praw osób LGBT w warszawskim ratuszu, szkolenia z tolerancji dla dzieci, a także – tak, tak – pomoc dla gejowskich czy transseksualnych drużyn sportowych. Na razie drużyn takich nie ma, i niewiele wskazuje na to, by miały powstać, nie jest też jasne, kto miałby podziwiać ich występy, ale dofinansowanie ma być.

I wszystko to byłoby dość śmieszne, można by kpić, że PO za Trzaskowskiego przesuwa się skrajnie w lewo, gdyby nie pewien drobny, ale istotny szkopuł. Otóż tak się składa, że przed wyborami

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

kandydat na prezydenta z PO karty owej nie podpisał, a teraz tak. Dlaczego tak się stało? Nie sądzę, by powodem była obawa o wynik wyborów, tak się bowiem składa, że Trzaskowski od początku startował z założeniem, że wiceprezydentem będzie człowiek, który ze swojego homoseksualizmu uczynił znak rozpoznawczy. A skoro tak, to zakładał, że stosunek do tych spraw mu nie zaszkodził. I nie zaszkodził. Najwyraźniej jednak wówczas z badań nie wynikało jeszcze, że można pójść o krok dalej, że można zacząć nie tylko korzystać ze wsparcia LGBT, lecz także zacząć otwarcie i za publiczne pieniądze wspierać. Teraz chyba już tak jest. I stąd tak jasna deklaracja.

Co z tego wynika dla ludzi o konserwatywnych poglądach? Otóż w Polsce zachodzi dokładnie ten sam proces urabiania opinii publicznej, budowania wsparcia dla postulatów gejowskich, z jakim mieliśmy do czynienia na Malcie czy w Irlandii. Trzaskowski nie jest jego promotorem, a jedynie kimś, kto chce z niego skorzystać. My więc, zamiast natrząsać się z niego, powinniśmy poważnie przemyśleć strategię odwojowania pola, które zawłaszczyły już ruchy LGBT. ©℗

Tomasz P. Terlikowski

REKLAMA

eprasa.pl de79146524

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Polityka „po taniości”

Gdy swego czasu rząd PO-PSL przedłożył francuskie śmigłowce Caracal nad amerykańskie, ale produkowane w Polsce blackhawki, ówczesny prezydent Bronisław Komorowski z właściwym sobie wdziękiem zasugerował, że lepiej wykosztować się na sprzęt lepszy, niż kupować tanie krajowe badziewie. Obecnie wywodzący się z tej samej partii prezydent Warszawy używa argumentu odwrotnego w sprawie stołecznych tramwajów: te koreańskie są po prostu tańsze niż krajowe, z bydgoskiej Pesy. A miasto ma wiele budżetowych potrzeb – musi sfinansować hostel dla prześladowanych LGBT, etaty dla pełnomocników LGBT w każdej szkole, kluby sportowe LGBT etc.

Pod względem ceny nie tylko Pesa, lecz także żadna polska firma rywalizować z koreańską nie może

W istocie pod względem ceny nie tylko Pesa, lecz także żadna polska firma rywalizować z koreańską nie może. Wynika to z prostej sprawy: Korea Południowa nie należy do Unii Europejskiej. Nie musi w związku z tym ponosić kosztów, które wynikają z unijnych zaleceń dotyczących prawa pracy – w ramach wielkiej prosocjalnej reformy skrócono tam ostatnio czas pracy do 52 godzin tygodniowo, co zresztą wywołało niezadowolenie pracowników, bo proporcjonalnie ograniczono pensje. Koreańska firma nie musi odprowadzać składek na różne ZUS-y (jakimkolwiek ubezpieczeniem objęta jest tylko jedna czwarta jej aktywnych zawodowo mieszkańców) ani w żadnej innej formie zapewniać „sprawiedliwości społecznej”, nie musi utrzymywać związków zawodowych ani tolerować inspekcji BHP, a i podatki płaci mniejsze, niż gdyby musiała utrzymywać liczne urzędy pilnujące, czy przestrzegane są europejskie normy.

Jeśli polityk do bólu „proeuropejski” i straszący rzekomym PiS-owskim „poleksitem”, który wedle głosów dochodzących ze środowisk „totalnej opozycji” przymierzany jest na przyszłego lidera partii i premiera przy prezydencie-reemigrancie Tusku, powiada polskim pracownikom, że są za drodzy, tak jak Komorowski mówił im, że nie potrafią robić rzeczy jakościowych, to jest albo bezczelny, albo kompletnie… hm… niezorientowany. Albo bycie w narzucającej „bezpieczeństwo socjalne” Unii jest dobre, ale dobrze jest produkować tanio. Jeśli lepiej tanio – to warto przemyśleć bilans zysków i strat z Unii. Ale być w UE, a publiczne zamówienia dawać do państw – jak to zwą w Brukseli – „socjalnego dumpingu” to kpina. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Komuna Warszawa

W grudniu 1984 r. w niewielkiej Włoszczowie blisko 200 uczniów Zespołu Szkół Zawodowych im. Staszica wspartych przez ks. Marka Łabudę przez ponad dwa tygodnie – mimo gróźb ataku ZOMO – okupowało szkolne pomieszczenia. Młodzi ludzie świadomi represji, które na nich spadną, protestowali przeciw decyzji komunistycznych władz o usunięciu krzyży ze szkolnych pomieszczeń.

Blisko 30 lat później – jak informuje „Nasz Dziennik” – decyzją lewicowo-liberalnych władz Warszawy krzyże, symbol wiary naszej i naszych ojców, mają zniknąć z większości pomieszczeń szkolnych w stolicy, a ma temu towarzyszyć ograniczenie godzin nauczania religii, co – jak twierdzi gazeta – postuluje wiceprezydent stolicy Renata Kaznowska. Pretekst jest wygodny – rzekome problemy związane z reformą edukacji. Paradoksalnie kłopoty związane z „kumulacją roczników” mające być powodem do rugowania lekcji religii ze szkół nie przeszkadzają władzom Warszawy w podpisywaniu dokumentów nakładających na nie zobowiązania do wprowadzenia w szkołach zajęć propagujących gender i LGBT.

O tym, jak stolica skręca w lewo, a ekipa prezydenta Trzaskowskiego realizuje postulaty skrajnie lewicowych, zideologizowanych grup, w tym lobby LGBT, informowaliśmy dużo wcześniej, nim zaniepokoiło to naszych przyjaciół z pewnego prawicowego tygodnika. Co jednak w tym najsmutniejsze – 30 lat po tym, jak młodzież, broniąc praw do wolności religii, sumienia i wyznania, sprzeciwiła się komunistycznej władzy, do ograniczania (czytaj – rugowania) religii i krzyży ze szkół zabrali się przedstawiciele koalicji, która tak chętnie na polityczny użytek szermuje hasłami o demokracji i wolności. Ot, chichot historii. ©℗

eprasa.pl de79146524

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl de79146524

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Zdradzić naród

Wielokrotny premier Włoch Giulio Andreotti mawiał: „Wiem, że mówić o kimś źle to grzech, ale niemal zawsze człowiek ma rację". Podobnie sprawy się mają z włoską superpostępową Partią Demokratyczną. Cokolwiek byś o niej złego powiedział, zawsze się sprawdzi. A bywa, tak jak ostatnio, że postępowcy głupotą zaskoczą nawet swoich największych krytyków.

I cóż robi włoska Partia Demokratyczna? Przeprasza Macrona i wywiesza przed swoimi siedzibami francuskie flagi

Ku rozpaczy satyryków i żalowi prześmiewców po obu stronach Alp włosko-francuska awantura się skończyła. Ambasador Francji, wezwany na konsultacje do Paryża, powrócił do Rzymu. Konflikt wywołał prezydent Francuzów Emmanuel Macron. Bijąc rekordy hipokryzji, powiedział, że od nieludzkiej, nieodpowiedzialnej polityki imigracyjnej Włoch zbiera się na wymioty. Chodziło o to, że Włosi przyjęli statek z przybyszami dopiero wtedy, gdy część z nich zgodziły się przyjąć inne kraje unijne. W tym samym czasie Francja zawróciła do Włoch 20 tys. głównie afrykańskich migrantów. Zaraz potem Macron zdiagnozował u Włochów trąd populizmu, którym mieli się zarazić od rządzących obecnie szefów Ligi i Ruchu Pięciu Gwiazd, „niegodnych, by przewodzić krajowi o tak wspaniałej historii".

Włoscy wicepremierzy nie pozostali dłużni. Luigi Di Maio stwierdził, że Francja prowadzi w Afryce politykę neokolonialną, przyczyniając się do masowej imigracji, i pojechał do Paryża bratać się z „żółtymi kamizelkami". Matteo Salvini przypomniał, że Francja nie chce wydać Italii terrorystów Czerwonych Brygad. Macron się obraził i wycofał swego ambasadora.

Słowem, dyplomacja godna Króla Maciusia Pierwszego. Niemniej Włosi poczuli się dotknięci do żywego. I cóż robi włoska Partia Demokratyczna? Przeprasza Macrona, wywiesza przed swoimi siedzibami francuskie flagi i puszcza z głośników „Marsyliankę".

Dziennik „Libero" radzi, żeby włoscy postępowcy jako uchodźcy polityczni wyemigrowali do Francji i tam wystartowali w wyborach, bo w Italii nie mają szans. Obawia się jednak, że Macron ich zawróci do Italii tak jak Afrykanów. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Niezły kanał

Budowa przekopu przez Mierzeję Wiślaną kolejny już raz uruchomiła u naszych sąsiadów pokłady troski o przyrodę. Na straży drzewostanu stanęły również demokratyczne media i opozycja. Wysłuchajmy ich argumentów. „Kanału zbudować na szczęście nie zdążą. Ale wyciętym drzewom życia nikt nie zwróci. Mierzeja Wiślana przez dekady będzie nosiła ranę po rządach PiS. Przykre" – stwierdził Mikołaj Chrzan, szef redakcji regionalnych „Gazety Wyborczej".

Z godziny na godzinę sytuacja gęstniała. „Harwestery przeniosły się z Puszczy Białowieskiej na Mierzeję Wiślaną. Karczują las pod przekop, który ma łączyć Bałtyk przez płytki zalew z nieistniejącym portem Elbląg. Deweloper z Żoliborza poprawia przyrodę!" – alarmował europoseł Janusz Lewandowski.

„MASAKRA!! Jaki obszar jest planowany do wycięcia???" – dramatycznie pytał Arkadiusz Myrcha. „Informujemy, że wycinka drzew obejmuje 23 ha lasu. Nadleśnictwo Elbląga w ciągu ostatnich 10 lat zalesiło 100x większy obszar. Wycinanie drzew przed okresem lęgowym ptaków to normalna procedura, np. przy budowaniu autostrad i dróg" – odpowiedział mu jednak bezduszny, zapatrzony w statystyki głos Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej.

„!!Wycinka drzew na Mierzei Wiślanej odbywa się bez wymaganej zgody na płoszenie zwierząt! Urząd Morski wystąpił o zgodę, ale wycinkę rozpoczął, nie czekając na jej uzyskanie" – nie dawała jednak za wygraną Agnieszka Pomaska. Broni nie złożyła nawet wtedy, gdy jeden z internautów, „Demaskator", przypomniał rzecz następującą: „Głosowanie nr 21 dnia 24.02.2017 ws. specustawy o Przekopie. Wśród imiennych wyników posłów PO widzimy, że głosowała Pani za, tak jak cały klub PO".

„To jeszcze raz, głośno i wyraźnie: port w Elblągu ma trzeciorzędne znaczenie dla gospodarki morskiej Polski" – argumentował do końca Mikołaj Chrzan. Głos sprzeciwu co do trzeciorzędności zgłosił jednak Kamil Dziubka z Onetu. „Naprawdę nie rozumiem. Robić rozwałkę mierzei dla pięciorzędnego portu". „Dokładnie. Przecież w Hamburgu jest port!" – podsumował złośliwie Sławek Jastrzębowski. ©℗

eprasa.pl de79146524

KONFERENCJA I GALA WRĘCZENIA NAGRÓD
POD HONOROWYM PATRONATEM

Ministerstwo Zdrowia

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WIZJONERZY ZDROWIA 2019

„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2019-23"

14 marca 2019 r. Warszawa

TYGODNIK „DO RZECZY" WŁĄCZA SIĘ W DYSKUSJĘ NAD KSZTAŁTEM SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA.

Podczas konferencji „Przyszłość ochrony zdrowia w Polsce 2019-23 – Wizjonerzy Zdrowia", poruszymy najbardziej palące problemy ochrony zdrowia

- Służba zdrowia dla pacjenta – jak awansować w europejskich rankingach ocen pacjentów.
- Czy Polskę stać na (nie)nowoczesne leczenie.
- Choroby XXI wieku: priorytety leczenia 2019-23.

Podczas uroczystej wieczornej gali nagrodzimy wybitne osobowości świata medycyny oraz systemu ochrony zdrowia, które zmieniają polską medycynę i opiekę nad pacjentami.

Informacje i zgłoszenia do nagrody na: dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY:

Polskie Towarzystwo Diabetologiczne

FUNDACJA OnkoCafe RAZEM LEPIEJ

Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych

ALIVIA dodajemy odwagi

Federacja Pacjentów Polskich

FUNDACJA CARITA

eprasa.pl de79146524

JAK TO HIPOKRYZJA?

Trzeba być Krystyną Jandą, by w odstępie ledwie kilkunastu godzin pochylać się nad cierpieniem zwierząt i jakby nigdy nic chwalić się spożywaniem foie gras – wykwintnej potrawy, której powstawanie jest tak kontrowersyjne, że w wielu krajach zakazane właśnie ze względu na dobro zwierząt.
„Siedzimy po »Boskiej!« w Krakowie w Hotelu Rubinstein i jemy cuda!!! To okoń z risotto z pietruszką! Jemy wolno, żeby przyjemność niebiańska trwała dłużej. Teraz będziemy jeść polędwicę wołową z foie gras i kasztanami! Deser, torcik z marakui z białą czekoladą, kumkwatem i maliną. Mniam! Na koniec czekoladki robione przez szefa kuchni!" – napisała na Facebooku Janda, zachwycona swoją kolacją. Jej fani tak zachwyceni już nie byli.
„O karpia i dziki się walczyło, dzisiaj pani się zajada tuczoną gęsią!" – krytykowali, zarzucając aktorce hipokryzję. Bez obawy! Jak będzie trzeba, to i przeciw foie gras pani Janda wystąpi. Niech no tylko PiS się za gęsi weźmie!

DOBRE STRONY SMOGU

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

Doda to kolejna już gwiazda, która uskarża się na wszechobecny smog, i narzeka, że kiepski stan powietrza przeszkadza jej w karierze. Pierwsza była aktorka Grażyna Wolszczak, która pozwała Skarb Państwa w tej sprawie i – co ciekawe – wygrała, teraz ma dostać od państwa 5 tys. zł zadośćuczynienia. Doda na razie poprzestaje na publicznych żalach w tabloidach. – Gdy wstałam rano przed poniedziałkowym koncertem urodzinowym, bałam się, że przez smog nie uda mi się zaśpiewać. Myślałam, że będę musiała wszystko odwołać. Na całe szczęście poszłam do lekarza i mnie trochę podratował. Kolejka do foniatry była bardzo długa. Smog zbiera obfite żniwo wśród wokalistów – dodaje. Czy to oznacza, że Doda może przestać śpiewać? Czyli są dobre strony smogu!

ZA GORĄCO? NIE GOTUJĘ!

Tak jak Dodzie przeszkadza w śpiewaniu smog, tak Magdzie Gessler w gotowaniu przeszkadza gorąco. – W studiach, w których pracuję, musi być zimno, i to jest moje zarządzenie – ujawniła w „Fakcie" znana restauratorka. – Uważam, że tam, gdzie się gotuje, musi być zimno, żeby czuć było wszystkie zapachy potraw. Bowiem ogień, przy którym gotujemy, nas obciąża. Gdy jest zimno, jesteśmy też mniej zmęczeni. Ale nie ukrywam, że po prostu jestem bardzo wrażliwa na gorąc i bardzo mi on przeszkadza – dodała Gessler. Jak to było z tą baletnicą i rąbkiem?

FOT. PAWEŁ GROMADA

ISABEL I KAZ, ODCINEK 47 805

Tymczasem Isabel Marcinkiewicz, która wciąż nie może ściągnąć od byłego męża zaległych alimentów, postanowiła zaapelować w tej sprawie do... Moniki Olejnik. Naprawdę. Doszła do wniosku, że skoro Kaz bywa częstym gościem jej programu, to redaktor Olejnik mogłaby przywołać go do porządku i pouczyć, że powinien przestrzegać prawa. „Jak on może i chce rozliczać innych z ich zachowań, krytykować ich, mówić o poszanowaniu prawa, gdy sam nie rozlicza się z własnych zobowiązań, nie przestrzega wyroku sądu (odnośnie alimentów), jest dłużnikiem alimentacyjnym? Dlaczego nie respektuje prawa? Kto jak kto, ale on?! Były Premier?! Coś tu nie gra!" – wylicza zdesperowana Isabel. Okazało się, że apel przyniósł skutek, choć nieco inny, niż się Isabel spodziewała. Była żona Kaza poinformowała, że po publikacji listu ktoś wpłacił na jej konto 3 tys. zł. Oznajmiła jednocześnie, że nie odpuści, bo to stanowczo za mało. Jak twierdzi, Kaz jest jej winien aż 100 tys. zł! Isabel będzie więc słać kolejne listy otwarte. Aż do skutku! Najpierw wyeliminowała Kaza z polityki, a teraz chce go wyeliminować z roli komentatora politycznego. Ta Isabel to musi być z PiS!

CNOTA SKROMNOŚCI

Edyta Górniak wystąpiła w programie „Agent – Gwiazdy", który niebawem zostanie wyemitowany na antenie TVN. Przy tej okazji została zapytana, jak odebrali ją pozostali uczestnicy programu. Odpowiedziała, że wszędzie, gdzie się pojawia, budzi tę samą reakcję. – Gdziekolwiek się pojawię, to wzbudzam ogromny respekt, albo ludzie są przerażeni, albo są niepewni względem mnie – wyznała piosenkarka. My też jesteśmy niepewni, ale głównie tego, czy Edzia rozumie, co oznacza słowo „respekt".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani. Wciąż nie wiemy, czy jesteśmy bardziej za Razem, czy bardziej za Wiosną, więc wciąż śledzimy medialne doniesienia na temat aktywności obu partii. Starcia te, co prawda niebezpośrednie, są emocjonującym i angażującym intelektualnie przeżyciem. I tak na przykład Robcio ostatnio skrytykował PiS, iż jego kandydaci do Parlamentu Europejskiego są wiekowo uposażeni, i nazwał ich dinozaurami. Z tego powodu na Robcia spadła fala krytyki, iż jest to gerontofobia (czyli po naszemu „ejdżyzm"), a on sam jest nietolerancyjny. Przez chwilę nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć, ale na szczęście przypomnieliśmy sobie, iż takie komentarze pod adresem PiS-u kasują się po trzecim. Czekamy więc, aż Robcio palnie jeszcze jakieś dwa przypadkowo dyskryminujące komentarze, a potem zapominamy o sprawie i licznik bije od początku xD

Z zawstydzeniem obserwujemy ostatnie dyplomatyczne przepychanki między tym krajem a Izraelem. Skąd się biorą przepychanki? No stąd, że ktoś nie chce ustąpić miejsca. Jest nam więc wstyd za ten kraj, który po raz kolejny nie potrafi się zmierzyć z arcybolesną przeszłością i obraża się za to, iż czasami ktoś przypomni, że antysemityzm to polskie niemowlęta nienawiści wysysają z mlekiem osobomatek. Jesteśmy ciekawi eksperymentu: gdyby zakazać w tym kraju karmienia piersią i nakazać stosowanie mleka modyfikowanego – czy jest szansa, iż z tego kraju zniknąłby antysemityzm? Warto byłoby spróbować. W Niemczech najwyraźniej się sprawdziło. Jak tylko po wojnie zniknęli naziści, to niemieckie postępowe noworodki z mlekiem matek zaczęły wysysać wartości europejskie i głęboki humanizm. I już wszystko jest tam w porządku xD

Przez moment była szansa, iżby udało się zrezygnować z obowiązkowej matematyki na maturze. Ten kraj nie zdał jednak egzaminu z nowoczesności i młodzi ludzie nadal będą przeżywać stres. Nic dziwnego, że w kraju, gdzie panuje tak potężny antyinteligencki klimat, prześladuje się młodzież tabliczką mnożenia. Ma to na celu zniechęcenie osobomaturzystów do studiów. Przypomnijmy, iż w tym kraju wciąż jeszcze nie 100 proc. obywateli może się pochwalić ekskluzywnym tytułem magistra. Średnia europejska jest tymczasem zapewne sporo wyższa, bo tam posiada się dyplomy kilku kierunków. Może więc chociaż uprościć maturę z matematyki, iżby nie dyskryminowała osób z niezdiagnozowaną, ale obecną dyskalkulią? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl de79146524

dwaj panowie g

Eurowybooory! Eeeeeurowybory! Kto kandyduje, a kto jest choryyyyy!". Tak, niniejsze wydanie rozpoczynamy okrzykiem gazeciarza, gdyż będzie głównie o manewrach wokół list.

Tak naprawdę to nie koniec, ale początek – również w PiS. Jedynki i dwójki są znane, ale zaczęła się łapanka kandydatów na dalsze miejsca, takich, co to mandatu nie wezmą, ale są na tyle znani, że poprawią ogólny wynik. Huragan przetacza się więc po rządzie, nie oszczędzając rozmaitych ministrów i wiceministrów. Na przykład Ela Rafalska ma być numerem trzy w Zachodniopomorskiem, za Achimem Brudzińskim i Cześkiem Hocem.

Zwolni się miejsce po starej komuszce Danucie Hübner, która zmieni drużynę na bardziej wiosenną

Inna sprawa, że niektórzy sami bardzo, ale to bardzo chcieli. Na przykład Grzegorz Tobiszowski. Chciał, chciał i wychodził dwójkę na Śląsku. Tylko biednego Patryka Jakiego nikt nie chce jakoś przygarnąć.

Wiewiórki mówią, że Patryk wzbudzał paniczny lęk u wszystkich innych kandydatów w Warszawie, lęk, który udzielił się także na Dolnym Śląsku i Górnym Śląsku. W efekcie zapewne będzie musiał kandydować w Małopolsce, gdzie umowa koalicyjna gwarantuje Solidarnej Polsce numer trzy na liście. No to teraz drwimy: Ale przecież Patryk jest już bezpartyjny, bo wystąpił z SoPolu. Zatem jak?

Głupia sprawa. W rządzie szok, bo Jojo Brudziński nikomu nawet się nie zająknął, że dokądś może się wybierać. No i kogo teraz zrobić ministrem spraw wewnętrznych? Przychodzi nam do głowy jedynie powrót niezniszczalnego Mariusza Błaszczaka.

Wszoku są też ci, którzy liczyli na koniec Richarda Henry'ego Czarneckiego. Jego zniknięcie z list w Wielkopolsce uznano za sygnał, że znika w ogóle. A ten wyskoczył na dwójce w Warszawie. Znamy aż dwie wersje opowieści, „jak do tego doszło".

Wersja 1, „antyprofesorska". Profesor Zdzisław Krasnodębski uważał, że jedyne miejsce, jakie licuje z jego profesurą, to jedynka. A że jedynką w Warszawie z mocy namaszczenia Kaczora Dyktatora ma być Saryusz-Wolski, trzeba było znaleźć Krasnodębskiemu inny okręg. To oznaczało przesunięcie Richarda z Wielkopolski.

Wersja 2, ogólnoantypisowska. Partia zawyła, słysząc znowu o Richardzie, bo uważa, że się już przez trzy kadencje wystarczająco nachapał i powinien ustąpić innym, głodniejszym. Kaczor Dyktator zatem niby partii ustąpił i Richard zniknął. A potem znów go wstawił, tylko gdzie indziej. Zgadnijcie, którą z tych wersji kolportuje sam Richard.

Przy okazji mamy od wiewiórek cudowny cytat z Nowogrodzkiej na temat układania list. Zirytowany rozmaitymi frakcjami nadającymi na siebie nawzajem i dezawuującymi konkurentów do miejsca na listach Kaczor Dyktator wygłosił takie oto zdanie zamykające dyskusję: „Na listach znajdą się osoby, które mają do tego kwalifikacje, a także osoby, które nie mają do tego kwalifikacji". Oczywiście wszyscy myślą, że należą do tej pierwszej grupy.

À propos kwalifikacji. Kogokolwiek bez kwalifikacji wystawiłby PiS, i tak nie wygra w tej kategorii z PeŁo. Wiemy, co mówimy, bo dwójką Koalicji Europejskiej w Warszawie ma być Ewka Kopacz z Szydłowca. Jedynkę zarezerwowano dla słynnego antykomunistycznego działacza opozycji, Włodka Cimoszewicza.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Co z innymi legendami antykomunistycznej opozycji? Leszek Miller ma być dwójką w Wielkopolsce, zaraz za Bronkiem Komorowskim. A Marek Belka ozdobą listy w Łodzi, tyle że nie na czele. Wszystko przez Peezel, co za chwilę wyjaśnimy w osobnej notce.

A było tak: Władek 2K, prezes Peezelu, dobił targu z Grzegorzem Ludojadem Schetyną. W zamian za wejście zielonych braci do Koalicji Europejskiej ludowcy mieli dostać trzy jedynki. W tym właśnie w Łodzi. Wtedy burzyć się zaczęła partia, że to zbyt mało. Stąd w minionym tygodniu rozmaite ostre wypowiedzi Sawickich i Zgorzelskich, że koalicja nie ma sensu. To się nazywa „taktyka negocjacji".

Wracając do tercetu egzotycznego Miller-Belka-Cimoszewicz. Nawet nie wyobrażacie sobie, jakiego szału w związku z ich przygarnięciem dostali rozmaici działacze PeŁo, zwłaszcza obecni eurodeputowani. Szczególnie ci, którzy będą musieli oddać swoje biorące miejsca czerwonej zarazie. Ich opinii, wyrażanych na offie, nie możemy cytować, bo to mowa nienawiści w czystej formie. Mamy jednak dla nich pocieszenie. Zwolni się miejsce po starej komuszce Danucie Hübner, która zmieni drużynę na bardziej wiosenną.

Z okazji konsumpcji poliamorycznego związku Schetyna-Miller-Cimoszewicz-Belka nie możemy sobie odmówić zacytowania fragmentu biografii Schetyny zamieszczonego 10 lat temu w „Wyborczej": „Przyjeżdża do Wrocławia z Opola na studia. Rozpoczyna prawo, ale kończy historię. Jako radykalny antykomunista angażuje się w działalność Solidarności Walczącej".

Przez chwilę będzie smutno i poważnie. Oto inny cytat: Antoni Mężydło, poseł PeŁo, nie kryje zadowolenia z sojuszu z komunistami i tłumaczy: „Głosuje się przeciwko komuś, a nie za wartościami". Antoni Mężydło, powtórzmy, porwany i torturowany przez speckomando Służby Bezpieczeństwa w czasach, gdy Leszek Miller pracował w KC PZPR. Panowie, może po prostu czas powiedzieć wszystkim, którzy buntowali się przeciw władzy w czasach PRL: byliście ostatnimi frajerami, a teraz pocałujcie nas wszystkich w odwłok.

eprasa.pl de79146524

Wracając do Zjednoczonej Prawicy. Obowiązuje już dyrektywa eurowyborcza. Czyli wszyscy siedzą cicho w kącie, a do mediów chodzą po pierwsze ministrowie, po drugie kandydaci. Także ci z dalszych miejsc. Dzięki drugiej części tej decyzji będziecie mogli sobie przez trzy miesiące przypomnieć o rozmaitych ludziach, o których długo próbowaliście zapomnieć.

Przy okazji: nie jest prawdą, jakoby premier Mateusz nie miał wpływu na listy. Odnotował parę drobnych sukcesów: wystawienie w Wielkopolsce Angeliki Możdżanowskiej, a w Łodzi Joanny Kopcińskiej to były jego osobiste propozycje. Niezbyt wiele, jak na nowego premiera tysiąclecia, ale od czegoś trzeba zacząć.

Cytat tygodnia (i prekampanii europejskiej). „Bój toczy się o wszystko. Wiemy, że Platforma Obywatelska zapowiada krwawą, polityczną wendetę na nas" – rzekł Adam Bielan. To jego najostrzejsze wystąpienie od czasu sporu z Misiem Kamińskim o to, kto jest lepszym spin doktorem.

Z tą krwawą wendetą to prawda. Chłopaki z Eine Totalopposition chodzą po mieście i mówią, że PiS złamał niepisany pakt istniejący od zarania III RP. Nazywał się „koty drzemy, ale do więzień się nie wsadzamy". Teraz, po zapudłowaniu Staszka Gawłowskiego i seryjnych zatrzymaniach rozmaitych byłych prezesów spółek, PeŁo dyszy żądzą zemsty.

Chłopcy z PeŁo mają już nawet wytypowanego kandydata do pierwszego spektakularnego aresztowania, kiedy przejmą władzę. To pewien szeregowy poseł PiS. Zarzut? Mataczenie w sprawie spółki Srebrna. Tak, nazwisko tego szeregowego posła brzmi: „Jarosław Kaczyński".

Teraz o innej liście. Nie do eurowyborów. Lista powstała w województwie śląskim. Aktualnie znajduje się na niej ok. 500 osób. To jedna trzecia pracowników śląskiego urzędu marszałkowskiego. Po przejęciu w sejmiku władzy przez PiS wszystkich dopadła ciężka choroba o skomplikowanej łacińskiej nazwie „strachosis przed zwolnienis z robotys". Jak się okazuje, katowiccy lekarze dają na to L4.

W cieniu wielkiej polityki kręcą się wielkie biznesy. W Totalizatorze Sportowym ścierają się dwie frakcje: patriotów i importerów. Ci ostatni są za tym, żeby kupić okazyjnie z Niemiec sporą partię automatów do gier, zwanych popularnie „jednorękimi bandytami". Cena jest okazyjna, bo maszyny nie spełniają niemieckich norm, a wyrzucić szkoda. Stąd pomysł, by niczym stare samochody wyeksportować złom do Polski. Frakcja patriotów jest jednak niechętna temu rozwiązaniu. Z przyczyn praktycznych: nikt nie chce być budzony o godz. 6 przez CBA. ©℗

REKLAMA

Prestige MJM · Gliwice · Arena Gliwice · Radio złoteprzeboje · Dziennik Zachodni · Dziennik Bałtycki · wprost · Rzeczy · Gitarzysta · Perkusista · WP · naszemiasto · trojmiasto.pl · cgm.pl · Multikino · Gold · Ströer · Vixon · pap · Press Service

eprasa.pl de79146524

Dlaczego Żydzi

Rafał A. Ziemkiewicz

Wpływowe środowiska Żydów amerykańskich oraz przywódcy Izraela w potęgowaniu nienawiści i głoszeniu pogardy dla Polaków znajdują obietnicę rozwiązania swoich problemów

Mam wiadomość, dla większości Polaków dobrą, a złą dla lewicowo-liberalnego salonu oraz części liderów żydowskich. Nie uda się w Polsce wskrzesić antysemityzmu. Pozostanie on dziedziną plotkarstwa, a nie polityki, marginesem życia publicznego, istniejącym w niej tylko o tyle, o ile jest przywoływany i nagłaśniany przez wspomniany salon, tęskniący za polskim antysemitą jak bezrobotny strażak za podpalaczem.

Mimo że sekwencja zdarzeń powiązanych z „antyirańską" konferencją w Warszawie wydaje się idealnie temu sprzyjać. Najpierw sekretarz stanu USA Pompeo, na dzień dobry, ledwie odwiesił płaszcz, nie podziękowawszy nawet za przysługę, jaką mu robimy, obcesowo pouczył Polskę, że mamy płacić Żydom za „mienie bezspadkowe", potem premier Izraela poniżył Polskę w publicznej wypowiedzi, a gdy w reakcji premier Morawiecki obniżył rangę delegacji na szczyt „V4 + 1", izraelski minister spraw zagranicznych pozwolił sobie na wypowiedź względem Polaków jawnie rasistowską i obelżywą. Nasze reakcje na nią wzbudziły w izraelskich mediach lawinę antypolskich napaści, podobnie jak było to po uchwaleniu nieszczęsnej nowelizacji ustawy o IPN – ukoronowaniem tego podgrzewania atmosfery był fake news agencji JTA o rzekomym niszczeniu w Polsce „w zemście za przypomnienie przez ministra Katza prawdy" żydowskich cmentarzy.

Otóż nie uda się w Polsce wskrzesić antysemityzmu, ponieważ, wbrew przekonaniu wyartykułowanemu kiedyś przez Sartre'a, antysemityzm nie jest namiętnością. Jak każde zjawisko społeczne ma i zawsze miał konkretne socjalne przyczyny.

Tę oczywistość powszechnie się przemilcza, być może dlatego, że w uwrażliwionych Holokaustem uszach powojennych elit intelektualnych wskazywanie realnych powodów nienawiści pobrzmiewało jej usprawiedliwianiem. Ale to nie jest usprawiedliwianie, tylko wyjaśnianie. Kto chce walczyć z antysemityzmem, powinien analizować przykłady historyczne pod kątem określenia jego przyczyn. Jeśli apriorycznie się od tego uchyla, cała jego walka jest, z przeproszeniem, o kant potłuc, a nawet gorzej – jest przeciwskuteczna i więcej z niej wynika nieszczęść niż uzdrowienia.

Łatwo było wzbudzić nienawiść do Żyda w polskim chłopie, który na każdym kroku czuł się przez żydowskiego pośrednika i lichwiarza wyzyskiwany i okradany. Jeszcze łatwiej w jego synu, który walczył o społeczny awans i wdarcie się do elitarnego zawodu, zdominowanego przez górujących nad nim kapitałem wzajemnych powiązań inteligentów żydowskiego pochodzenia. Łatwo było rozbudzać antyżydowskie

eprasa.pl de79146524

POSUBOTNIK

nas nienawidzą

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

nastroje we Francji czasów Dreyfussa czy międzywojennych Niemczech, gdy masy rozpaczliwie potrzebowały wyjaśnienia spadających na nie nieszczęść, przyczyn rozpadu świata, w którym żyły, nagłej utraty dostatków i poczucia bezpieczeństwa. Jeśli w Polsce mieliśmy 3 mln Żydów, w większości odmawiających asymilacji, a 3 mln Polaków żyły w nędzy i nie miały pracy, demagog wskazujący proste rozwiązanie „wygońmy Żydów do Palestyny czy na Madagaskar, Polakom się od razu poprawi" mógł zdobywać wyznawców. Podobnie jak na Zachodzie demagog głoszący, że złamanie potęgi Żydów ukróci rujnujące kredyty, krachy giełdowe, inflację i inne niepojęte zjawiska, które wtrącają miliony prostych, ciężko pracujących ludzi w nędzę, a tuczą plutokratów.

Proste pytanie: której grupie społecznej we współczesnej Polsce może się wydawać, że jakiś jej problem zostanie rozwiązany, że czegoś jej przybędzie albo że jakieś jej zmartwienia staną się lżejsze dzięki wrogości wobec Żydów? Żadnej. Dlatego ludzie, którzy z denuncjowania „polskiego antysemityzmu" uczynili sobie zyskowny sposób na życie, zmuszeni są brnąć w groteskę, zajmując się figurką „Żyda z pieniążkiem" w sklepie z pamiątkami albo tworząc kuriozalne teorie o antysemityzmie bezobjawowym.

Ale razem z tą dobrą mam też wiadomość dla salonu dobrą, dla większości Polaków złą. Dokładnie z tej samej przyczyny, dla której Polsce współczesnej nie grozi antysemityzm, nie zniknie też antypolonizm i nie ustaną oskarżenia Polaków o „odwieczną wrogość", sprawstwo Holokaustu ani prowokowanie ich rasistowskimi uwagami o „antysemityzmie wysysanym z mlekiem matki". Świat się zmienił i dziś to wpływowe środowiska Żydów amerykańskich oraz przywódcy Izraela w potęgowaniu nienawiści i głoszeniu pogardy dla Polaków znajdują obietnicę rozwiązania swoich problemów.

@

W skandalicznej, rasistowskiej wypowiedzi nowego szefa izraelskiego MSZ, Israela Katza, to, co najbardziej znaczące, umknęło powszechnej uwadze. Po wszystkich uwagach na temat rzekomej polskiej winy za Holokaust i inne prześladowania Żydów stwierdza on: „Nigdy tego Polakom nie zapomnimy i im nie wybaczymy". Jeśli ktoś nie zauważa, jak horrendalna jest to deklaracja, podkreślę: wpływowy żydowski nacjonalista (ponoć rzucający wewnątrz partii Likud wyzwanie obecnemu premierowi, Netanjahu, czym tłumaczy się jego antypolskie wzmożenie) z góry wyklucza możliwość jakiegokolwiek rozwiązania polsko-żydowskich problemów nawet w odległej przyszłości.

Zwykle w polityce międzynarodowej przypomina się doznane krzywdy po to, aby uzasadnić roszczenia, uzyskać takie czy inne koncesje, reparacje. W dyskursie żydowskiego nacjonalizmu – bo proszę mi wierzyć, cytowane „nigdy" nie jest lapsusem, powtarza się w różnych wypowiedziach często i jako rzecz oczywista – jest zupełnie inaczej. Prześladowanie Żydów to kainowe piętno, którego prześladowcy nie pozbędą się nigdy – a w wersji historii, którą nasycani są młodzi Izraelczycy, prześladowcami są

eprasa.pl de79146524

praktycznie wszystkie ludy od najdawniejszych czasów, zbrodnia Holokaustu stanowiła zaś tylko ukoronowanie ich wielowiekowych wysiłków.

Zamyka to wszelki dialog, w który tak wierzyła polska inteligencja, od Adama Michnika po Lecha Kaczyńskiego. Polacy mają przepraszać i uznawać swą winę na każde żądanie, w każdej sytuacji, gdy żydowscy partnerzy uznają za stosowne tego zażądać. Oczywiście tę możliwość przywódcy żydowscy zostawiają sobie nie tylko w stosunku do Polaków – ale o tym za chwilę.

Historia zna coś, co można by nazwać „zarażeniem się okrucieństwem". Rosyjskie, imperialne zamiłowanie do miażdżenia mniejszych narodów i własnych obywateli to dziedzictwo podboju Dżyngis-chana i jego następców, okupacji, której systemowe okrucieństwo i bezwzględność przekraczały wszystko, co znała średniowieczna Europa. Mentalność Prusaków, odmienną zupełnie od mentalności Niemców z zachodu, ukształtował podbój, brutalne narzucenie nowej wiary i okupacja krzyżacka. Wydaje się, że podobny wpływ wywiera trauma Shoah na tych Żydów, którzy zatracili swą tradycyjną wiarę i w mniejszym lub większym stopniu zastąpili ją „religią Holokaustu".

Pod jej wpływem syjonizm Netanjahu czy Lapida przerodził się niezauważalnie w ideologię inną od syjonizmu Birnbauma i Herzla, drapieżną. Dziś, powołując się na doświadczenie Holokaustu, głosi on: w bezwzględnym dla nich świecie Żydzi muszą być bardziej bezwzględni od innych. Jedynie siła i brak skrupułów w jej stosowaniu może sprawić, aby do wiekowego pasma prześladowań, pogromów i eksterminacji nie zostały dopisane kolejne rozdziały.

Z nieodpartą logiką wynika z tej postawy nie tylko rozgrzeszenie zbrodni popełnianych w imię budowy silnego żydowskiego państwa. Jej konsekwencją jest również odmowa normalności w stosunkach z nie-Żydami. Doświadczenie Holokaustu, przetrawione przez nacjonalizm, każe podejrzewać wszystkich o skrywaną gotowość powrotu do dawnych prześladowań. Logicznie wynika z tego, że Żydzi muszą być stroną agresywną i dominującą, jeśli nie mają znowu stać się stroną prześladowaną.

@

Prusy mają tylko jednego przyjaciela, swą armię – te słowa przypisuje się Fryderykowi I, twórcy potęgi małego, wydawałoby się, skazanego między potężnymi sąsiadami na zagładę kraju, który kilkakrotnie w swej historii stanął na krawędzi unicestwienia i w pewnym momencie uniknął rozbioru tylko dzięki przypadkowi nazwanemu cudem domu brandenburskiego. Jest to narzucająca się analogia. Żyjący w poczuciu stałego zagrożenia Izrael stał się czymś w rodzaju Prus Bliskiego Wschodu.

Coś się wymknęło Żydom spod kontroli. Izraelska polityka, prowadzona w warunkach oblężenia przez wrogów, zaczęła toczyć się w fatalnym dla wszystkich – z samymi Żydami na czele – kierunku. Stałe zagrożenie wymusiło militaryzację kraju i konieczność wychowywania kolejnych pokoleń przede wszystkim na dobrych żołnierzy. Najlepszego żołnierza zaś, takiego, któremu nie zadrży palec na spuście, gdy dostanie rozkaz strzelania z bezpiecznej odległości do uzbrojonych tylko w kamienie nastolatków, wychowuje się w poczuciu historycznych krzywd, które wymagają pomsty, i osaczenia, które zmusza do stałej czujności. Tak właśnie wygląda edukacja kolejnych pokoleń Izraelczyków, której uwieńczeniem i symbolem stały się obowiązkowe dla każdego ucznia „Marsze Żywych": pod kontrolą uzbrojonych po zęby ochroniarzy, z przewodnikiem ostrzegającym, by nie oddalać się od grupy i nie przyjmować żadnych poczęstunków, bo Polacy chcą ich zabić – jak pokazał to dokumentalny film Joawa Szamira „Zniesławienie", który wywołał w Izraelu burzę, ale niczego nie zmienił.

Międzynarodowa społeczność żydowska zdaje się nie zauważać, że szowinistyczna polityka wepchnęła ją już na równię pochyłą, że we wszystkich krajach, gdzie prowadzi się takie badania, z roku na rok odnotowuje się rosnącą nienawiść do Żydów i rosnące wyparcie narracji o Holokauście jako usprawiedliwiającej wszystkie działania żydowskie zbrodni wszech czasów – a jeżeli nawet zauważa, to zadowala się interpretacją tego faktu podsuwaną przez żydowski nacjonalizm, co czyni równię pochyłą coraz bardziej stromą.

Izrael, wbrew nadziejom twórców syjonizmu, nie okazał się miejscem, które ściągnęłoby i zgromadziłoby na powrót rozproszoną przez Wespazjana diasporę. Szczególnie nie chcieli przenosić się do niego Żydzi z krajów dostatnich. Ogromną część mieszkańców Izraela stanowią dziś więc Żydzi z byłego ZSRS i krajów takich jak Maroko – wraz z potomkami. To materiał ludzki, który łatwo pozwalał się ulepić. A lepieni tak, by nienawidzili jako żołnierze – jako wyborcy domagają się Izraelczycy przywódców coraz bardziej „zdecydowanych". Przy okazji takich kryzysów jak obecny wystarczy przejrzeć izraelskie gazety, a zwłaszcza media społecznościowe, które dzięki łamanym może, ale wystarczającym do tego celu przekładom przez google translator nie są już światem hermetycznym. Przestaje wtedy zdumiewać – jeśli kogokolwiek zdumiewało – że kluczem i do zwycięstwa w wyborach, i w walkach wewnątrzpartyjnych stało się okazywanie rasowej wyższości, agresji i pogardy dla odwiecznych wrogów.

Izraelska polityka, prowadzona w warunkach oblężenia przez wrogów, zaczęła się toczyć w fatalnym dla wszystkich – z samymi Żydami na czele – kierunku

Dlaczego ta agresja i pogarda spada akurat na Polskę? Po pierwsze – nie tylko dlatego, że potencjał skumulowanego poczucia krzywdy, osaczenia i agresji może w każdej chwili zostać skierowany przeciwko każdemu. Ale Polska nadaje się szczególnie do nacjonalistycznej mobilizacji, bo – znów trzeba do tego wrócić – obsadzanie nas w roli sprawców Holokaustu w sposób najwygodniejszy rozwiązuje różnym żydowskim środowiskom ich problemy. To nie tylko kwestia izraelskiej prawicy, która potrzebuje odpowiedniego wroga – ani za dużego, jak Niemcy czy Francja, ani za małego, jak kraje środkowej Europy, które naprawdę w czasie wojny były w obozie Hitlera, lecz takiego, który wydaje się poważny, ale nie chce czy nie może się bronić. Takiego właśnie jak Polska.

Polska słabość, jak przysłowiowe pochyłe drzewo, ściąga ataki. Niezdolność do dokonania przez ponad ćwierć

eprasa.pl de79146524

wieku reprywatyzacji ośmieliła organizacje żydowskie z USA do roszczeń, których jedynym uzasadnieniem może być moralny sprzeciw wobec korzystania przez mordercę z majątku po tym, kogo zamordował. Uruchomiło to morderczą logikę – w optyce „restytucji mienia bezspadkowego" Polska musi być winna Holokaustu, inaczej „Just Act 447" nie ma pozorów sprawiedliwości.

@

Sędziwy Jerzy Buzek – szczęśliwie, ku powszechnemu oburzeniu – potępił decyzję premiera Morawieckiego o odwołaniu szczytu V-4 i zapewnił, że po rasistowskim ataku ministra Katza on właśnie by pojechał, bo te słowa pokazały, że „trzeba tym bardziej rozmawiać i wyjaśniać". To zamierający pogłos postawy, która po 1990 r. uwarunkowała polskie postępowanie wobec Żydów – odmowę przyjęcia do wiadomości, jakie wyrachowania i interesy inspirują podobne wypowiedzi, i niezłomnej wiary, że wszystko to tylko nieporozumienie, które można i trzeba w rozmowie między oświeconymi, pełnymi dobrej woli elitami wyjaśnić.

To było bardzo polskie i bardzo inteligenckie – szlachetne i oparte na wizji świata, w której o polityce, także historycznej, nie decydują interesy i dynamika społecznych procesów uwarunkowanych gospodarką, ale wskazania „autorytetów moralnych". Takie myślenie doprowadziło Polskę do wizerunkowej i politycznej katastrofy, którą były przeprosiny prezydenta Kwaśniewskiego za Jedwabne, które oczywiście nie doprowadziły do żadnego „pojednania" ani tym bardziej wzajemnego uznania win żydowskich wobec Polaków. Usłyszeliśmy tylko trochę odosobnionych deklaracji zrozumienia dla naszych argumentów, co miało znikomy wpływ na postępowanie żydowskich, a zwłaszcza izraelskich liderów.

W opozycji do „przepraszactwa" narastały złość, antyżydowski gniew – tłumiony i chętnie wykorzystywany przez michnikowszczyznę do przyprawiania przeciwnikom i ich społecznemu zapleczu gęby ciemnych antysemitów. Trzeba tu pamiętać o dodatkowej komplikacji polsko-żydowskiego splotu, którą stanowi to, iż historycznie antysemityzm był w Polsce związany z dobijającą się o emancypację klasą niższą, z „ludem", podczas gdy inteligencja odziedziczyła szlachecką sympatię do Żydów, przechodzącą w fascynację „Jankielem". Uczyniło to oskarżenie o antysemityzm elementem dyskursu pogardy michnikowszczyzny wobec „polskiego katolickiego ciemnogrodu". W połączeniu z przekonaniem, iż szczere wyznawanie win, nawet niepopełnionych, i przepraszanie na każdym kroku może „oczyścić atmosferę" i doprowadzić do „pojednania w prawdzie", sprawiło to, że pomagdalenkowa elita odegrała rolę „pożytecznych idiotów" żydowskiego nacjonalizmu niejako do kwadratu.

Obecnie ta długo tłumiona irytacja zachowaniem Żydów bierze górę i władza musi się liczyć z nią bardziej niż z opiniami salonów – zaskakująco asertywna reakcja polskich władz na zachowanie izraelskiego premiera i ministra jest tego znakiem. Ona sama w sobie jednak niekoniecznie jest znakiem dobrym. Na razie bowiem pozostajemy wciąż w emocjach, tyle że odwrotnych.

Te emocje mogą popchnąć władzę do konfrontacji z Izraelem. Teoretycznie możemy sobie na to pozwolić, przy wymianie handlowej rzędu kilkuset milionów dolarów wzajemne stosunki to dla nas głównie sprawa prestiżu i funkcja stosunków z USA. Jednak nawet zakładając, że Waszyngton stanąłby całkowicie po naszej stronie – co obecnie nie jest wyobrażalne – także Amerykanie nie byliby w stanie zmusić Izraela do żadnych przeprosin. Izrael nie przeprasza, bez względu na to, jak bardzo przeholował, tak jak nie wydaje Żydów przestępców, którzy schronili się na jego terytorium, bez względu na obciążające ich dowody – dokładnie z tego samego powodu, dla którego Rosja nie dopuściła do uczciwego śledztwa, które mogłoby wykazać panujący w Smoleńsku „bardak i gizdiajstwo".

Tym, którzy w zrozumiałym skądinąd pożądaniu sprawiedliwości nawołują do stanowczości wobec Żydów, warto też przypomnieć, w jaki sposób złamali oni swego czasu Szwajcarię i zmusili ją do wypłacenia ogromnego haraczu. Siła i obfitość środków znajdujących się w dyspozycji żydowskich organizacji bynajmniej od tego czasu nie zmalała – warto pamiętać, że wobec tego, czego wówczas użyto, dotychczasowe ataki na Polskę to tylko łagodna perswazja.

To, że pod nieobecność Polski Netanjahu spotkał się i załatwił interesy z naszymi partnerami z V-4, skłonił byłego premiera Leszka Millera do cierpkiej uwagi, iż jeśli Izrael chce wciąż rozmawiać o współwinie za Holokaust, to liderzy Węgier, Słowacji i Czech są do takiej rozmowy rzeczywiście lepszymi partnerami od nas. Ale oczywiście Izrael nie rozmawiał z nimi o historii, tylko o interesach. I tu jest klucz do polityki wobec Izraela.

Jakkolwiek bowiem na okoliczność wojny z Polską tamtejsze media pełne są deklaracji w stylu „musimy mówić historyczną prawdę", „prawda nie podlega negocjacjom" etc. W istocie Izrael potrafi się od poruszania tematów historycznych powstrzymywać – kiedy mu się to opłaca. Tak jest zwłaszcza w wypadku Węgier, które łączy z rządzącymi Izraelem nie tylko gospodarka, lecz także wspólna walka z George'em Sorosem.

Mówiąc krótko – dopóki Izraelowi bardziej opłaca się Polskę kopać, niż mieć z nią dobre stosunki, dopóty Polska będzie kopana. Należy więc nie kierować się emocjami, żadnym tam „pokażemy kłamcom" ani naiwnymi marzeniami o pojednaniu, być asertywnym, ale spokojnym, i szukać takiej sytuacji, w której własne interesy – bo żadne inne się dla niego nie liczą – będą skłaniać Izrael, by o rzekomym współsprawstwie Polaków milczał. Na nic lepszego niż takie taktyczne milczenie liczyć nie możemy. Chyba że – bo w polityce nie ma „zawsze" i „nigdy" – sami będziemy mogli wojnę o pamięć wznowić, jeśli sytuacja zmieni się na tyle, że będziemy mieli pewność, iż na tym zyskamy.

Mówiąc krótko – dopóki Izraelowi bardziej opłaca się Polskę kopać, niż mieć z nią dobre stosunki, dopóty Polska będzie kopana

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O FRANCISZKU BLAJCHMANIE, POLSKIM BOHATERZE WEDŁUG MIKE'A POMPEO
WIĘCEJ NA STR. 66

eprasa.pl de79146524

Z Jackiem Czaputowiczem, ministrem spraw zagranicznych

rozmawia Marcin Makowski

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

MARCIN MAKOWSKI: Ponoć Jarosław Kaczyński chodzi wściekły jak osa, widząc, co się dzieje w polskiej dyplomacji po szczycie bliskowschodnim w Warszawie. Największe pretensje ma mieć do pana.

JACEK CZAPUTOWICZ: Widziałem się z prezesem Jarosławem Kaczyńskim po pogrzebie Jana Olszewskiego, nie przekazywał mi negatywnych opinii. Zastanawialiśmy się jednak, jakie korzyści osiągniemy z organizacji konferencji, choćby w postaci silniejszego zaangażowania USA w bezpieczeństwo Polski. We wtorek 19 lutego przedstawiłem informację na temat konferencji na posiedzeniu rządu.

Nie było żadnych uwag?

Pod względem słów, które padły choćby ze strony polityków izraelskich w Warszawie, zgadzam się, że ogólny wydźwięk wydarzeń wokół szczytu może być niejednoznaczny. Takie pytania na posiedzeniu rządu zadano. Tyle że zarówno przypomnienie Mike'a Pompeo o mieniu pożydowskim, słowa dziennikarki z USA o „polskim reżimie" podczas wojny czy te o „polskiej kolaboracji" premiera Beniamina Netanjahu nie dotyczyły bezpośrednio konferencji bliskowschodniej i nie padły na jej obradach. Stanowiły albo element wizyty bilateralnej, albo dyskursu medialnego, nad którym nie mamy przecież kontroli.

Tylko co to zmienia? I tak dyskutuje się o nich w odniesieniu do bliskowschodnich negocjacji w Warszawie. Czy przyniosły więc one więcej zysków niż strat?

Dla mnie to zdecydowanie pozytywne wizyty i konferencja, nawet jeśli zamieszania medialne przez chwilę zdominowały narrację. Sama wizyta szefa Departamentu Stanu była przecież potrzebna. Wspólnie odwiedziliśmy bazę wojskową w Bemowie Piskim, gdzie do amerykańskich żołnierzy skierowaliśmy przesłanie o zagrożeniu militarnym płynącym ze strony Rosji. Co było o tyle istotne i symboliczne, że mówimy o miejscowości oddalonej kilkadziesiąt kilometrów od obwodu kaliningradzkiego. Oprócz tego odbyły się spotkania wiceprezydenta Pence'a z prezydentem i premierem, podpisanie umowy na zakup systemu rakietowego HIMARS, wspólne przemówienia, złożenie kwiatów pod pomnikiem Powstańców Getta, ale i pod pomnikiem Powstania Warszawskiego, na czym nam szczególnie zależało.

Te obrazki są korzystne z polskiej perspektywy, ale w mediach amerykańskich cała wizyta w War-

eprasa.pl de79146524

Jestem przekonany, że odnieśliśmy sukces

szawie przedstawiana była głównie jako okazja do spotkania Mike'a Pence'a z Beniaminem Netanjahu oraz odwiedzenia miejsc pamięci Holokaustu.

Konferencja dotyczyła Bliskiego Wschodu, a tam leży państwo, którego przywódcą jest Beniamin Netanjahu. Izrael jest ważnym państwem w kontekście bezpieczeństwa, wspieranym przez Stany Zjednoczone, trudno więc, by media amerykańskie o tym nie informowały. Były jednak także polskie wątki. Pierwszego dnia wizyty ukazał się artykuł, który napisałem wspólnie z sekretarzem Pompeo, a który był cytowany m.in. w CNN. Dotyczył on solidarności polsko-amerykańskiej, dobrze ugruntowanej w historii, na której opieramy naszą współpracę. O konferencji w Warszawie mówiono na całym świecie.

Czy polska dyplomacja czyniła jakieś starania przed szczytem, aby nawet w spotkaniach mu towarzyszących nie poruszać zagadnień bezpośrednio niezwiązanych z kontekstem konferencji?

Odwrotnie. Nam zależało na wprowadzeniu komponentu dwustronnego, niezwiązanego z kontekstem konferencji, a ważnego dla Polski. Przeprowadziliśmy rozmowy bilateralne na temat współpracy w zakresie bezpieczeństwa, energetyki, współpracy gospodarczej czy takich przedsięwzięć jak Inicjatywa Trójmorza. Odbyła się wizyta w bazie NATO, spotkania z żołnierzami amerykańskimi i polskimi, podpisana została wspomniana umowa na zakup systemu rakietowego. Nie ma to związku z tematem konferencji, ale zależało nam na wykorzystaniu wizyty dla wzmocnienia relacji dwustronnych i umocnienia bezpieczeństwa Polski. Ten cel udało się osiągnąć. Jeśli pyta pan zatem, czy można się było skupić tylko na konferencji, odpowiadam: można było. Tylko wtedy nie wykorzystalibyśmy wszystkich szans do realizacji celów polskiej polityki zagranicznej.

Czy ktokolwiek czynił starania, aby powiedzieć naszym gościom: nie rozmywajmy pozytywnego przekazu militarnego i personalnego, rozpoczynając zbędne dyskusje o restytucji mienia pożydowskiego czy wracając do spornych tematów z historii?

Kwestie restytucji mienia ofiar Holokaustu czy kontrowersyjne tematy historyczne nie były przedmiotem moich rozmów z delegacją amerykańską. Sekretarz stanu Mike Pompeo wspomniał o nich jednak na konferencji prasowej. Pokazuje to, że temat ten jest dla niego – czy szerzej: dla administracji amerykańskiej – ważny. Nawiasem mówiąc, przekazałem Mike'owi Pompeo notatkę o kontrowersyjnym życiorysie przywołanego Blajchmana, wskazując, że zwalczał on tych, którzy walczyli z komunizmem. Był zdziwiony, że to taka historia.

A jaka jest pana osobista ocena podniesienia tematu restytucji mienia pożydowskiego właśnie w tej chwili? Czy to było potrzebne?

Negatywna. Uważam, że nie było to potrzebne. Z naszej perspektywy kwestie restytucji mienia są zamknięte. Nie mamy jednak wpływu na treść wystąpień naszych amerykańskich partnerów.

Co otrzymaliśmy w zamian za bycie gospodarzem szczytu? Tak konkretnie.

Konkretem jest autentyczne wzmocnienie relacji dyplomatycznych ze Stanami Zjednoczonymi. Uzyskaliśmy deklarację zaangażowania USA w nasze bezpieczeństwo, które, mam nadzieję, przełoży się wkrótce na konkretne decyzje dotyczące zwiększenia amerykańskiej obecności wojskowej w naszym kraju. Amerykanie też stawiają pytanie: co otrzymają, tak konkretnie, za zaangażowanie w zapewnienie bezpieczeństwa Polski. Konferencja pokazała, że w sytuacji, gdy podejmują ważną dla siebie inicjatywę, mogą liczyć na naszą pomoc.

Sama konferencja była przełomowa, po raz pierwszy od wielu lat udało się zgromadzić państwa arabskie i Izrael pod jednym dachem. Oczywiście wystąpiły też pewne różnice w prezentowanych stanowiskach na temat sytuacji na Bliskim Wschodzie. Unia Europejska opowiada się za utrzymaniem porozumienia nuklearnego z Iranem, a Waszyngton w tym samym czasie wprowadził sankcję, do czego chce przekonać inne państwa. Tą konferencją Polska pokazała, że mimo iż różnimy się co do sposobów działania, to możemy współdziałać z Unią Europejską i być pośrednikiem w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. Rozmawiałem z wysokim przedstawicielem Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa Federicą Mogherini na ten temat.

No właśnie, czy skłóciliśmy się przez ten szczyt z Unią?

Absolutnie nie. Wszystkie państwa członkowskie UE uczestniczyły w konferencji. Doceniono postawę Polski, która nie sprzeciwiając się polityce Unii Europejskiej wobec Iranu, równocześnie buduje dialog ze Stanami Zjednoczonymi. Mamy w tym zakresie bardzo ważną rolę do spełnienia, zatem przewidywania dotyczące konfliktu z Berlinem czy Paryżem się nie sprawdziły. Część głosów krytyki przed konferencją wynikała z tego, że Polska pod rządami PiS miała być w Europie izolowana, a tu nagle wraz z Amerykanami występuje z ważną inicjatywą międzynarodową.

eprasa.pl de79146524

Słuchając pana, można odnieść wrażenie, że dyskutujemy o paśmie sukcesów. Dlaczego w takim razie, gdy rozmawia się z politykami PiS na offie, wielkiej radości u nich nie widać. Mówi się nawet o (choć bez jego winy) politycznym osłabieniu premiera Mateusza Morawieckiego.

Jestem przekonany, że odnieśliśmy sukces, chociaż czytam w Internecie różne opinie. Były głosy, także w „Do Rzeczy", że organizowanie tej konferencji nie ma sensu. Rzeczą ludzką jest szukanie potwierdzenia wcześniej postawionych tez, chociaż rzeczywistość im zaprzeczyła.

Ma pan okazję w długim wywiadzie wypowiedzieć się w sposób, w który nie ingerujemy.

Właśnie to robię…

Ale krytyka się pojawiła, nie zmyśliłem jej.

Krytyka jest potrzebna i trzeba na nią odpowiedzieć. W pluralistycznym zapleczu PiS są różne opinie, również sceptyczne, żeby nie angażować się w obce sprawy. Argumenty przeciwników konferencji były różnego rodzaju, a to, że nie należy skłócać się z Iranem, a to, że w konferencji nie bierze udziału Rosja, a to, że skłócimy się z Unią Europejską, która ma dla nas nadrzędne znaczenie. Stanowiska te łączy jedno: nieuznawanie doniosłości znaczenia sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi dla bezpieczeństwa Polski lub niezrozumienie faktu, że w polityce zagranicznej nie można tylko brać, nie dając nic w zamian.

Z kolei opozycja nie może pogodzić się z tym, że Polska konsekwentnie buduje swoją pozycję na arenie międzynarodowej, a rząd PiS odnosi sukcesy międzynarodowe. Dodajmy jednak, że zdarzały się także głosy sprawiedliwe po stronie opozycji, jak choćby Eugeniusza Smolara, który stwierdził w Politico, że „Polakom z pewnym nawet powodzeniem udało się zachować delikatną równowagę: nie zirytowali za bardzo europejskich sojuszników, a jednocześnie przypodobali się Ameryce".

To jeszcze raz wrócę do konkretów. Mówi pan o wzmocnieniu zaufania Waszyngtonu do Polski, tymczasem słowa ambasador Georgette Mosbacher o wzmocnieniu kontyngentu wojskowego w Polsce, zostały zdementowane przez Pentagon jako plotka.

To nie jest tak, że tak ważne decyzje ogłasza się z dnia na dzień. Zapewniam pana, że po konferencji warszawskiej atmosfera w rozmowach na temat wzmacniania amerykańskiej obecności militarnej nad Wisłą znacznie się poprawiła. Jest szansa na lepsze dla nas decyzje niż przed konferencją.

Polska po słowach izraelskich dyplomatów wycofała się z uczestnictwa w szczycie V4 w Jerozolimie. Jak pan ocenia tę sytuację?

Dobrze, chociaż wydarzenia te nie były następstwem konferencji, o której rozmawiamy, lecz szokujących słów pełniącego obowiązki ministra spraw zagranicznych Israela Katza. Beniamin Netanjahu zabiegał o spotkanie z V4 w Jerozolimie, podnosiło ono bowiem jego znaczenie w oczach elektoratu i opinii międzynarodowej. Z naszej perspektywy miał to być rodzaj wsparcia dla Izraela.

Dlaczego w takim razie Netanjahu i jego polityczne zaplecze zrobili wszystko, aby tę wyciągniętą rękę odtrącić?

Myślę, że Netanjahu zrobił jednak błąd. Może liczył, że może zjeść ciastko i mieć ciastko, powiedzieć w Warszawie, że Polacy mordowali Żydów, by zdobyć poklask wewnętrznej opinii publicznej przed wyborami, a zarazem być gospodarzem spotkania w Jerozolimie. Podejrzewam, że źle ocenił sytuację, nie spodziewał się, że nie damy potraktować się w ten sposób.

Jak pan sobie tłumaczy w takim razie, że wypowiedzi antypolskie mogą służyć w Izraelu do zdobywania punktów przed wyborami? Czy to nie powinno nas niepokoić? Szef izraelskiego MSZ przytoczył cytat o „polskim antysemityzmie wyssanym z mlekiem matki".

Moim zdaniem interpretacja Holokaustu, w tym współudziału w nim Polaków, jest częścią tożsamości Izraelczyków. Wypowiedzi antypolskie służą potwierdzeniu tej tożsamości. Oczywiście jest to dla nas nie do przyjęcia, jest bowiem niezgodne z prawdą historyczną i niesprawiedliwe.

Paradoksalnie jednak, kryzys ten może okazać się dla nas korzystny. Za Polską ujęły się wpływowe środowiska żydowskie, zdaniem których Katz posunął się za daleko. W artykułach, które ukazały się w mediach amerykańskich i izraelskich, problem stosunków polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej jest przedstawiany w sposób bardziej wyważony. Co prawda ciągle pisze się, że niektórzy Polacy uczestniczyli w zabijaniu Żydów czy też w wydawaniu ich Niemcom, zarazem jednak ich ukrywali i ratowali. Dostrzega się też, że Polska postawiła czynny opór nazistowskim Niemcom, co kontrastuje z postawami choćby niektórych państw Grupy Wyszehradzkiej. Wymowa tych tekstów jest raczej korzystna, jakże inna niż rok temu w czasie sporu o ustawę o IPN. Miejmy nadzieję, że jest to znak pozytywnej zmiany w tym zakresie.

Chciałbym teraz nieco odwrócić perspektywę i zadać trzy pytania, o które prosili mnie znajomi izraelscy dziennikarze. Dla nich są to kwestie priorytetowe, a dla Polaków zapewne ciekawe pod względem innego punktu widzenia wagi spraw.

Zamieniam się w słuch.

Po pierwsze, czy po wyborach w Izraelu stosunki dyplomatyczne pomiędzy naszymi państwami mogą się ocieplić, czy nie ma takich planów?

Mam taką nadzieję, bo zależy nam na utrzymaniu dobrych stosunków z Izraelem. Jednak to my zostaliśmy bezpardonowo zaatakowani przez ministra Israela Katza. Światowa opinia publiczna jest zgodna, inaczej niż w wypadku ustawy o IPN rok temu, że tym razem wina leży po stronie Izraela.

Czy rząd zamierza zastosować więcej sankcji, jak np. obniżenie rangi dyplomatycznej obecności w Izraelu albo nawet zerwanie relacji dyplomatycznych z Tel Awiwem?

Nie chcemy pogłębiać kryzysu, lecz szukać drogi jego przezwyciężenia. Nie możemy jednak zgodzić się na obrażanie Polaków i domagamy się cofnięcia niesprawiedliwych słów.

Czy Israel Katz jest w Polsce persona non grata i czy próbował pan z nim po fakcie rozmawiać?

Nie próbowałem rozmawiać z ministrem Katzem. Nie sądzę też, by w tej sytuacji starał się o przyjazd do Polski.

Domykając wątek anulowanego szczytu V4 w Jerozolimie: mimo braku polskiej delegacji Czechy, Węgry i Słowacja spotkały się z przedstawicielami Izraela nie tylko w formacie dwustronnym, Viktor Orbán ogłosił również przeniesienie części gospodarczej węgierskiej ambasady z Tel Awiwu do Jerozolimy. Nie wygląda to jak przejaw solidarności.

Według dostępnych relacji spotkania miały charakter dwustronny, chyba że za spotkanie wielostronne uznamy lunch zjedzony wspólnie z żonami niektórych uczestników. Nie odbyło się spotkanie w formule V4, nie przyjęto też żadnej wspólnej deklaracji, na której zależało Netanjahu. W relacjach z wizyty dominował jeden temat: brak Polski. Komentatorzy są zgodni, z perspektywy Izraela była to wielka klapa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

Rentis
poznaj nowy wymiar podróżowania

Rentis
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl de79146524

Zwycięstwo ideologii

Paweł Lisicki

Wielu obserwatorów nie potrafi zrozumieć, jak to się stało, że relacje polsko-żydowskie, mimo podpisania porozumienia premierów Mateusza Morawieckiego i Beniamina Netanjahu, są tak napięte. Dlaczego izraelscy politycy nie boją się używać pod adresem Polaków rasistowskich określeń i oskarżać wszystkich o brak zrozumienia? Trzy lata temu opisałem przyczyny tego zjawiska w książce „Krew na naszych rękach?"

Za zasłoną uścisków i uśmiechniętych twarzy, schowana za frazesami i ukłonami, za wyrazami grzeczności i zrozumienia wzajemnego kryje się wściekła oraz bezwzględna walka o pamięć. W tej walce z różnych powodów przegrywamy. Nie rozumiemy bowiem, jak zmienił się świat wokół nas w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Naiwnie myślimy, że wszyscy pamiętają o naszych ranach, o zasługach, o krwi milionów ofiar. Guzik prawda. O krwi pamiętają, ale tej, co to nam ją chcą przypisać, o tej, co chcą na nas wylać.

JEDYNA SŁUSZNA OPOWIEŚĆ

Od połowy ubiegłego wieku w powszechnej świadomości świata jedyną ofiarą wojny stali się Żydzi. Przeciętni Amerykanin, Francuz czy Niemiec mniemają, że II wojna to był Holokaust i tyle. Byli jeszcze jacyś ludzie, którzy Żydów ratowali, reszta jednak, cała wielomilionowa rzesza, przyglądała się biernie tragedii albo wręcz w mordzie uczestniczyła. Otoczeni przez mrowie

eprasa.pl de79146524

Od połowy ubiegłego wieku w powszechnej świadomości świata jedyną ofiarą wojny stali się Żydzi, a podbite narody to nie osobne ofiary, ale przypis do wielkiej tragedii Holokaustu. Na zdjęciu: niemiecka policja rozstrzeliwuje Polaków, 1941 r. FOT. NAC

chrześcijańskiej tłuszczy, która czyhała na ich życie i majątek, Żydzi ginęli samotnie. W tej opowieści Hitler przekształca się z Niemca, z niemieckiego nazisty, w wyraziciela ukrytych pragnień i dążeń zdeptanych przez niego ludów. Wyrasta niemal na zbawiciela, na kogoś, kto nie tyle podbił i prześladował, ile zrealizował ukryte oraz podświadome pragnienie zbrodni wszystkich na Żydach.

Ta chora, obsesyjna opowieść coraz szybciej opanowuje umysły. Staje się religią, mitem, dogmatem bezwzględnym i nieznoszącym sprzeciwu. Wszystko w niej staje się wykoślawione i odwrócone. Hitler to nie zbrodniarz i morderca ludów, ale wyłącznie zabójca Żydów; podbite narody, Polacy, Serbowie, Rosjanie czy Białorusini, to nie osobne ofiary, ale nieistotny nawóz historii, przypis do wielkiej tragedii Holokaustu. A chrześcijaństwo? Przestaje ono być religią, która dodawała ducha, krzewiła miłość bliźniego, wzywała do poświęceń, skłaniała do ofiar za innych, obcych, często uznawanych za wrogów, ale staje się narzędziem opresji, narzędziem, za pomocą którego zbrodniarze mogli swobodnie zadawać śmierć. Gorzej jeszcze – staje się ono wehikułem, dzięki któremu wiele środowisk żydowskich bez oporów i żenady może przypisywać innym winę i opowiadać, że wszyscy goje mają krew na rękach. Bo byli ochrzczeni, bo wyrośli w cieniu kościołów i krzyża. Religia, która kiedyś niosła wyzwolenie, stała się z dnia na dzień znakiem niewoli. Za pośrednictwem chrześcijaństwa, twierdzi się, zło i niegodziwość, nienawiść i antysemityzm wlały się w krwiobieg narodów.

Przeważająca część zachodnich elit intelektualnych została zainfekowana czymś, co można by nazwać religią Holokaustu. Opiera się ona na czterech dogmatach. Po pierwsze, Holokaust był zbrodnią nieporównywalną z żadną inną w dziejach świata: bardziej okrutną, bardziej straszną, bardziej ohydną niż cokolwiek, co kiedykolwiek miało miejsce. Żydzi byli ofiarą bardziej niewinną niż wszyscy pozostali ludzie. Po drugie, uczestniczyła w tej zbrodni cała ludzkość: nawet jeśli sprawcami zabójstw byli niemieccy naziści, to zrealizowali oni ukryte marzenie milionów zwykłych ludzi, utajone i podświadome pragnienie usunięcia Żydów. Po trzecie, źródłem tego krwiożerczego, ohydnego pragnienia było chrześcijaństwo, która to religia od początku zaraziła ludy wrogością do Żydów. Adolf Hitler był zatem dziedzicem wiekowej tradycji nienawiści. Dzieje Kościoła to dzieje rosnącej przemocy i wrogości. Po czwarte wreszcie, co jest konsekwencją trzech pierwszych dogmatów, wszyscy ludzie, także ci, którzy cierpieli pod niemiecką okupacją, także Polacy, mają krew na rękach. Są podwójnie napiętnowani: raz jako katolicy, dwa – bo na ich ziemi doszło do mordu. Oparta na tych czterech dogmatach religia jest coraz powszechniej wyznawana przez elity uniwersyteckie, intelektualne i polityczne Zachodu. Wyznają ją profesorowie teologii, historii i innych nauk humanistycznych na wielu renomowanych uczelniach USA, Kanady, Wielkiej Brytanii czy Francji, w dużym stopniu opanowała ona także umysły przedstawicieli Kościoła.

WYKLUCZENIE POLAKÓW

Niestety, jej sukces ma dla Polaków, dla polskiej pamięci skutki dramatyczne. Polacy mogą być albo sprawiedliwymi ratującymi Żydów (to jednak tylko przywilej nielicznych), albo współsprawcami, biernymi lub czynnymi, zbrodni (to przeznaczenie ogółu, który mógł zabijać, przyglądać się biernie zabijaniu, udawać, że nie widzi, wreszcie korzystać z zabijania). Dla polskiej osobnej pamięci, dla polskich ofiar, które ginęły niezależnie od Żydów, w ogóle w takim ujęciu nie ma miejsca.

Jeśli naszkicowany przeze mnie obraz jest choćby w części prawdziwy, a obawiam się, że jest, to rzucać to powinno całkiem nowe światło na tak często występujące napięcie w stosunkach polsko-żydowskich. Polacy znaleźli się w wyjątkowo trudnym położeniu. Po pierwsze musi ich dotykać powszechne dążenie do obwiniania chrześcijaństwa. Polskość i katolicyzm są tak mocno związane, tak sobie bliskie, tak głęboko wzajemnie spokrewnione, że nie sposób wręcz wyobrazić sobie, co miałoby się stać z polskością, gdyby się okazało, że duchowa podstawa, źródło życia, korzeń, na którym państwo i naród przez lata i wieki się opierały, był wewnętrznie zepsuty i chory. Postawienie chrześcijaństwa w stan oskarżenia, uznanie, że w samym swym źródle było skażone i pełne nienawiści, musi się odbić na wartości polskiego idiomu. Uderzając w Kościół i jego moralny autorytet, podcina się korzeń, z którego wyrosła polska kultura, specyficzna polska cywilizacja.

Po drugie zaś Polakom najtrudniej dostosować się do nowego, holokaustiańskiego paradygmatu. Zbyt boli ich wciąż pamięć własnych zmarłych. Zbyt żywa jest pamięć rodzinna i społeczna o polskich ofiarach. W innych państwach Zachodu pamięć o Holokauście szybko i łatwo, przynajmniej od lat 60. i 70., wyparła wspomnienia o zabitych członkach własnych narodów. W oczywisty sposób skala cierpienia żydowskiego była nieporównywalnie większa niż Holendrów, Francuzów czy Amerykanów. Jednak w przypadku Polaków proporcje były już inne. Gdyby Polacy mieli zaakceptować przekaz powszechnie obecny w USA, wyszłoby na to, że godzą się z opinią, iż śmierć setek tysięcy, milionów ich

eprasa.pl de79146524

rodaków była w jakimś stopniu gorsza i mniej wartościowa niż śmierć żydowska.

DWIE MIARY HISTORYKÓW

Warto zadać sobie takie pytania. Już samo ich postawienie pokazuje swoisty tragizm sytuacji. Jeśli dla cierpień Polaków nie ma miejsca, jeśli są one tylko częścią innej opowieści, jeśli zostaną jedynie przyporządkowane do zbrodni na Żydach to – prawdę powiedziawszy – wkrótce okażą się niepotrzebne i zbyteczne. Wiem, z różnych powodów pamięć o nich jest wyjątkowo niewygodna. Sam fakt cierpienia polskiego na tak wielką skalę stanowić mógłby najlepszy dowód absurdalności quasi-religii Holokaustu: Niemcy mogli mordować setki tysięcy niewinnych ludzi, mogli przeznaczyć na śmierć miliony nawet, jeśli ci ludzie nie byli Żydami. Używając języka holokaustiańskiego, można by powiedzieć, że w przypadku Polski to chrześcijanie chrześcijanom zgotowali tragiczny los; żeby wymordować miliony, nie trzeba było ani rzekomo starożytnych źródeł, ani dziedzictwa nienawiści z czasów średniowiecza, ani opowieści o tym, że Polacy zabili Jezusa – nie, ginęli w obozach i kazamatach, bo tak postanowił wódz III Rzeszy. Używam w stosunku do sprawców określenia „chrześcijanie" wyłącznie na użytek dyskusji, pokazując absurd takiego rozumowania. Niemieccy naziści nie mieli nic wspólnego z chrześcijaństwem. Jednak polskie ofiary są niewygodne w dyskursie holokaustiańskim jeszcze z jednego powodu: nawet jeśli ogólna liczba polskich ofiar była mniejsza niż żydowskich, w pewnych okresach i w pewnych miejscach ją przerastała. Co więcej, o ile sprawcami zbrodni na Żydach byli niemieccy naziści i ich pomagierzy, o tyle Polacy ginęli z rąk przedstawicieli obu totalitarnych reżimów.

Istnienie niezależnych od żydowskich polskich ofiar, setek tysięcy chrześcijan zamordowanych za to, że byli Polakami, nie pasuje do czarno-białej opowieści, w której występują ofiary (Żydzi), malutka grupka sprawiedliwych (garstka chrześcijan) i oprawcy oraz ich siepacze (Niemcy i cała reszta chrześcijan). Dlatego coraz częściej zdarza się, że o polskich cierpieniach się nie wspomina albo kieruje się uwagę na tę grupę kolaborantów i zdrajców, którzy współpracowali z Niemcami. Wszyscy mają krew na rękach, wszyscy muszą mieć krew na rękach.

Większość tych ocen i opinii, które wygłaszają różnej maści znawcy, ale także zawodowi historycy, robi naprawdę dziwaczne wrażenie. Z jednej strony nie negują wprost skali niemieckiego terroru skierowanego wobec Polaków, z drugiej zaś nie zauważają jego wpływu na zachowanie ludności. To tak, jakby jakiś historyk uparł się, by napisać książkę o działalności żydowskiej policji w gettach, i zapomniał pokazać kontekst jej działania. Pisałby dużo o lepszych warunkach życia, wyższych racjach żywnościowych, większej swobodzie, ba, nawet możliwości rabowania, ale pominąłby banalny dość fakt, że zgłaszając się do służby, zapewniano sobie, do pewnego momentu, przeżycie. Nie wolno dyskutować o stosunku Polaków do Żydów bez uwzględnienia brutalnej, ludobójczej polityki niemieckiej wobec Polaków. Dopiero wtedy można próbować oceniać skalę pomocy niesionej Żydom.

ZŁA WOLA I TYLE

Trudno mi uwierzyć, że powodem tej swoistej ślepoty może być coś innego niż poprawność polityczna. Schemat jest zawsze taki sam: Polacy pomagali, owszem, ale za mało i nie dość skutecznie. Zapewne. Tylko że ci, którzy wypowiadają takie oceny, abstrahują od kontekstu i od śmiertelnego zagrożenia, które dotykało samych Polaków. Nie zauważają powszechności terroru nazistowskiego i determinacji Niemców. Domagają się poza tym od ludzi trzebionych, mordowanych, żyjących w poczuciu poniżenia i strachu niesienia pomocy innym, i to jeszcze w sytuacji, kiedy taki akt dodatkowo narażał na śmierć. To tak, jakby uznawać, że właściwą miarą postępowania jest nadludzki heroizm, a tych, którzy do niego nie dorastali, uznawać za łajdaków. Można i tak. Tylko że nikt nigdy wcześniej nie dokonywał w taki sposób ocen historycznych. W książkach na temat Holokaustu jest to zaś praktyka powszechna.

Kolejną cechą charakterystyczną tego nowego podejścia do historii jest lekceważenie lub wręcz przechodzenie do porządku dziennego nad cierpieniem innych ofiar niż żydowskie. Znowu swoistym wzorcem takiego postępowania są słowa polskiej autorki Bożeny Keff. W książce „Antysemityzm" pisze: „»Antypolonizm« nie spowodował niczyjej śmierci, pogromu, wygnania, wykluczenia ani dyskryminacji i zestawianie go z antysemityzmem służy złej sprawie". Doprawdy aż trudno uwierzyć, że podobnym poziomem ślepoty wykazują się ludzie wykształceni, w swoim mniemaniu oddani sprawie obrony wartości humanistycznych. Niestety, takie sądy mogą być podyktowane w najlepszym razie ignorancją, w gorszym – uprzedzeniem rasowym wobec Polaków. Z czego brała się właśnie brutalność, bezwzględność i okrucieństwo Niemców wobec Polaków, jeśli nie z zakorzenionego od lat „antypolonizmu"? Jak tłumaczyć ową pogardę do polskich podludzi i skłonność do stosowania wobec nich metod terroru nieznanych w innych krajach okupowanej Europy, jak nie „antypolonizmem"? Podobnie nie jest przypadkiem, że pierwsza wielka czystka etniczna urządzona w Sowietach przez Stalina dotknęła Polaków. Sto kilkadziesiąt, może nawet 200 tys. zabitych w latach 1937–1938 w ramach polskiej operacji NKWD to zdaniem badaczki dziejów Holokaustu żadna śmierć. Tak samo, rozumiem, nie było przejawem „antypolonizmu" bolszewików to, jak wyszukiwali ofiary: znajdywano je często, po prostu przeszukując spisy nazwisk w książce telefonicznej. Żeby umrzeć, wystarczyła polsko brzmiąca końcówka nazwiska.

Tę zmianę mało kto w Polsce rozumie. Od czasu do czasu, kiedy znany mędrek z Ameryki lub Francji czy też innego oświeconego państwa powie to, co mówią wszyscy, podnoszą się głosy sprzeciwu i oburzenia. A potem gasną. Złość umiera równie szybko, jak się narodziła. Wypala się, wyładowuje. Niektórym może się zdawać, że protesty poskutkowały, że inni wreszcie nas zrozumieli, że przecież nasze polskie cierpienie jest tak oczywiste i tak niepodważalne, iż jedynie ignorancja mogła sprawić, że je przeoczono. Nieprawda. Owszem, niewiedza ma znaczenie, ale zła wola również. I to ona wygrywa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PAWEŁ LISICKI „KREW NA NASZYCH RĘKACH?" FABRYKA SŁÓW 2016

Tekst to fragmenty książki „Krew na naszych rękach?".

eprasa.pl de79146524

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

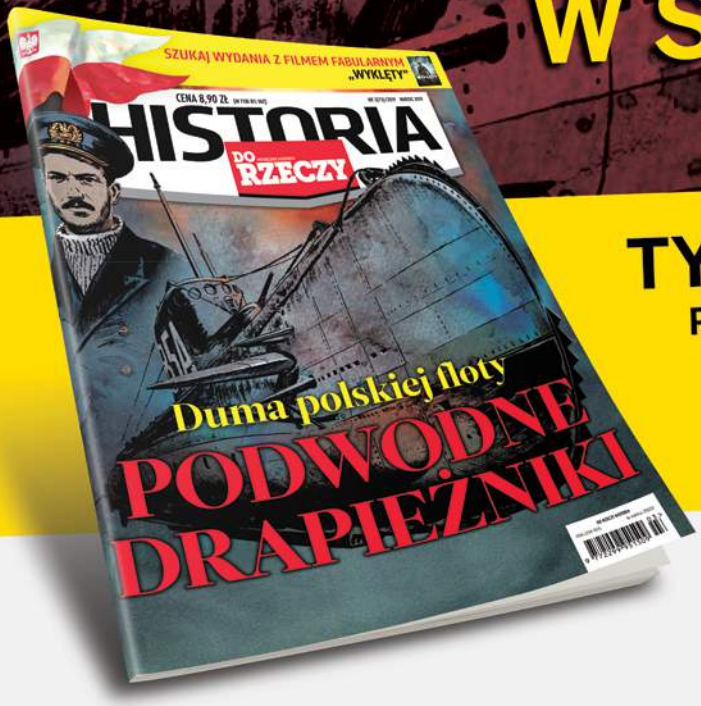

TYLKO U NAS!

POSZUKIWACZE WRAKÓW ZATOPIONYCH OKRĘTÓW. SENSACYJNA ROZMOWA Z PROF. TIMMYM GABINEM.

Mariusz Borowiak – **Boje polskich okrętów podwodnych**
Tomasz Stańczyk – **„Straszne bliźniaki" atakują**
Sławomir Koper – **Błędy akcji na Kutscherę**
Gerald Posner – **Dzieci Mengelego, Himmlera i Göringa**
Piotr Zychowicz – **Wielka afera okupowanej Warszawy**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Anglicy skrzywdzili polskiego oficera**
Mikołaj Iwanow – **Tajemnica śmierci Berii**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl de79146524

Piotr Semka

Czy poparcie dla socjalnych postulatów i światopoglądowej rewolucji zaproponowanej przez Roberta Biedronia może być na tyle duże, by mieć decydujący wpływ na rozstrzygnięcie najbliższych wyborów? Reakcje na nową formację są bardzo różne

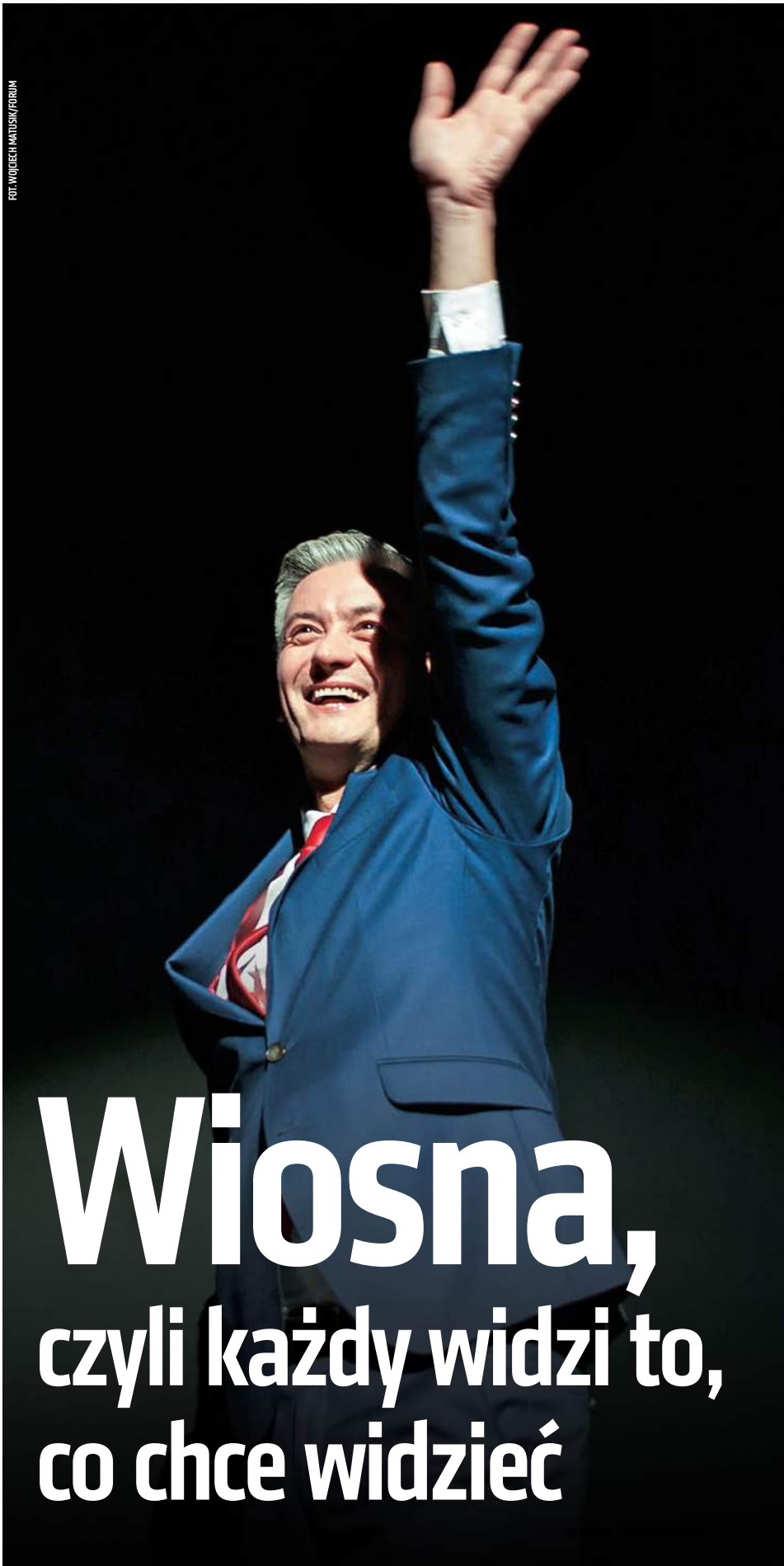

FOT. WOJCIECH MATUSIK/FORUM

Wiosna, czyli każdy widzi to, co chce widzieć

Wśród polskich polityków w modzie jest lekceważące zbywanie wzruszeniem ramion pytań o partię Wiosna. W podobny sposób reagują przed kamerami zarówno platformersi, jak i PiS-owcy. Jeśli jednak wgłębić się w teksty publicystów obozu III RP i nowej lewicy lub porozmawiać „off the record" z politykami PiS, to widać zaintrygowanie. A przede wszystkim niecierpliwe oczekiwanie, w jakim kierunku pójdzie nowa partia.

Minęło już pierwsze zaskoczenie wysokim wynikiem 16 proc. dla Wiosny w sondażu z 11 lutego dla „Rzeczpospolitej". W kolejnych sondażach partia Roberta Biedronia uzyskiwała już mniej – od 7 do 12 proc. To średniactwo sondażowe jednak tylko wzmacnia ciekawość. Czy od tego poziomu Wiosna odbije się w górę czy spadnie? Czy Biedroń istotnie zaskoczy wszystkich fajerwerkami zaplanowanymi przez speców od Emmanuela Macrona, jak głosi polityczna plotka?

Już dziś jednak można stwierdzić, że wdarcie się Biedronia na scenę polityczną ujawniło wiele dylematów w polskiej polityce. Przyjrzyjmy się wachlarzowi reakcji na debiut partii, która zapowiada, że zatrzęsie najbliższymi wyborami.

PLATFORMA, CZYLI IRYTACJA

Grzegorz Schetyna już schrupał większość potencjalnych przystawek. W otchłani Koalicji Europejskiej (KE) zniknął już Sojusz Lewicy Demokratycznej, Zieloni, partia Teraz Ryszarda Petru, a wreszcie resztówka Nowoczesnej z Katarzyną Lubnauer. Do schrupania został już tylko PSL, w którym zwolennicy samodzielnego startu nie są specjalnie silni.

Skąd ta łatwość zginania karku przed wielkim graczem z sejmowej „Piecza-

ry"? To proste – SLD, Zieloni czy Petru przestraszyli się, że nie pokonają progu wyborczego.

Na tym tle zdecydowane wyzwanie „my idziemy osobno" ze strony Biedronia musi być dla Schetyny drażniące. Lider Platformy połyka słabszych partnerów, bo musi utrwalić swój status samca alfa w obozie antykaczyzmu, szczególnie gdy zagraża mu Donald Tusk. Jednak Schetyna, prezentując z dumą takie zasłużone dla III RP dinozaury, jak Cimoszewicz, Belka czy Miller – w jednym pakiecie z Ewą Kopacz i Jerzym Buzkiem – sam stworzył wrażenie kontrastu między podstarzałą Koalicją Europejską a stawiającym na młodych Biedroniem.

Jeśli nawet klub kibica opozycji odczuł wrażenie wczorajszości, to starannie to ukrył. Dla takich publicystów jak Tomasz Lis z „Newsweeka" czy Piotr Pacewicz z OKO.press nadal najważniejszym, niemal jedynym celem i dogmatem jest odsunięcie PiS od władzy. Pretorianie III RP boją się równego podziału elektoratu opozycji na KE i Wiosnę. Może to oznaczać, że PiS uzyska najlepszy wynik w eurowyborach i psychologiczny efekt schyłku Kaczyńskiego diabli wezmą. Jest w tym też jednak urażona miłość własna. Po raz pierwsza duża siła w obozie opozycji nie posłuchała medialnych „budowniczych III RP". Widać to wyraźnie na przykładzie irytacji Tomasza Lisa. Szef „Newsweeka" od tygodni wygraża, jak może, Wiośnie. Odsądza Biedronia od czci i wiary jako sprawcę podziału w obozie przeciwników dobrej zmiany i ekonomicznego awanturnika, który chce zadłużyć Polskę. Nawet dość umiarkowane przytyki lidera Wiosny wobec PO mają dla niego posmak zdrady i obiektywnego sojuszu z PiS. W imię tej świętej wojny posunął się nawet do ujawnienia instrukcji spin doktorów Wiosny, w której już przed inauguracją partii nakazał swoim aktywistom zasypywać sieć relacjami o entuzjazmie delegacji jadących i powracających z kongresu w hali Torwaru.

Nieco bardziej stonowany, ale niemniej zaniepokojony rozbiciem opozycji jest Piotr Pacewicz z OKO.press. Na łamach tego portalu zarzuca Biedroniowi, że „marzy o pokonaniu PiS, ale sojusznikom wymyśla od zdartych płyt". Z jednej strony wyczytuje w sondażach wskazówki, że dwie siły mogą skuteczniej okrążyć PiS z centrum i z lewa. Docenia też popularyzację przez Wiosnę hasła „odrzucenia konserwatywno-katolickich wartości i ograniczenia roli Kościoła". Jednocześnie jednak przestrzega przed przyjęciem „postawy symetrystycznej", zgodnie z którą PiS i PO są siebie warte, a Wiosna zmiecie ze sceny politycznej i jednych, i drugich. Jak pisze: „Symetrystyczna narracja relatywizuje zagrożenie ze strony PiS dla demokracji i obecności Polski w UE, co osłabi obywatelski odruch obrony i może zdemobilizować mniej zdeterminowanych krytyków Kaczyńskiego. Ponadto atakując opozycję, Biedroń narazi się na kontratak, a ma słabe punkty. Choćby: brak wystarczających pomysłów na pokrycie ogromnych kosztów obiecywanych wydatków socjalnych; słabość kadr; niedopracowanie projektów".

Zwraca uwagę absolutnie instrumentalne traktowanie haseł Biedronia przez Pacewicza. Nieważne, czy Wiosna ma realistyczne pomysły socjalne – ważne, by w polemice z PO nie doszło do zbytniej bijatyki, bo tam, gdzie dwóch się bije – tam PiS skorzysta.

I wreszcie trzecia postawa w obozie III RP – manifest Marcina Króla „Rozważni i romantyczni". Tekst znów zbudowany wyłącznie na kryterium skuteczności Koalicji Europejskiej i Wiosny w zadaniu odsunięcia partii Jarosława Kaczyńskiego od władzy. Znany historyk idei głosi, że „skoro musi być populizm [jako antidotum na PiS – przyp. aut.], to niech będzie radosny. Jest miejsce dla dwóch opozycji, ale nie więcej".

Król argumentuje: „Gdyby udało się ukształtować dwa bloki opozycyjne, jeden dla rozsądnych, drugi dla radosnych, byłoby między czym wybierać […] Obecną władzę trzeba pokonać, sięgając po jej własną broń, czyli obietnice. Biedroń wcale nie poszedł w tym za daleko – jak sądzą niektórzy. Poszedł za głosem nadziei, a nie rozsądku i w tym jest jego siła". Król dość jasno głosi – niech Biedroń obiecuje, co chce, by tylko zniszczyć dobrą zmianę. A kiedy już wygramy – to potem się zobaczy. Cel uświęca środki.

Lider Platformy połyka słabszych partnerów, bo musi utrwalić swój status samca alfa w obozie antykaczyzmu, szczególnie gdy zagraża mu Donald Tusk

NOWA LEWICA, CZYLI EUFORIA

O ile Lis czy Król mają gdzieś losy lewicy, byleby wygrać z PiS-owskim smokiem, o tyle „Krytyka Polityczna" czy promotor prosocjalnej lewicy Rafał Woś są pełni nadziei, że Biedroń stworzy coś nowego i trwałego.

W imię tego celu publicyści nowej lewicy – Jakub Majmurek czy Adam Leszczyński – gotowi są wybaczyć byłemu prezydentowi Słupska nawet unikanie nazwy lewica na rzecz bardziej ogólnego hasła „polityki progresyjnej".

Dotąd elitarna lewica spod znaku Sławomira Sierakowskiego szarpała się między rozczarowaniem słabymi wynikami partii Razem, która odstręczała od siebie wszystkich ponurym pryncypializmem à la Adrian Zandberg, a absmakiem wobec SLD mającym cyniczną twarz Włodzimierza Czarzastego. Teraz nie dość, że pojawił się Biedroń – uśmiechnięty mistrz socjotechniki – to jeszcze ma u swego boku postacie bliskie „Krytyce Politycznej", takie jak Maciej Gdula czy Maciej Syska z wrocławskiego Centrum Lassalle'a.

Badania socjologiczne Gduli wykonane w 2017 r. na terenie małej pomorskiej miejscowości Miastko niosą w tym środowisku wiele nadziei. Mają być dowodem na możliwość pogodzenia haseł rewolucji obyczajowej z hasłami socjalnymi, które mają uwieść warstwy kupione przez PiS świadczeniem „500+". W niedawnym wywiadzie dla gazety „Polska The Times" Gdula mówił: „Kiedy w Miastku rozmawialiśmy z wyborcami PiS, oni bardzo często deklarowali, że chcieliby na przykład liberalizacji ustawy aborcyjnej. [...] postulaty związane z rozdziałem państwa i Kościoła czy prawa do aborcji wcale nie są organicznie związane z lewicowością i naprawdę nie wywołują jakiegoś powszechnego społecznego sprzeciwu, wręcz przeciwnie".

Ten typ nadziei w obozie nowej lewicy syntetycznie opisał na portalu „Krytyki Politycznej" Jakub Majmurek: „Po lewej stronie pojawia się refleksja, że Biedroń – zatapiając Razem w obecnej formie – robi miejsce dla prawdziwej, zakorzenionej w klasach ludowych, bojowej, populistycznej lewicy. Silnej w zakładzie pracy, blokadach eksmisji i na ulicy, nie w mediach. Walczącej o plebejski

eprasa.pl de79146524

elektorat PiS, Kukiza i narodowców, nie o sympatię piszących dla inteligenckiego czytelnika redaktorów. Atakującej III RP jeszcze ostrzej, niż kiedykolwiek odważyłby się Jarosław Kaczyński, a nie broniącej »demokracji przed PiS«. Bliższą Samoobronie niż lewemu skrzydłu Unii Wolności. Biedroń – zdaniem zwolenników tej koncepcji – odbiera lewicy wielkomiejski, liberalny elektorat, który nigdy tak naprawdę nie podzielał jej wartości i był w sumie tylko problemem. Wolna od balastu hipsterów ze Zbawixa, publicystek »Krytyki Politycznej« i redaktorów Agory lewica w końcu dotrze do prawdziwego ludu miast i wsi".

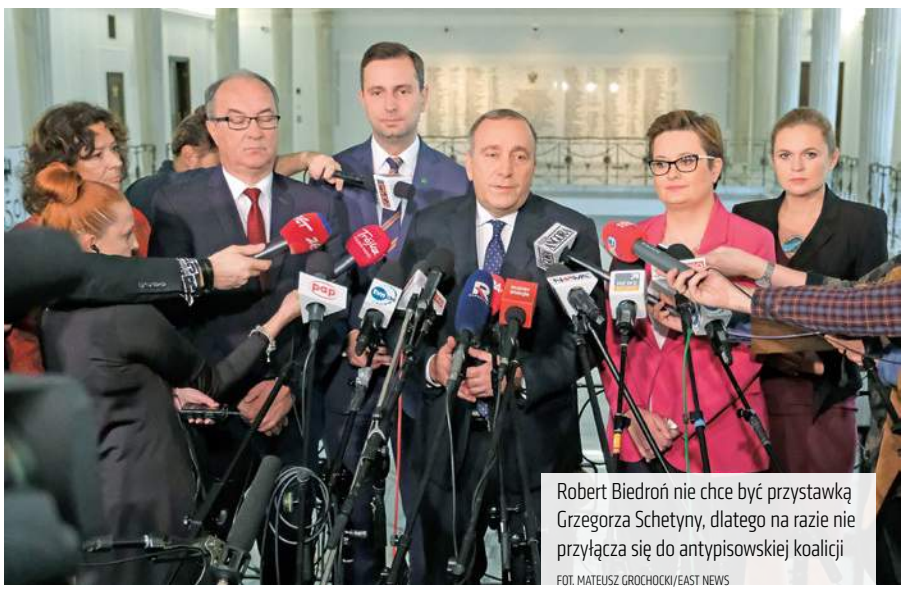

Robert Biedroń nie chce być przystawką Grzegorza Schetyny, dlatego na razie nie przyłącza się do antypisowskiej koalicji

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Majmurek pisze o tym z lekką ironią i dystansem, ale parę akapitów dalej udowadnia, że i on miewa takie marzenia. „W czerwcu 70 lat kończy Jarosław Kaczyński. Nie wiadomo, czy w wieku 74 lat będzie w stanie realnie kierować PiS. A bez niego prawicowy obóz może ulec dekompozycji. Plebejski, socjalny, podatny na antyelitarny i antysystemowy język elektorat może teoretycznie być do wzięcia". Majmurek jest na tyle uczciwy, by ostrzec czytelników „Krypola", że sojusz ludu z elitami uda się jedynie wtedy, gdy Wiosna nie będzie tylko kolejną operacją socjotechniczną mającą zapewnić elitom pełnię władzy.

Co ciekawe, znacznie mniej ostrożności w ocenie show Roberta Biedronia wykazuje Rafał Woś, który na łamach „Tygodnika Powszechnego" głosi, że samo pojawienie się Biedronia rozszczelni polską scenę polityczną dotąd zdominowaną przez PO i PiS, uruchomi proces powstania prosocjalnej lewicy. Woś pisze: „Biedroń na wiele pytań będzie musiał jeszcze odpowiedzieć. Wielu zapewne odepchnie i rozczaruje. Na razie jego największy atut polega na tym, że jest. I wprowadza do gry nową dynamikę, zdolną ruszyć starych, nudnych graczy z wygodnych pozycji".

Zachwyt nowym mesjaszem polskiej lewicy jest tak silny, że gdy niedawno partia Razem odrzuciła dość twarde warunki ze strony Biedronia wpuszczenia działaczy tej partii na listy Wiosny – na partię Adriana Zandberga posypały się gromy. Adam Leszczyński napisał na łamach „Krytyki Politycznej" surową reprymendę: „Negocjowanie czegokolwiek z Razem nie ma sensu. Partia jest zakładnikiem swoich radykałów, którzy wynoszą na zewnątrz wewnętrzne spory. Sprawia też wrażenie, jakby fiaskiem negocjacji chciała jak najbardziej zaszkodzić Biedroniowi – ugrupowaniu, które zapewne przejmie większość lewicowego elektoratu".

Ciekawe, jak szybko pojawił się ton – kto nie z Wiosną, ten szkodzi lewicy. Przypomina się antybiedroniowa retoryka Tomasza Lisa. A może Zandberg, nie ufając prosocjalnej lewicowości Biedronia, ma trafniejsze przeczucia?

KINDER NIESPODZIANKA

Rafał Woś, zachwycając się programowymi pomysłami Wiosny – choćby emeryturą obywatelską czy mocnym stawianiem kwestii płacy minimalnej – mało uwagi zwraca na podstawowy problem – wiarygodność prosocjalnej twarzy Biedronia. Znacznie trzeźwiej na szczerość jego występu w hali Torwaru spoglądał z prawej strony spektrum publicystycznego Piotr Zaremba. Opisując lidera Wiosny w „Plusie Minusie", podzielił się z czytelnikami swoim podejrzeniem, że Biedroń jako wrażliwiec społeczny to mit. W swoim tekście opisał, jak lider Wiosny w czasie konwencji cytował z trybuny rozmaite żale ludzi z dołu drabiny społecznej. Lider Wiosny nawiązał m.in. do pokazanego mu rzekomo rachunku sklepowego ubogiej 60-letniej pani Małgorzaty, której po niezwykle skromnych zakupach na życie zostało 10 zł. Zaremba pisze: „Można było odnieść wrażenie, że prezentowanie tych żali to rodzaj spektaklu. Opowieści o sklepowym rachunku starszej pani brzmią sugestywnie. Za bardzo sugestywnie, by nie przypisać ich specom od PR".

Mamy więc zdolnego politycznego showmana, który swoim dynamizmem uruchomił rozmaite nadzieje. „Właściciele III RP" w rodzaju Schetyny czy Lisa chcą od Biedronia jedynie wtopienia się w obóz mający przywrócić im pełnię władzy. Inni – jak Pacewicz – cieszą się z kogoś, kto przyjmie rolę młota na Kościół, ale boją się nieco nieprzewidywalności Biedronia. A jeszcze inni jak Marcin Król – trawestując dawne powiedzenie chińskiego komunistycznego pragmatyka Deng Xiaopinga – głosi: Kot może być czarny albo biały, byle zagryzł kaczyzm.

W innej sytuacji jest nowa lewica. Ona ma naprawdę dość stania od lat w roli obserwatora walki politycznej między liberałami a prawicą. I na dodatek nosi w sobie upokorzenie, że lud – ich wyśniony obiekt pożądania – wybrał PiS zamiast partii Razem czy Zielonych.

W tej sytuacji czepiają się nowej politycznej szansy, którą jakoby niesie ze sobą Biedroń. Cieszą się na obyczajową rewolucję, której Wiosna zdaje się zwiastunem. I jedyne, co psuje entuzjazm co bystrzejszych z nich, to pulsujące gdzieś podejrzenia: Czy kiedy tylko PiS zostanie już odsunięty od władzy – lider Wiosny nie porzuci aby socjalnego sztafażu? Czy nie wróci do życia sytego celebryty, fruwającego po świecie gdzieś między kongresami gejowskimi a wypoczynkiem w Nikaragui?

Kolejne pytanie to: Czy spełni się sen Macieja Gduli o „ludzie", który tak samo chce „500+", jak i aborcji na życzenie wraz z wygnaniem religii ze szkół? Już niedługo zobaczymy, czy tacy Polacy istnieją. I czy jest ich wystarczająco wielu, by zadecydować o wyniku wyborów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY HISTORIA

TYGODNIK „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

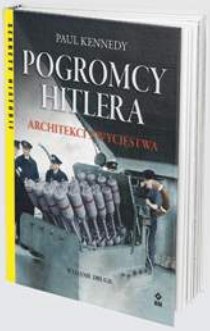

PAUL KENNEDY
„POGROMCY HITLERA. ARCHITEKCI ZWYCIĘSTWA"

~~721 ZŁ~~ > **280,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 441 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl de79146524

Łukasz Warzecha

Przekop niezgody

Czy przekop Mierzei Wiślanej to wyraz chorobliwej gigantomanii PiS, czy uzasadniony ekonomicznie i politycznie projekt? Nie ma łatwej odpowiedzi. Bo jedna i druga strona sporu utknęła na poziomie propagandy

eprasa.pl de79146524

FOT. ŁUKASZ DEMANOWICZ/FORUM

Centralny Port Komunikacyjny dostał mocne merytoryczne wsparcie ze strony ekspertów, a na czele firmy mającej realizować inwestycję stanął człowiek zajmujący się geopolityką i autor kilku znakomicie przyjętych książek na ten temat, dr Jacek Bartosiak (inna sprawa, że Bartosiak w zeszłym tygodniu zrezygnował, podobno – jak się nieoficjalnie mówi – ze względu na bolesne starcie z partyjnymi interesami i betonem w spółkach Skarbu Państwa. Dla CPK to duży problem wizerunkowy, ale też organizacyjny). Przekop Mierzei Wiślanej nie miał nigdy ani wsparcia w postaci mocnych analiz, ani kogoś, kto firmowałby przedsięwzięcie własną twarzą, nie będąc działaczem partyjnym.

Skonkretyzowany projekt po raz pierwszy pojawił się jeszcze za pierwszych rządów PiS. Plan ogłosił w listopadzie 2006 r. w Elblągu Jarosław Kaczyński. W 2007 r., pod koniec rządów jego partii, powstał plan finansowania budowy przekopu przez kolejne sześć lat. Całość miała kosztować 420 mln zł.

TUSK WĄTPIĄCY

Gdy władzę przejęła partia Donalda Tuska, przygotowania do przekopania Mierzei zostały zamrożone, trwały jedynie badania. W 2013 r. w Kwidzynie ówczesny premier tak wyjaśniał dziennikarzom swoje stanowisko w sprawie projektu: „Ja o tym mówiłem już wiele razy, także przy okazji głośnych wyborów uzupełniających w Elblągu. Czekam na szczegółowy raport, który opracowują naukowcy, m.in. z Gdyni. Ale będziemy weryfikowali ten raport z tego tytułu, że poprzednia analiza – wykonana pod kątem możliwości zdobycia środków europejskich – była jednoznacznie negatywna, jeśli chodzi o opłacalność tego przedsięwzięcia".

Na Mierzei Wiślanej od 2006 r. stoi niewielki pomniczek, pokazujący łopatę wbitą w kupkę ziemi. Pod łopatą widnieje tablica z napisem: „Symbol konieczności wykonania kanału żeglugowego, łączącego Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską. Przekop Mierzei konieczny – możliwy – potrzebny". Pod spodem podpisana jest fundatorka: Elżbieta Gelert, senator RP, 4 sierpnia 2006 r. Dowcip polega na tym, że Gelert była senatorem PO. W 2013 r. kandydowała na prezydenta Elbląga, przegrywając w drugiej turze z kandydatem PiS Jerzym Wilkiem. Jej pogląd na przekop mierzei sprzed sześciu lat nie do końca konweniował z poglądem Tuska, który mówił podczas kampanii przed wyborami w Elblągu: „Jeśli my dziś w Polsce mamy do wykonania gigantyczną ilość inwestycji pierwszorzędnej potrzeby, to z całą pewnością bardzo kosztowny projekt, o wątpliwym sensie ekonomicznym, przekopania Mierzei – muszę go ocenić – że dziś jest wyłącznie politycznym trikiem. […] Strach pomyśleć, co będą chcieli przekopać, bieg jakiej rzeki będą chcieli zmienić, jakie morze osuszyć po to, by wygrać wybory nasi oponenci".

Gelert stwierdziła zatem, że „modyfikuje swoje zdanie", i tłumaczyła: „Czy to ma być kanał, który będzie kanałem typowo turystycznym, i wtedy proszę bardzo – cały Zalew Wiślany i całą okolicę otwieramy dla turystyki. Czy to ma być dla przewozu materiałów".

DRUGIE PODEJŚCIE PIS

Po wygranych wyborach w 2015 r. PiS szybko wrócił do pomysłu przekopu. Dzisiaj jego koszt jest szacowany na ok. dwa razy tyle co w 2006 r. – mniej więcej 800 mln zł. Przekop to jeden z trzech dużych infrastrukturalnych pomysłów, które chce zrealizować PiS. Pozostałe dwa to CPK oraz tunel łączący dwie części Świnoujścia. Przekop jest najmniej oczywisty i najbardziej kontrowersyjny.

Nawet sceptycy muszą przyznać, że w przypadku CPK istnieją mocne argumenty zwolenników, a wątpliwości dotyczą nie tyle zasadności budowy dużego lotniska, ile raczej jego usytuowania daleko od Warszawy oraz skoordynowania jego budowy z powstaniem innych części projektu – przede wszystkim infrastruktury transportowej, w tym budowy kolei dużych prędkości.

Jeśli chodzi o tunel w Świnoujściu, to odpada argument opłacalności ekonomicznej, bo jasne jest, że nie o nią tutaj chodzi. Jedno z większych polskich miast, przecięte na pół Świną, opiera się na leciwych promach „Karsibór" i „Warszów", a w sezonie turystycznym czas oczekiwania na te pierwsze, przeznaczone dla osób spoza miasta, sięga kilkudziesięciu minut lub nawet paru godzin. Prędzej daje się czasem dojechać przez Niemcy. Połączenie na stałe obu części miasta staje się zatem kwestią cywilizacyjną, a inwestycja była postulowana od dawna.

Najmniej przejrzysta jest sytuacja na Mierzei Wiślanej. Na bok można by odłożyć lamenty ekologów nad każdym ściętym drzewem. Zresztą projekt, by choć częściowo zneutralizować wpływ na środowisko, zakłada budowę sztucznej wyspy, gdzie mają zostać przeniesione tereny lęgowe ptaków. Pamiętać jednak trzeba, że organizacje ekologiczne bywają narzędziem w ręku innych graczy. Można sobie więc zadać pytanie: Czy za protestami ekologów przeciwko przekopowi nie stoi dyskretny wpływ naszego wschodniego sąsiada, dla którego polska inwestycja jest problemem, odbiera mu bowiem wygodny instrument oddziaływania na Polskę w postaci Cieśniny Piławskiej?

KONTEKST GEOPOLITYCZNY

I właśnie kwestia geopolityczna to pierwszy punkt na liście argumentów

eprasa.pl de79146524

przemawiających za budową przekopu, dziś bowiem Rosja bardzo ogranicza możliwości korzystania z Cieśniny Piławskiej przez statki innych państw, co zresztą jest w sprzeczności z obyczajem międzynarodowym. Nawet jeśli uznamy, że Zalew Wiślany i port w Elblągu nie mają pierwszorzędnego znaczenia gospodarczego, to nadal istotne jest ich znaczenie z militarnego punktu widzenia, tymczasem jednostki marynarki wojennej państw trzecich na Zalew Wiślany w ogóle nie mogą wpłynąć. Sytuacja na zalewie jest źródłem problemów i sceną prowokacji, której Rosjanie są mistrzami. Czasem zaś trzeba przyjąć, że strategiczną, a nawet symboliczną, lecz przekładalną na politykę korzyść niesie ze sobą przedsięwzięcie niekoniecznie opłacalne ekonomicznie. Przykładów jest wiele, choćby gorący spór między Chinami a Japonią o skaliste, bezludne wysepki Senkaku na Morzu Chińskim.

Warto jednak spojrzeć na kwestię kanału przez mierzeję w szerszym geopolitycznym kontekście. Otwarcie tej drogi i uniezależnienie żeglugi po polskiej części zalewu od Rosji mieści się w amerykańskim planie strategicznym, obejmującym szlaki komunikacyjne północ-południe, w tym Via Carpatia, której budowa jest częścią infrastrukturalnego programu Trójmorza. Droga ma wprawdzie omijać rejon Elbląga od wschodu (do Polski ma dotrzeć w okolicach Suwałk, a dalej prowadzić na Ełk), ale to właśnie Elbląg byłby najbliższym przebiegowi trasy polskim portem morskim, a to może podnieść jego znaczenie. Dodatkowo trzeba pamiętać, że z Zalewu Wiślanego istnieje rzeczne połączenie z Gdańskiem przez Szkarpawę. Ogranicza je niestety głębokość rzeki, przy średnim stanie wody wynosząca 2,7 m. Umożliwia to żeglugę pasażerską, ale transport towarów mógłby się odbywać jedynie statkami rzecznymi (barkami).

Według pokazywanych obecnie wizualizacji przekop przecinałyby dwa drogowe mosty zwodzone o obrotowej konstrukcji przęsła, a pomiędzy nimi mieściłaby się śluza. Od strony Bałtyku wejście do kanału zostałoby osłonięte długimi falochronami. Jednak przedsięwzięcie nie miałoby sensu bez pogłębionej do czterech metrów z obecnych dwóch drogi wodnej do portu w Elblągu.

KONTENERY I TURYSTYKA

Najgorętszy spór dotyczy opłacalności gospodarczej projektu i możliwości elbląskiego portu. Samo to, że Elbląg nie mieści się bezpośrednio na wybrzeżu, nie jest jeszcze argumentem przeciwko. Takie jest usytuowanie wielu portów morskich, z których najbardziej znane to Hamburg, Lubeka, Rotterdam czy Antwerpia. Jednak Elbląg ma swoje ograniczenia. Jedno z nich to głębokość. Planowane dopuszczalne czterometrowe zanurzenie po pogłębieniu portu i toru wodnego pozwoli na zawijanie statkom rzeczno-morskim o ładowności nieco ponad 2 tys. ton, zabierającym niespełna 100 TEU (standardowa miara 40-stopowego kontenera). Dzisiaj port w Elblągu może obsługiwać barki do 1,2 tys. ton, o długości do 85 m. Port można oczywiście rozbudować, ale barierą pozostaje możliwość dotarcia do niego. Dla porównania – do portu w Gdyni i Gdańsku zawijają statki takie jak OOCL „Hongkong", największy kontenerowiec świata, o długości niemal 400 m, zabierający niemal 21,5 tys. TEU. Sceptycy stawiają więc pytanie: Czy jest sens rozwijać znacznie mniejszy port w niewielkiej odległości od dwóch dużych?

Otwarcie tej drogi i uniezależnienie żeglugi po polskiej części zalewu od Rosji mieści się w amerykańskim planie strategicznym

Tymczasem właśnie zmniejszenie odległości pomiędzy Elblągiem a tymi portami podawane jest jako jeden z głównych atutów projektu. Z Gdyni to dziś 82 mile morskie przez Cieśninę Piławską – po zbudowaniu kanału ma być 39. Z Gdańska dzisiaj jest 79 mil morskich – mają być 32 mile. Być może te trzy porty przy sprawnej logistyce i jednak większych możliwościach przewozowych nawet małych statków rzeczno-morskich w porównaniu z transportem lądowym mogłyby stworzyć ważny element systemu transportowego Trójmorza. Tyle że nikt takiej wizji dotąd nie przedstawił opinii publicznej, więc w powszechnej świadomości jako symbol przekopu trwa nieco groteskowa uroczystość wkopywania palików geodezyjnych na plaży przy udziale prezesa PiS.

Słabo dla Elbląga wypada zestawienie z niedalekimi polskimi portami. Port w Gdyni w 2018 r. przeładował ponad 23 mln ton, port w Gdańsku – 49 mln ton. W obu przypadkach widać dynamiczny wzrost. Elbląg pokazuje tymczasem dramatyczny spadek na przestrzeni dekady – w ubiegłym roku przeładunki sięgnęły tylko ok. 120 tys. ton. Profesor Włodzimierz Rydzkowski z Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Gdańskiego argumentował w „Rzeczpospolitej": „Z naszych wyliczeń wynika, że gdyby nawet obroty portu w Elblągu wzrosły do miliona ton rocznie, a stawki portowe zostały podwojone, to roczne wpływy portu sięgnęłyby 2 milionów złotych. Biorąc pod uwagę koszt budowy kanału, okazuje się, że nakłady zwracałyby się przez 450 lat". Elbląg miałby dodatkowo problem nie tylko z utrzymaniem głębokości toru wodnego (ciągła praca pogłębiarek to wyższe koszty), lecz także z zamarzaniem Zalewu Wiślanego, co oczywiście oznaczałoby ustanie żeglugi. Nad projektem ciąży więc widmo takich inwestycji jak porty lotnicze w Radomiu czy Łodzi, które okazały się porażką.

Zwolennicy przekopu nie kwestionują krytycznych wyliczeń i potwierdzają, że elbląski port nie przeładuje rocznie więcej niż nieco ponad milion ton, ale wskazują, że to tylko część prawdy, bo kanał miałby ogromny wpływ na rozwój regionu dzięki turystyce i biznesom, które zainstalowałyby się na terenie rozbudowanego portu.

Spór jest zapewne nie do rozstrzygnięcia, bo – jak wszystko dzisiaj – projekt stał się pałką do wzajemnego okładania się po głowach przez dwa obozy. Rządzący ignorują zasadne pytania o ekonomiczną opłacalność przedsięwzięcia, uderzając w suwerennościowy ton i licząc na głosy na Warmii i Mazurach. Opozycja oskarża PiS o gigantomanię i marnowanie publicznych pieniędzy, a dodatkowo w sukurs przychodzi jej Komisja Europejska, która chce pilnego spotkania z polskimi ekspertami. Przedstawiciele KE twierdzą, że nie chcą upolitycznienia tematu, co brzmi jak skrajna hipokryzja. Pretekstem do ewentualnej interwencji miałoby być powołanie się przez Polskę na wyjątek dający prawo pominięcia zgody środowiskowej UE na budowę w obszarze Natura 2000. Można się więc spodziewać kolejnej awantury z udziałem Brukseli.

Prace na Mierzei już się jednak zaczęły. A skoro tak, to trudno sobie wyobrazić, żeby stanęły w połowie. Kanał zapewne powstanie. Nie sposób dziś powiedzieć, czy da impuls rozwojowy regionowi, czy też koncertowo utopimy 800 mln w wodach Zalewu Wiślanego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

Na koncert Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Do wierszy Zbigniewa Herberta

Zaprasza Mecenas

LOTOS

GDAŃSK POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA IM. FRYDERYKA CHOPINA

18 MARCA 2019 r. GODZ. 20.00

eprasa.pl de79146524

Kamila Baranowska

Fachowiec od Wschodu

Zmiana na stanowisku ambasadora w Kijowie ma oznaczać także zmianę w relacjach polsko-ukraińskich. Czego można się spodziewać po Bartoszu Cichockim, obecnym wiceszefie MSZ, który za chwilę obejmie tę placówkę?

Na pewno mało kto się spodziewał tak szczerego wyznania jak to, że Polska powinna zaprosić Władimira Putina na obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Zwłaszcza że – po pierwsze – ostateczne i wiążące decyzje w tej sprawie jeszcze nie zapadły, a zaproszenia nie zostały wysłane, a – po drugie – sprawa nie leży akurat w gestii MSZ, lecz Kancelarii Prezydenta. Dlaczego zatem Bartosz Cichocki dał się w ogóle wciągnąć w takie dywagacje na antenie Radia RMF FM? – Nie chciałbym komentować słów wiceszefa MSZ. Dziwnie byłoby, gdybyśmy informowali, kto ma zostać zaproszony w sytuacji, gdy zaproszenia jeszcze nie trafiły do adresatów – komentuje dla „Do Rzeczy" Błażej Spychalski, rzecznik prezydenta Andrzeja Dudy.

W rozmowie z „Do Rzeczy" sam Cichocki nie bardzo chce wracać do swojej wypowiedzi. – Spekulacje na temat zaproszeń na obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej nie mają uzasadnienia. Prezydent Andrzej Duda nie potrzebuje rekomendacji w tej sprawie – odpowiada, przyznając pośrednio, że jego wypowiedź nie należała do najszczęśliwszych.

AMBASADOR Z MISJĄ

Dla przeciwników Bartosza Cichockiego ta historia to potwierdzenie tego, że choć na problematyce wschodniej się zna, to na dyplomacji już niekoniecznie. I że za szybko trafia na tak newralgiczną dla Polski placówkę. Najmocniej krytykują go ci, którzy dobrze oceniali dotychczasowego ambasadora Jana Piekłę i którzy uważają, że zmiana na tym stanowisku tuż przed wyborami na Ukrainie jest błędem.

„Uważamy, że w działaniach – zarówno związanych ze wspieraniem Ukrainy na polu dyplomatycznym, jak i dotyczących dwustronnych relacji w wymiarze historycznym i bieżącej polityki – zasadnicze jest budowanie zaufania. Dlatego RP na Ukrainie powinien reprezentować nadal dotychczasowy Ambasador Jan Piekło" – czytamy w liście do prezydenta Andrzeja Dudy. List podpisało grono ekspertów, dziennikarzy i publicystów, zajmujących się problematyką wschodnią (m.in. Agnieszka Romaszewska, Maria Przełomiec, Bogumiła Berdychowska, Marcin Rey).

– To, że ktoś broni Jana Piekły, nie oznacza, że uważa Bartosza Cichockiego za złego kandydata na ambasadora, to nie ma związku – uważa Paweł Kowal.

Z naszych rozmów wynika jednak, że część osób ma za złe Cichockiemu, iż przyjął propozycję objęcia placówki po tym, jak odwołano Jana Piekłę. Znamienne, że większość osób, z którymi rozmawiamy chce pozostać anonimowa. Krytycy Cichockiego, by nie podpaść MSZ i jemu samemu, a obrońcy, by nie podpaść środowisku protestującemu w obronie Piekły.

– Żeby odwoływać ambasadora w tak ważnym momencie, trzeba mieć naprawdę ostry powód. Robienie tego ot tak sobie obciąża także wiceministra Cichockiego, bo nie dość, że zgodził się na to odwołanie, to także zgodził się zastąpić Jana Piekłę. To nie jest czysta sytuacja – mówi nam jeden z rozmówców, proszących o anonimowość. Kolejny rozmówca też nie kryje emocji, gdy mówi, że „Piekło musiał odejść, by zrobić miejsce Cichockiemu", który sobie tę posadę „wychodził". Nie przekonują ich ani słowa ministra spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza o tym, że wysłanie wiceministra spraw zagranicznych „podkreśla rangę naszych stosunków", ani zapewnienia prezydenta Andrzeja Dudy, że to „de facto wzmocnienie przedstawicielstwa politycznego i wzmocnienie, jeżeli chodzi o relacje z MSZ".

Jednak wśród osób zajmujących się Wschodem można też znaleźć skrajnie odmienne opinie. – Jan Piekło był klasycznym ambasadorem z misją. To taki typ, który z czasem staje się bardziej ambasadorem kraju, do którego przyjechał, niż tego, który go wysłał. Nie dziwię się, że rządowi w Warszawie zaczęło to przeszkadzać – opowiada nasz rozmówca, mający rozeznanie w środowisku.

Do Jana Piekły rządzący mieli pretensje m.in. o to, że w niewystarczający sposób bronił polskiego stanowiska w sprawach

eprasa.pl de79146524

Bartosz Cichocki od 2017 r. jest podsekretarzem stanu w MSZ
FOT. MARCIN OBARA/PAP

historycznych. Rząd liczy, że Cichocki będzie w tej sprawie bardziej stanowczy i bardziej podatny na uwagi z Warszawy. Bo ambasador – jak słyszymy – powinien być łącznikiem między rządami, a nie kreatorem własnej wizji polityki.

Sam Bartosz Cichocki mówi, że do krytycznych opinii na temat swojej nominacji podchodzi ze spokojem. – Nie odbieram osobiście różnych opinii na temat decyzji kadrowych MSZ dotyczących placówki w Kijowie. Te zmiany były przygotowywane od dawna i nie mają źródeł personalnych – podkreśla. – Sprawy ukraińskie, relacje polsko-ukraińskie zawsze wywołują żywe, czasem jaskrawe reakcje polskiej opinii publicznej – dodaje.

MOCNE OCENY

Cichocki (rocznik 1976), z wykształcenia historyk, do MSZ trafił w 2017 r., jeszcze gdy szefem resortu był Witold Waszczykowski. Dostał szeroki wachlarz zagadnień, którymi miał się zająć – jako podsekretarz stanu był odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa, polityki wschodniej i polityki europejskiej. Jacek Czaputowicz zachwala, że to „profesjonalista, który nadzorował Departament Wschodni MSZ i zna świetnie sprawy ukraińskie".

Nie jest tajemnicą, że Cichocki jest dość dobrze oceniany przez premiera Mateusza Morawieckiego. Gdy wybuchł kryzys, związany z nowelizacją ustawy o IPN, to właśnie on stanął na czele zespołu do spraw dialogu prawno-historycznego z Izraelem. Dwa lata spędzone w resorcie określa jako „ciekawe i pracowite".

Zanim tam trafił, pracował w polskiej ambasadzie w Moskwie (był m.in. rzecznikiem prasowym) i doradzał szefowi Agencji Wywiadu. Wcześniej był specjalistą do spraw polityki zagranicznej w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego. Był związany m.in. z Ośrodkiem KARTA, Ośrodkiem Studiów Wschodnich i Polskim Instytutem Spraw Międzynarodowych. – To człowiek od wielu lat zajmujący się polityką wschodnią, z doświadczeniem w dyplomacji. Ma własne poglądy, nie zawsze się z nim zgadzam, ale uważam, że gdyby stworzyć kryteria, które musi spełniać idealny kandydat na ambasadora, to on spełniałby wszystkie – mówi Paweł Kowal.

Cichocki to jeden z wcale nie tak wielu przykładów przejścia eksperta w danej konkretnej dziedzinie do dyplomacji czy szerzej – polityki. – Na pewno łatwiej jest być zewnętrznym ekspertem, który może dowolnie oceniać decyzje polityków – przyznaje w rozmowie z „Do Rzeczy". – Nie żałuję jednak decyzji o przyjęciu propozycji ministra Waszczykowskiego pracy w MSZ. Odpowiedzialność za decyzje, których uwarunkowaniami nie zawsze możemy dzielić się ze społeczeństwem, wiąże się bowiem z szansą wniesienia – drobnej, ale jednak – korekty w funkcjonowaniu państwa przez wiele lat psutego – mówi.

Co w polityce zaskoczyło go najbardziej? – Najbardziej mnie zaskoczył stopień ideologizacji i podwójnych standardów w relacjach międzynarodowych. Dotyczy to zarówno UE, prasy międzynarodowej, jak i sprawy relacji z Izraelem. Liberalno-lewicowa lokomotywa nie akceptuje wolnych wyborów narodów na rzecz konserwatystów – odpowiada.

Cichocki jako wiceszef MSZ nie stroni od mocnych ocen i opinii, także w mediach społecznościowych, gdzie jest dość aktywny. Na Twitterze zdarzało mu się komentować m.in. wydarzenia dotyczące Ukrainy. Kiedy ambasada Ukrainy w Polsce stwierdziła, że „wysoce docenia stanowisko Polski na rzecz zaostrzenia sankcji wobec Rosji" i nadal liczy na „wsparcie świata demokratycznego", Cichocki odpisał: „To dobra wiadomość, że orientujecie się na demokrację. Po wtorkowym głosowaniu deputowanych BPP w Radzie Obwodu Lwowskiego za ustanowieniem roku 2019 Rokiem Stepana Bandery i OUN miałem chwilę zawahania". Innym razem dość ostro wytykał Brytyjczykom, że przyznali wydalonej z Polski Ludmile Kozłowskiej wizę pomimo posiadania w tej sprawie informacji od polskiego kontrwywiadu.

Największą furorę na Twitterze zrobiło jednak jego pismo, które wystosował do redaktor Katarzyny Gójskiej z telewizji Republika, a które za pośrednictwem Twittera przekazał jej mężowi Michałowi Rachoniowi z TVP. Sprawa dotyczyła zastrzeżeń strony rosyjskiej do jednego z programów wyemitowanych w TVP, w którym pokazano plakat z napisem: „Achtung Russia!". MSZ przesłało uwagi Rosji do TVP z prośbą o odpowiedź na nie. Podczas wywiadu w telewizji Republika redaktor Gójska zarzuciła Cichockiemu, że wystosowane do TVP pismo było „kłamliwe, cenzorskie i grożące", i zwróciła się o jego upublicznienie. Co też Cichocki uczynił, tyle że na Twitterze. Dziennikarka oświadczyła, że to było celowe upokorzenie jej, i zarzuciła wiceministrowi seksizm.

WEWNĘTRZNA ROZGRYWKA

Po tej historii niektórzy obserwatorzy uznali, że wokół Cichockiego i jego wyjazdu do Kijowa toczy się jakaś wewnętrzna gra w szeroko rozumianym obozie prawicy. Tłumaczyli, że atak ze strony telewizji Republika nie był przypadkowy. Pytanie, na ile dyplomatycznie w tej sprawie zachował się sam wiceminister. Chociaż fakt, że o sprawie nie chce więcej rozmawiać, może świadczyć o tym, że pewne wnioski wyciągnął.

– Chce być wyrazisty, a to niepotrzebne. Myślę, że teraz wyhamuje trochę swoją aktywność medialną i będzie bardziej uważał na słowa – mówi jego znajomy. Tymczasem minister Czaputowicz chwali Cichockiego właśnie za jego styl. – Minister Cichocki ma swój zdecydowany styl działania, jasno, otwarcie mówi o pewnych problemach; a przecież nie o to chodzi, żeby udawać, że ich nie ma, bo te problemy są. Trzeba je w sposób dyplomatyczny artykułować i rozwiązywać – powiedział.

Z naciskiem na dyplomatyczny, chciałoby się dodać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

Jesienią w Zarzeczu koło Niska wandale zniszczyli 22 figury świętych FOT. ANDRZEJ CAPIGA/FOTO GOŚĆ/FORUM

Zaszczuć księdza

Wojciech Wybranowski

Wzrosła liczba gróźb wobec kapłanów oraz przypadków nękania osób duchownych różnych wyznań. Oficjalne statystyki, do których dotarło „Do Rzeczy", nie oddają pełnej skali zjawiska, ponieważ poszkodowani często nie zgłaszają takich spraw funkcjonariuszom

Popaprańcu do psychiatry [...]. Niech kościół odpierd...i się od polityki [...]. Obowiązkowa kastracja chirurgiczna dla każdego obecnego księdza i każdego, który chce zostać klechą [...]" – to jedna z licznych wiadomości, jaką niedawno na swoją skrzynkę otrzymał ksiądz prezbiter Janusz Chyła, proboszcz w parafii Matki Bożej Królowej Polski w Chojnicach.

Ksiądz Chyła, autor książki „Ewangelia na Twitterze" i aktywny użytkownik mediów społecznościowych, regularnie otrzymuje również wyzwiska i pogróżki drogą elektroniczną. Jedna z nich zawierała m.in. wizerunek młodego człowieka z krzyżem wbitym w czoło i dopiskiem: „To jedna z ulubionych tortur w naszej firmie. Tobie też taką sprawimy Januszu katolicyzmu".

– Oprócz pogróżek internetowych, e-mailowych zdarzają się też telefony, zwłaszcza po moich publicznych wystąpieniach np. w sprawie in vitro. Oczywiście sobie z tym radzę, ale co jakiś czas mam do czynienia właśnie z takimi agresywnymi reakcjami – opowiada nam chojnicki proboszcz.

GROŹBY, NĘKANIE, ZAKŁÓCENIA...

Jak wynika z danych, do których dotarło „Do Rzeczy", w 2017 r. funkcjonariusze policji potwierdzili cztery przypadki kierowania gróźb karalnych pod adresem osób duchownych. W ubiegłym roku ta liczba wzrosła do sześciu potwierdzonych zdarzeń. Coraz więcej jest też przypadków uporczywego nękania kapłanów w taki sposób, że – jak twierdzą policjanci – mogło to u nich wzbudzić poczucie zagrożenia. W 2016 r. doszło do sześciu takich zdarzeń, rok później – do czterech, za to w ubiegłym roku – już do 10 takich przypadków.

Problemem zaczynają stawać się próby zakłócania uroczystości religijnych, wtargnięcia do świątyń pojedynczych osób lub grupek agresorów, które uniemożliwiają odprawienie nabożeństwa. W 2018 r. funkcjonariusze policji 12-krotnie wszczynali postępowanie w takich sprawach. Rok wcześniej podobnych incydentów było 14, z kolei w 2016 r. – 13.

We wrześniu ubiegłego roku w Białymstoku podczas mszy świętej odprawianej w jednym z tamtejszych kościołów dwóch mężczyzn rozebrało się i zaatakowało duchownych odprawiających wieczorne nabożeństwo. Interweniowała policja. Kilka miesięcy wcześniej do jednego z kościołów w Żorach wtargnął agresywny mężczyzna, który zaczął wyzywać wiernych uczestniczących we mszy świętej. Z kolei w marcu ubiegłego roku podczas wieczornej adoracji krzyża w kościele przy pl. Wolności w Kutnie młody mężczyzna zaatakował modlących się ludzi. Kiedy ministrantowi i kościelnemu udało się wyprowadzić agresora, ten wyciągnął pistolet na stalowe kulki i oddał dwa strzały. Na szczęście nikogo nie udało mu się zranić.

Kapłani, z którymi rozmawialiśmy, przyznają, że coraz częściej stają się ofiarami agresji – zwykle słownej: wyzwisk i zniewag, ale niezwykle rzadko zgłaszają je na policję. W połowie ubiegłego roku ks. Daniel Wachowiak, proboszcz parafii NMP Wniebowziętej w Piłce, idąc ulicami Poznania, został znieważony i opluty przez kilku młodych ludzi, usłyszał też groźby i wulgaryzmy.

– Chociaż próbuję być realistą, to jednak od lat nie potrafię zrozumieć wstrętu

eprasa.pl de79146524

wobec tego, co katolickie. Z jednej strony niemal 9 na 10 Polaków uważa się za katolików, a z drugiej wiele osób wyśmiewa na co dzień ludzi, którzy nie kryją tego, że im zależy na życiu zgodnie z nauką Kościoła katolickiego. Przejawia się to w potężnej, użyję tutaj modnego dziś sformułowania, mowie nienawiści – mówi nam ks. Wachowiak.

Kilka miesięcy temu ktoś namalował swastykę na drzwiach kościoła w Chojnicach, w którym kapłanem jest ks. Chyła. Zanim wezwano policję, parafianie sami zamalowali symbol. Krótko po tym zdarzeniu jego wikariusz, idąc z komunią świętą do chorego mieszkańca Chojnic, został zaczepiony i zwyzywany przez grupę mężczyzn popijających piwo na miejscowym skwerku. Jeden z agresorów rzucił się w kierunku kapłana, szczęśliwie został powstrzymany przez kompanów.

– Spotykają mnie w tzw. rzeczywistym świecie, nie wirtualnym, również wyzwiska i pogróżki, ale nie jest to zjawisko tak częste jak na Twitterze. Moi znajomi prawnicy podpowiadają, żeby coś z tym zrobić, ale mam zbyt dużo duszpasterskich zajęć, by chodzić po sądach czy prokuraturach – mówi nam chojnicki proboszcz.

ZNISZCZONE KRZYŻE, NAPADY NA PLEBANIE

Według policyjnych statystyk w 2018 r. 56 razy miało miejsce znieważenie przedmiotów czci religijnej, miejsc kultu bądź urażenie uczuć religijnych. Dobra wiadomość jest taka, że liczba przestępstw tego typu spadła. W 2017 r. odnotowano ich aż 101.

Do najbardziej drastycznego przypadku doszło w styczniu ubiegłego roku w kościele pw. św. Maksymiliana Marii Kolbego w Szklarskiej Porębie. Młoda kobieta włamała się do tamtejszej zakrystii przez okno i spaliła znajdujące się w tabernakulum konsekrowane Hostie. Jesienią w Zarzeczu koło Niska wandale zniszczyli 22 figury świętych, zaś w nocy z 24 na 25 grudnia ubiegłego roku grupa ludzi w Grodźcu koło Opola ścięła krzyże oraz zniszczyła figury Jezusa i Najświętszej Maryi Panny.

Wygląda na to, że – mimo tendencji malejącej – wciąż problemem są włamania do świątyń. W 2018 r. doszło do 285 przypadków kradzieży z włamaniem do kościołów lub na plebanie. Rok wcześniej było ich 338, a w 2016 r. – 375. Samych kradzieży w świątyniach w ubiegłym roku stwierdzono 378, w 2017 r. – 385, w 2016 r. – 441.

W kwietniu ubiegłego roku zamaskowany mężczyzna wtargnął do budynku parafii pw. św. Bartłomieja Apostoła w Sępolnie Krajeńskim i zaatakował tamtejszego proboszcza, żądając pieniędzy. Bandyta zbiegł z niewielkim łupem, ranny ksiądz trafił do szpitala. W lutym do podobnego napadu doszło w pobliskim Sośnie – napastnicy pobili tamtejszego księdza i zrabowali pieniądze oraz drogocenne przedmioty kultu. W lipcu 2017 r. bandyta napadł na plebanię w Lipnie, brutalnie pobił proboszcza i jego 80-letnią matkę. Ukradł… 50 zł.

Nadal na niepokojąco wysokim poziomie z niewielką tendencją spadkową utrzymują się przestępstwa związane ze znieważeniem zwłok i miejsc pochówku. W 2018 r. – 170 przypadków, w 2017 – 184, w 2016 – 237 zarejestrowanych spraw. Wciąż aktywne są tzw. hieny cmentarne – w 2018 r. stwierdzono 429 kradzieży z grobów, rok wcześniej – 509.

WALKA DOBRA ZE ZŁEM

Kilka miesięcy temu ksiądz katolicki Tadeusz Isakowicz-Zaleski poinformował o e-mailu z pogróżkami, które otrzymał po tym, gdy opublikował krytyczną recenzję filmu „Kler". Nieznany mężczyzna pisał do niego: „Wszystkich was należy pozabijać i spalić wasze świątynie […]. Spier…j i obyś zdechł!".

Głośny film Smarzowskiego został wykorzystany jako element prowadzonej przez środowiska lewicowe kampanii wymierzonej w Kościół katolicki. Niemal równocześnie z nim pojawiło się wiele publikacji, w których zarzucano Kościołowi wręcz chronienie pedofilów, a księża katoliccy w Polsce przedstawiani byli niemal jak członkowie przestępczej szajki. Radykalnie lewicowi politycy zaczęli głosić hasła „wyprowadzenia religii ze szkół" czy likwidacji Funduszu Kościelnego. W populistycznych, antyklerykalnych hasłach najdalej posunął się lider Wiosny Robert Biedroń, który niedawno ogłosił, że domaga się renegocjacji umowy między Polską a Watykanem. Czy antyklerykalna kampania ma wpływ na poziom niechęci i agresji wobec księży katolickich w Polsce?

– Chociaż spotykając się z ludźmi, czuje się nadal ich życzliwość wobec kapłanów, muszę przyznać, że po projekcji filmu „Kler" Wojciecha Smarzowskiego zauważam więcej niechęci wobec księży i ludzi Kościoła – mówi „Do Rzeczy" ks. Bartłomiej Koziej z parafii św. Ojca Pio w Ostródzie. – Zaczęły się pojawiać pytania, czy wszyscy księża to pedofile, dlaczego Kościół nienawidzi homoseksualistów, czy księża zarabiają dużo pieniędzy itd. Ostatnio odwiedzając parafian, na drzwiach wejściowych do bloku przywitał mnie napis: „WOŚP klechy won" – dodaje nasz rozmówca.

Ci z kapłanów katolickich, z którymi rozmawialiśmy, dalecy są od jednoznacznych ocen, ale zauważają jednak wiele niepokojących zjawisk.

– Najbardziej fala agresji narasta w mediach społecznościowych, nazwałbym to ogólną nagonką na Kościół, by Kościół poniżyć, zdyskredytować – twierdzi ks. Tomasz Brussy, przez wiele lat związany z Katolickim Stowarzyszeniem Młodzieży Archidiecezji Poznańskiej. – Wydaje mi się, że jest inspirowana, jednak nie potrafię powiedzieć, kto nią kieruje. Może to zabrzmi dość górnolotnie, jednak uważam, że ta nagonka wpisuje się w odwieczną walkę dobra ze złem. Jak mówił często Jan Paweł II, to walka między cywilizacją życia a cywilizacją śmierci. To walka o duszę człowieka – dodaje nasz rozmówca.

Ksiądz Janusz Chyła jest aktywnym użytkownikiem mediów społecznościowych, gdzie m.in. zwraca uwagę na agresję wobec Kościoła. Sam wielokrotnie słyszał pod swoim adresem obelgi FOT. WOJCIECH WYBRANOWSKI

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

Agnieszka Niewińska

FOT. MNWORG.PL/POLONEZROWNOSCI

Smak homopoloneza

To nie maturzyści z Warszawy wymyślili poloneza w jednopłciowych parach. To pomysł organizacji LGBT oraz Ben & Jerry's – marki lodów, która walczy o prawa gejów i lesbijek na świecie, a teraz ma plan dla Polski

Prasowanie koszuli i wiązanie krawata. Cień nakładany na powieki i praca nad fryzurami, by na szkolnym balu wypaść jak najpiękniej. Tak wyglądały przygotowania do studniówki uczniów warszawskiego I Społecznego Liceum Bednarska, które można obejrzeć na filmie udostępnionym przez Stowarzyszenie „Miłość nie Wyklucza". Widzimy też eleganckich maturzystów ruszających do poloneza otwierającego każdą studniówkę. Na parkiet wchodzą w parach – tyle że jednopłciowych.

„Tańczymy poloneza równości, bo kochamy i wspieramy naszych homoseksualnych przyjaciół, którzy codziennie są zmuszani do ukrywania się ze swoją miłością" – wyjaśniają maturzyści w filmie.

PRECEDENS Z BEDNARSKIEJ

Jedni gratulowali młodzieży odwagi i bili brawo dyrekcji. Inni zarzucali szkole kulturową dekonstrukcję i wpuszczanie do szkoły polityki. Temat poloneza nie jest jednak nowy. Już w 2013 r. przez media przetoczyła się dyskusja na jego temat – po tym gdy Agnieszka Kozłowska-Rajewicz, ówczesna pełnomocniczka rządu ds. równego traktowania, objęła patronat nad podręcznikiem „Lekcja równości". Studniówka i polonez zostały tam wskazane jako „przykład dyskryminacji pośredniej". W publikacji zaznaczono, że choć wprost nikt nie zakazuje parom jednopłciowym udziału w polonezie, to nie było jeszcze takiego precedensu. Za sprawą uczniów Bednarskiej już taki jest.

– Badania pokazują, że 70 proc. uczniów LGBT+ myśli o samobójstwie. Zbyt często orientacja homoseksualna, a nawet jej domniemanie sprawiają, że młodą osobę się w szkole zaszczuwa – mówi Hubert Sobecki ze Stowarzyszenia „Miłość nie Wyklucza", które wsparło akcję „Polonez równości". – W społecznym liceum Bednarska nie ma problemu z tym, żeby homoseksualni uczniowie przyszli na studniówkę ze swoją dziewczyną lub z chłopakiem, ale naiwnością jest sądzenie, że tak jest w całej Polsce. Prawicowe media i organizacje robią wszystko, by jak najbardziej utrudnić życie osobom LGBT+, często je dehumanizując i kompletnie nie licząc się z konsekwencjami. Znamy historie osób homoseksualnych, które wręcz uciekły ze swoich małych miejscowości, bo nie wytrzymały życia w ciągłym strachu. Czy pozwolenie młodym osobom LGBT+, żeby czuły się w swojej szkole bezpiecznie i zatańczyły na studniówce poloneza z kimś, kogo kochają, to naprawdę tak wiele?

Kazimierza Przeszowskiego z Centrum Życia i Rodziny taka argumentacja nie przekonuje. – A jeśli ktoś żyje w trójkącie? Czy powinien zatańczyć poloneza w trójce? A co z tymi, którzy żywią uczucia do nauczyciela, mają romans z osobą będącą czyimś małżonkiem? Mają z nimi w parze zatańczyć poloneza? Polonez nikogo nie dyskryminuje. Zwykle na studniówkach tańczyło się go z kolegami i koleżankami ze szkoły, kryteria doboru tańczących w dwójki były różne i często niezależne od tego, czy w klasach były pary, czy nie. Zadbanie o to, by w szkole każdy był szanowany, to zadanie dla dyrektorów i MEN. Polonez nie ma z tym nic wspólnego. To tradycyjny taniec i nie powinien służyć ideologicznym manifestacjom – mówi Przeszowski.

Głos w sprawie akcji zabrali też sami uczniowie Bednarskiej. Podkreślali, że podczas studniówki były dwa polonezy. W jednym udział wzięły pary damsko-męskie, w drugim jednopłciowe, a udział był dobrowolny.

Dyrektor liceum Wanda Łuczak tłumaczyła z kolei serwisowi Elleman.pl, że decyzje o udziale w akcji podjęli maturzyści, ale sam pomysł nie wyszedł od nich. – W grudniu przyszli do mnie ludzie z fundacji

eprasa.pl de79146524

„Miłość nie Wyklucza" i firmy Ben & Jerry's, by przekonać mnie, żebym się zgodziła na zorganizowanie w naszej szkole poloneza, w którym będą tańczyć pary jednopłciowe. Powiedziałam wyraźnie, że nie muszą mnie do tego przekonywać – mówiła dyrektor Łuczak.

Stowarzyszenie „Miłość nie Wyklucza" działa na rzecz prawa do małżeństwa dla osób LGBT od 2009 r. Ben & Jerry's to z kolei marka lodów. W Polsce obecna jest dopiero od 2017 r., ale już zdążyła m.in. wesprzeć finansowo Paradę Równości, wystawić własne stoisko w Miasteczku Równości i odtworzyć na warszawskim pl. Zbawiciela tęczę – hologramową.

– Wierzymy w to, że biznes powinien dostarczać ludziom więcej niż tylko usługi czy produkty. Jest to zapisane w naszym DNA i wynika z silnie rozwiniętej misji społecznej marki, która skupia się na dwóch filarach: zmianach klimatycznych i sprawiedliwości społecznej – tłumaczy współpracę Ben & Jerry's z organizacjami LGBT Maciej Lasoń, rzecznik koncernu Unilever, który jest dziś właścicielem lodowej marki.

LODOWY „SZANTAŻ"

Firma Ben & Jerry's została założona w Stanach Zjednoczonych w 1978 r. przez Bena Cohena i Jerry'ego Greenfielda. Od lat słynie ze wsparcia dla organizacji gejowskich na świecie. Z tematem małżeństw osób tej samej płci jest identyfikowana na tyle mocno, że wiele osób jest nawet przekonanych, iż Cohen i Greenfield są homoseksualną parą (choć tak nie jest).

Założyciele marki poznali się w szkole. Jak po latach w filmie BBC wspominał Jerry, nie należeli do towarzyskiego szkolnego mainstreamu, byli raczej fajtłapami. Po skończeniu szkoły wynajęli wspólnie mieszkanie i zamieniali jedną nieperspektywiczną pracę na drugą. – Byliśmy chyba jedynymi wśród naszych znajomych, którzy nie odnieśli sukcesu. Pomyślałem więc, że spróbuję otworzyć własny biznes i może zrobię to z Jerrym – opowiadał Ben.

Łączyło ich zamiłowanie do jedzenia, więc postawili na branżę spożywczą. W grę wchodziły bajgle i lody. Sprzęt do robienia bajgli był jednak za drogi. Tańsze okazało się wyposażenie do produkcji lodów. Skończyli korespondencyjny kurs lodziarstwa i w opuszczonej stacji benzynowej w Burlington w stanie Vermont otworzyli biznes.

Ich lody były jak na tamte czasy niestandardowe – z dużymi kawałami czekolady, ciastek, precli. Klimat lokalu dwóch hippisów – jak ich nazywano – przypadł mieszkańcom do gustu. Vermont nie jest jednak słonecznym stanem, a ostra zima debiutującym lodziarzom dała się we znaki. Żeby utrzymać biznes, postanowili wyjść ze swoją ofertą poza stan, wprowadzać swoje przysmaki w innych lodziarniach i znaleźć się na sklepowych półkach. Musieli w tym celu stoczyć bój z lodowym gigantem Häagen-Dazs, który blokował im dystrybucję, ale wyszli z tej potyczki z tarczą.

Już w początkach firmy postulaty organizacji gejowskich były wybijającym się tematem wśród społecznych działań Ben & Jerry's. W 1989 r. jako pierwszy pracodawca w Vermont Ben & Jerry's wprowadziło ubezpieczenie zdrowotne dla partnerów swoich pracowników, które obejmowało także związki homoseksualne. Powołaną w 1985 r. fundację Ben & Jerry's (firma zdecydowała się przekazywać jej co roku 7,5 proc. dochodów przed opodatkowaniem) zasilił grantami np. PFLAG – organizacja zrzeszająca rodziny i przyjaciół osób LGBT.

W 2000 r. właścicielem Ben & Jerry's został koncern Unilever, ale lodowa marka nie zmieniła ideowego oblicza. W 2009 r. świętowała w Vermont legalizację homoseksualnych ślubów, zmieniając nazwę i opakowanie lodów z precelkami. „Chubby Hubby" („Pulchny mężuś") stał się na miesiąc „Hubby Hubby" („Mężuś Mężuś"). Na pudełku znalazł się rysunek weselnego tortu zwieńczony figurkami dwóch panów w garniturach. W jednej z lodziarni Ben & Jerry's w Georgetown zorganizowano nawet ślub pary gejów.

W 2017 r. firma zastosowała lodowy „szantaż" wobec Australii. Zdecydowała, że nie będzie sprzedawać klientom dwóch takich samych kulek lodów dopóty, dopóki kraj ten nie zalegalizuje małżeństw homoseksualnych. Aktywnie zabiegała również o ich legalizację we wszystkich amerykańskich stanach.

POLSKA: CEL NA ROK 2025

Na swojej polskiej stronie Ben & Jerry's zamieściło stanowisko w sprawie polskich przepisów. „Teraz nadszedł czas, aby bronić sprawiedliwych i równych praw dla wszystkich, dając naszym politykom do świadomości, że domagamy się równości małżeńskiej" – apeluje firma.

Maciej Lasoń zapewnia jednak, że marka nie planuje występować w roli gracza politycznego. – Problem braku równouprawnienia osób LGBT jest przede wszystkim problemem społecznym, który dotyka osobiście milionów ludzi na świecie. Mocno wierzymy w to, że każda kochająca się para, niezależnie od płci, powinna mieć prawo do zawarcia małżeństwa – przekonanie to nie ma żadnego związku z polityką – zapewnia.

„Polonez równości" to z pewnością nie ostatnia akcja, w którą zaangażowało się Ben & Jerry's, bo marka podpisała długoterminowe umowy z organizacjami LGBT. – Wraz ze Stowarzyszeniem „Miłość nie Wyklucza" i fundacją Wolontariat Równości zawiązaliśmy współpracę, której celem jest osiągnięcie równości małżeńskiej do roku 2025 – informuje Lasoń.

Marek Grabowski z Fundacji Mamy i Taty jest zdania, że to nie muszą być jedynie mrzonki organizacji LGBT: – W Polsce te grupy działają według tego samego schematu co na Zachodzie. Stosują „taktykę salami", mają za sobą organizacje polityczne i biznes, który we wsparciu ich postulatów upatruje szansy na większe zyski. Przy bierności polityków, którą mamy w tej chwili, może się okazać, że tzw. małżeństwa homoseksualistów z prawem do adopcji dzieci zostaną zalegalizowane za cztery, pięć lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

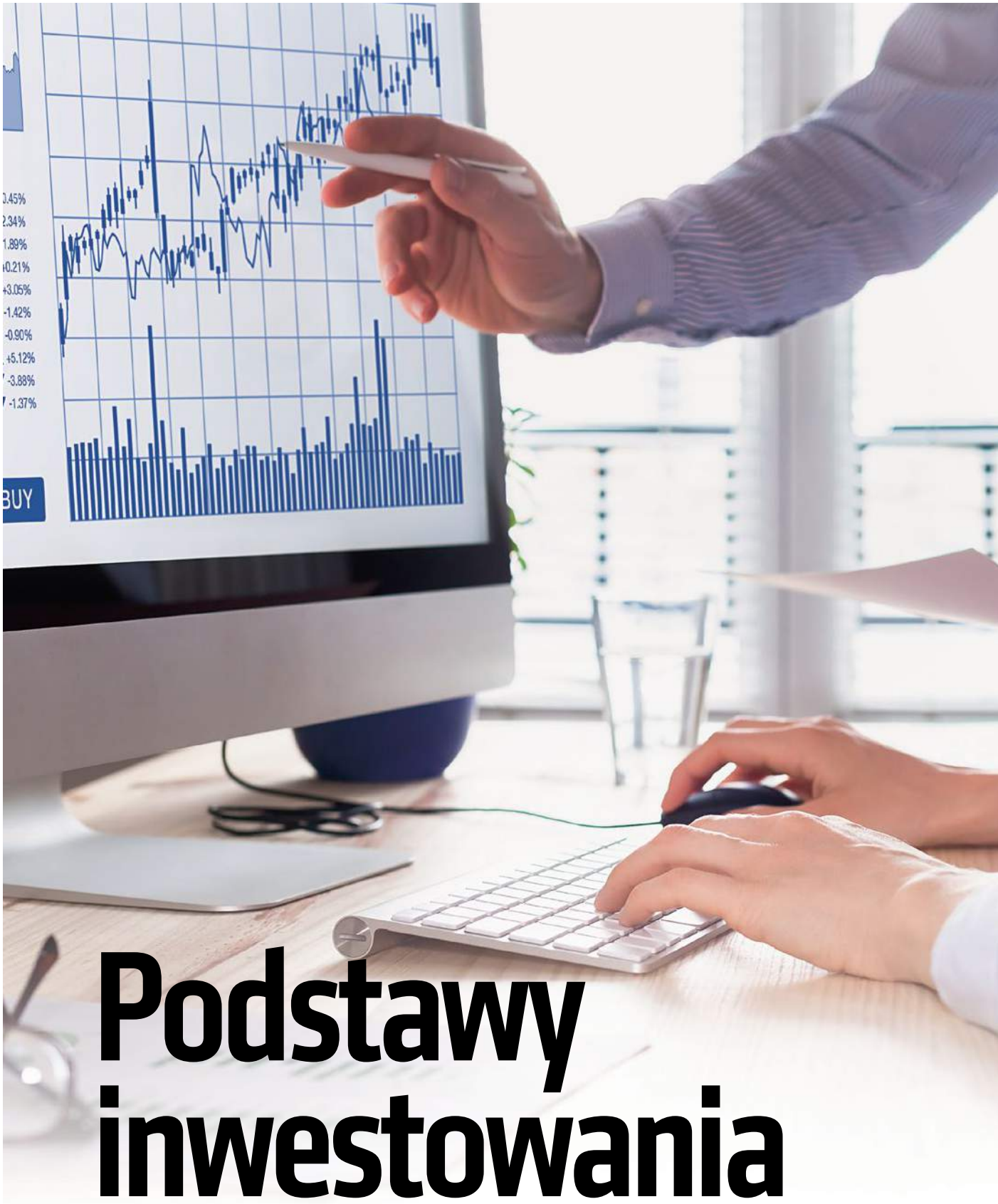

Podstawy inwestowania

eprasa.pl de79146524

FOT. ADOBE STOCK

Polacy mają coraz więcej kapitału, ale wciąż z dużą rezerwą podchodzą do inwestowania. Jak samodzielnie kupować akcje? Czym różnią się fundusze inwestycyjne?

Jeśli pragniesz być bogaty, to musisz pozwolić pieniądzom pracować na ciebie. To, co otrzymujesz za swoją pracę, jest niczym w porównaniu z tym, co możesz zarobić, pozwalając swoim pieniądzom zarabiać pieniądze – mawiał amerykański przedsiębiorca John D. Rockefeller, uważany za jedną z najbogatszych osób w całej historii ludzkości.

Inwestorem może zostać każdy. Wystarczy, że dysponujemy wolnymi środkami finansowymi, które możemy przeznaczyć na inwestycje. Aby posłuchać rady Rockefellera, warto najpierw przypomnieć sobie, jaka jest główna różnica między oszczędzaniem a inwestowaniem. W przeciwieństwie do oszczędzania – czyli dobrowolnego powstrzymywania się od bieżącej konsumpcji w taki sposób, aby móc odłożyć nadwyżki finansowe i ochronić zgromadzony majątek przed inflacją – w przypadku inwestowania najważniejsza jest możliwość osiągnięcia zysków. Jednocześnie inwestowanie – w przeciwieństwie do bezpieczniejszego oszczędzania – zawsze wiąże się z wysokim ryzykiem poniesienia strat.

Inwestowanie jest próbą pomnożenia posiadanego kapitału. Inwestować można, kupując akcje, obligacje, jednostki funduszy inwestycyjnych, a także nieruchomości, surowce czy dzieła sztuki. Trzeba mieć jednak świadomość, że inwestowanie zawsze wiąże się z ryzykiem. Może się okazać, że na zysk przyjdzie nam długo czekać lub też że inwestycja finalnie zakończy się stratą, czyli utratą części lub nawet całości zainwestowanego kapitału. Dlatego tak ważne jest, aby bez względu na to, który sposób inwestowania wybierzemy, doskonale rozumieć, na czym polega dana inwestycja, jakie jest związane z nią ryzyko, jakie są wszystkie koszty danej inwestycji etc.

Przed rozpoczęciem inwestowania warto przeanalizować nie tylko to, ile pieniędzy możemy przeznaczyć na kupno akcji lub jednostek funduszy, lecz także sprawdzić, jakie są nasze predyspozycje psychologiczne. Zapobiegać nierozważnym inwestycjom ma dyrektywa MIFID II, która zobowiązuje instytucje finansowe świadczące usługi inwestycyjne w krajach Europejskiego Obszaru Gospodarczego, w tym w Polsce, do przeprowadzenia tzw. testu odpowiedniości. Ma on na celu sprawdzenie wiedzy, doświadczenia klienta na rynku finansowym, a także sprawdzenie poziomu jego tolerancji na ryzyko, a następnie określenie profilu inwestycyjnego klienta i rekomendowanie produktów inwestycyjnych zgodnych z tymże profilem. Jeżeli na podstawie otrzymanych informacji okaże się, że dana usługa lub produkt finansowy jest nieodpowiedni dla klienta – biorąc pod uwagę jego wiedzę i doświadczenie – wtedy pracownik banku ma obowiązek ostrzeżenia przed nim klienta. Przykładowe pytania testu odpowiedniości to: „Czy cena akcji może spaść poniżej ich ceny emisyjnej? Który fundusz inwestycyjny cechuje niższe ryzyko inwestycyjne? Czym charakteryzują się wszystkie instrumenty finansowe notowane w walucie obcej?”.

Przed zainwestowaniem oszczędności warto również się zastanowić, kiedy znów będziemy potrzebować gotówki. Inaczej inwestuje się bowiem, jeśli pieniądze przydałyby się już za kilka miesięcy, a inaczej, jeżeli będziemy ich potrzebować dopiero za kilka, kilkanaście lat, bo zamierzamy przeznaczyć je na edukację dzieci lub na cele emerytalne. Inwestując w akcje lub fundusze akcyjne, horyzont czasowy zazwyczaj powinien być istotnie dłuższy niż w przypadku inwestycji w fundusze dłużne.

GIEŁDA DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Jedną z możliwości osiągnięcia wysokich zysków (przy znaczącym ryzyku) są inwestycje w akcje. Czym są akcje? To papiery wartościowe, które łączą w sobie prawa o charakterze majątkowym i niemajątkowym w stosunku do firmy zorganizowanej w formie spółki akcyjnej. Innymi słowy – akcje dają ich właścicielowi (akcjonariuszowi) prawo do własności określonej części spółki. Przedsiębiorstwa emitują akcje, aby pozyskać środki na swój rozwój, i dzielą się z akcjonariuszami wypracowanymi zyskami (w postaci dywidendy).

eprasa.pl de79146524

Rynkowa wycena spółki jest zaś dla potencjalnych inwestorów zwykle najbardziej obiektywną informacją na temat jej kondycji.

Sercem rynku kapitałowego w Polsce jest Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie. 1 lutego 2019 r. notowane były na Głównym Rynku GPW akcje ponad 460 spółek, których łączna kapitalizacja wynosi prawie 1200 mld zł. Aby móc samodzielnie inwestować w akcje, trzeba założyć rachunek inwestycyjny w wybranym domu maklerskim. Taki rachunek służy do obracania papierami wartościowymi i innymi instrumentami finansowymi. Umowę o prowadzenie takiego rachunku można podpisać w punkcie obsługi klienta domu maklerskiego albo złożyć wniosek przez Internet – wówczas umowę do podpisania dostarczy nam kurier. Wiele rachunków maklerskich prowadzonych jest za darmo. Płaci się jedynie prowizję za zakup akcji lub innych papierów wartościowych. Zaraz po wpłaceniu pieniędzy na rachunek możemy rozpocząć zawieranie transakcji. Zlecenia kupna lub sprzedaży zazwyczaj składa się za pomocą komputera lub poprzez aplikacje mobilne (prowizje od zleceń składanych za pośrednictwem Internetu są niższe niż składanych osobiście lub przez telefon).

Zlecenia możemy składać m.in. „po każdej cenie" (PKC) lub z limitem ceny. W tym drugim przypadku deklarujemy, jaką liczbę akcji chcemy kupić lub sprzedać i po jakiej cenie. Jeśli np. składamy zlecenie zakupu 100 akcji spółki X po 10 zł, to mamy pewność, że zapłacimy za nie maksymalnie 1000 zł. Zlecenia PKC takiej gwarancji nie dają – są realizowane po każdej możliwej cenie – mają za to pierwszeństwo przy realizacji zlecenia.

Inwestowanie w akcje wymaga posiadania wiedzy o funkcjonowaniu rynków finansowych. W przeciwnym razie szybko możemy stracić część zainwestowanego kapitału. Przy wyborze akcji przydatne są analiza fundamentalna oraz analiza techniczna. Ta pierwsza polega m.in. na analizie ogólnej sytuacji makroekonomicznej, ocenie atrakcyjności inwestowania w przedsiębiorstwa z danego sektora gospodarki oraz dokładnej analizie finansowej konkretnej spółki. Dobrze przeprowadzona analiza fundamentalna powinna dać inwestorowi odpowiedź na pytanie, „jakie" akcje kupić. Na pytanie, „kiedy" warto dokonać zakupu, odpowiedź może przynieść (ale nie musi) analiza techniczna, której zwolennicy, analizując wykresy kursów akcji, wyznaczają m.in. linie wsparcia i oporu oraz różne „formacje" i na tej podstawie próbują stawiać prognozy na przyszłość.

Dobrze jest także przyjąć taką strategię inwestycyjną, która zapewni dywersyfikację portfela, co zmniejsza ryzyko inwestycji. Trzeba bowiem pamiętać, że inwestowanie na giełdzie papierów wartościowych wiąże się z istotnym ryzykiem utraty zainwestowanego kapitału.

Warto również unikać inwestowania w akcje, gdy hossa trwa już długo, a ceny spółek zostały wywindowane do rekordowych poziomów. Spadek wartości kupionych w takim momencie papierów może bowiem doprowadzić do wysokiej straty. Wybitny amerykański inwestor Warren Buffett, którego majątek magazyn „Forbes" szacuje na 86,2 mld dol., radzi więc: „Bądź ostrożny, gdy inni są zachłanni, i zachłanny, gdy inni są ostrożni".

Pamiętajmy także, że od zysków osiągniętych na GPW płaci się 19 proc. podatku.

FUNDUSZE INWESTYCYJNE

Ci, którzy nie czują się na siłach, aby inwestować samodzielnie, lub chcą zdywersyfikować inwestycje, zmniejszając w ten sposób ryzyko całego portfela,

Warto wiedzieć:

hossa – określana jako „rynek byka". To okres, kiedy ceny akcji idą w górę.

bessa – określana jako „rynek niedźwiedzia". To okres, gdy ceny akcji spadają.

dywidenda – może zostać wypłacona z zysku netto spółki. Aby otrzymać dywidendę, trzeba posiadać akcje danego przedsiębiorstwa w „dniu dywidendy" (de facto dwa dni wcześniej). Pieniądze są zaś przelewane na rachunki inwestorów „w dniu wypłaty dywidendy". Inwestowanie w spółki dywidendowe to jedna z najpopularniejszych strategii inwestycyjnych.

eprasa.pl de79146524

FOT. ADOBE STOCK

mogą zdecydować się na zakup jednostek funduszy inwestycyjnych.

W takiej sytuacji analizą spółek i pilnym śledzeniem sytuacji na rynkach zajmują się profesjonaliści. Oczywiście instytucje finansowe nie robią tego za darmo. Fundusze pobierają opłatę za zarządzanie (waha się ona od poniżej 1 proc. rocznie w przypadku funduszy rynku pieniężnego do nawet kilku procent rocznie w przypadku niektórych funduszy akcyjnych), a także – w wielu przypadkach – opłatę dystrybucyjną.

Ze względu na kryterium celu inwestycyjnego fundusze dzieli się na:

– **akcyjne** – inaczej zwane agresywnymi. Skupiają się na inwestycjach w akcje, prawa do akcji lub kwity depozytowe. Mogą przynieść atrakcyjne stopy zwrotu, ale w razie niekorzystnej koniunktury na rynkach również generować poważne straty. Inwestycję w tego typu fundusze powinni rozważać więc tylko ci, którzy akceptują wysokie ryzyko spadków wartości jednostek. Fundusze agresywne dzielą się m.in. na fundusze dużych spółek, małych i średnich spółek czy też fundusze dywidendowe.

– **mieszane** – zalicza się do nich fundusze zrównoważone oraz fundusze stabilnego wzrostu. W ich modelowym portfelu znajduje się od 20 do 80 proc. akcji, a także obligacje, papiery rynku pieniężnego oraz gotówka. Podane proporcje mogą się zmieniać w zależności od wybranego funduszu, a także od oceny sytuacji na giełdzie. Fundusze te mogą przynieść atrakcyjne stopy zwrotu, ale również istotne straty.

80 proc.

MNIEJ WIĘCEJ TYLU UCZESTNIKÓW RYNKU WALUTOWEGO FOREX W LATACH 2012–2015 PONIOSŁO NA NIM STRATY

– **dłużne** – inwestują przede wszystkich w obligacje skarbowe, a także w obligacje komunalne czy korporacyjne. Produkty tego rodzaju są polecane osobom, które akceptują jedynie umiarkowane ryzyko. Z reguły wahania wartości jednostek są wyższe niż w przypadku funduszy rynku pieniężnego, ale niższe niż w przypadku funduszy akcji czy funduszy mieszanych. Mniejsze ryzyko sprawia jednak, że oczekiwany zysk jest zazwyczaj niewiele wyższy niż w przypadku lokat.

Do funduszy dłużnych zalicza się np. fundusze polskich obligacji skarbowych oraz bardziej ryzykowne fundusze polskich obligacji korporacyjnych lub fundusze obligacji zagranicznych.

– **rynku pieniężnego** – uznawane za alternatywę dla lokat bankowych. Zarządzający tymi funduszami zazwyczaj inwestują w certyfikaty depozytowe oraz inne instrumenty finansowe, które charakteryzują się niskim ryzykiem. To dobry wybór dla osób, które nie akceptują wysokiego ryzyka. Oczekiwany zysk jest jednak porównywalny z zyskiem, który można osiągnąć, wpłacając pieniądze na tradycyjne lokaty bankowe.

Pod względem prawnym fundusze można również podzielić według kryterium uczestnictwa na:

1200 mld zł

NIEMAL TYLE WYNOSIŁA W LUTYM 2019 R. ŁĄCZNA KAPITALIZACJA WSZYSTKICH SPÓŁEK NOTOWANYCH NA GIEŁDZIE W WARSZAWIE

– **fundusze inwestycyjne otwarte (FIO)** – charakteryzują się dużą płynnością. Fundusz sprzedaje jednostki uczestnictwa lub ma obowiązek ich natychmiastowego odkupu na każde żądanie inwestora (choć na gotówkę trzeba poczekać kilka dni roboczych).

– **fundusze inwestycyjne zamknięte (FIZ)** – emitują publiczne lub niepubliczne certyfikaty inwestycyjne. Mogą być one dopuszczone do obrotu regulowanego.

Przygotowując się do inwestycji w fundusze inwestycyjne, warto sprawdzić ich historyczne stopy zwrotu. Trzeba jednak zawsze pamiętać, że nawet jeśli w przeszłości dany fundusz przynosił ogromne zyski, to nie ma żadnej gwarancji, iż w przyszłości zarządzającym uda się powtórzyć tak dobre wyniki. Dodatkowo w przypadku funduszy inwestujących w zagraniczne akcje lub obligacje inwestor narażony jest na ryzyko kursowe, które w przypadku wzrostu wartości złotego powoduje zmniejszenie stopy zwrotu z danej inwestycji.

Ci, którzy chcieliby oszczędzać, ale mają zbyt mało samodyscypliny, aby zmusić się do regularnego odkładania pieniędzy, mogą zdecydować się na ofertę planów systematycznego oszczędzania. Decydując się na regularne kupno jednostek funduszy inwestycyjnych, można również liczyć na spore zniżki w opłatach manipulacyjnych, a także zacząć inwestowanie od niewielkich kwot (rzędu 50–100 zł miesięcznie). Systematyczne inwestowanie w fundusze pozwala też na uśrednienie ceny jednostki funduszu, co sprawdza się zwłaszcza przy bardziej ryzykownych inwestycjach. Zmniejsza się bowiem ryzyko, że w niekorzystnym momencie kupimy dużą liczbę jednostek.

Niektórzy zaawansowani inwestorzy kupują kontrakty terminowe, opcje lub też próbują grać na rynku walutowym. Szczególnie gra na tzw. Forexie jest niezwykle ryzykowna. Najwyższa Izba Kontroli w raporcie z 2017 r. ostrzegła, że ok. 80 proc. aktywnych uczestników rynku walutowego Forex w latach 2012–2015 poniosło na nim straty.

Inwestując, zawsze należy pamiętać, aby nieufnie podchodzić do obietnic olbrzymich zysków bez ryzyka.

Jan Pieniążek

eprasa.pl de79146524

Piotr Gociek

Oscary subiektywnie

Monstrum politycznej poprawności zżera amerykańską Akademię Filmową. Zamiast dziwić się temu, kto dostał nagrodę, proponuję sprawdzić, komu się należała

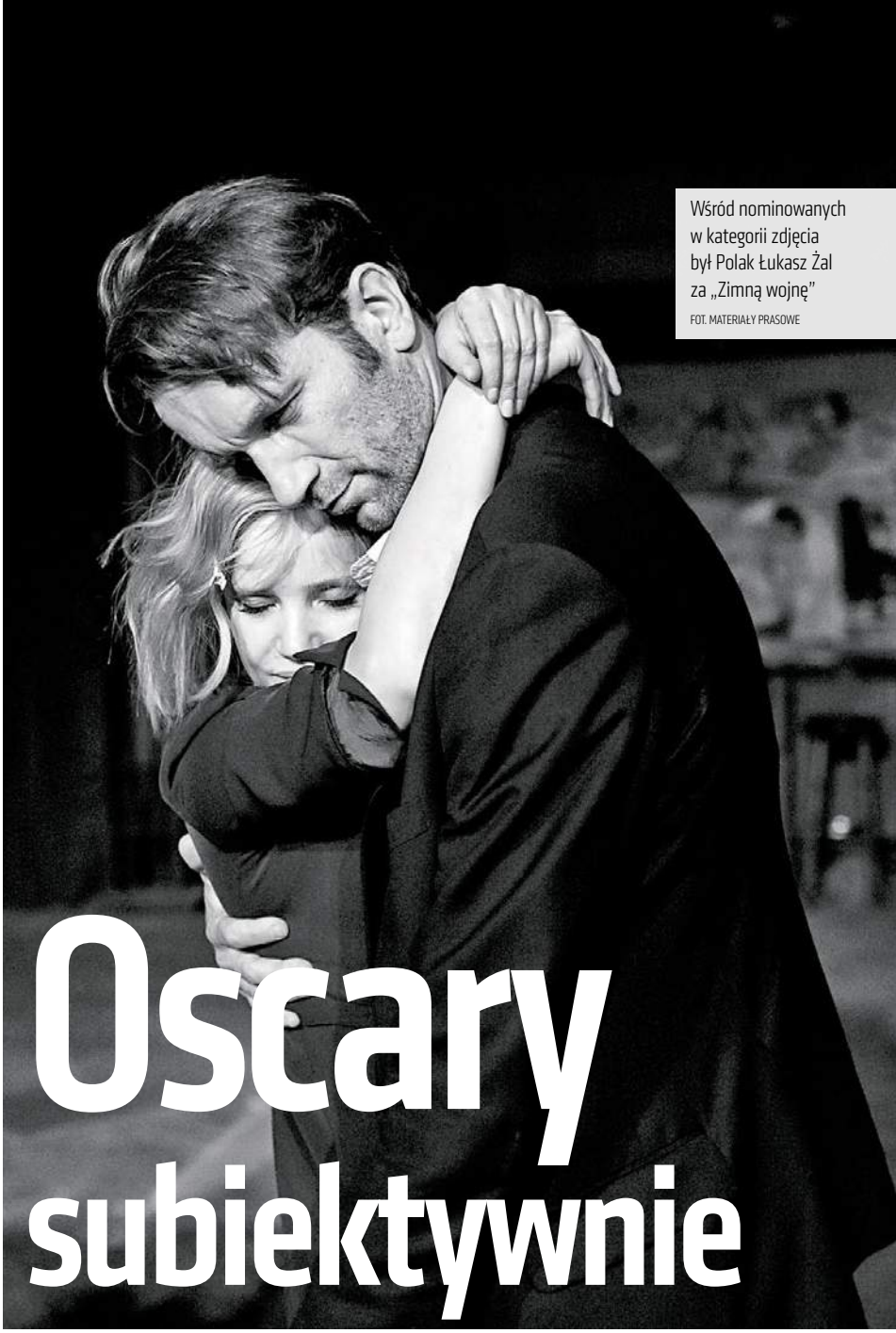

Wśród nominowanych w kategorii zdjęcia był Polak Łukasz Żal za „Zimną wojnę"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Przypomnę zasady układania mojego subiektywnego rankingu. Podobnie jak w ubiegłym roku wybieram spośród oficjalnie nominowanych w poszczególnych kategoriach. Co wcale nie oznacza, że zgadzam się z tymi wstępnymi decyzjami szacownego gremium. Układam moją listę nagrodzonych, nie znając oficjalnego werdyktu – ogłaszany był, gdy ten numer „Do Rzeczy" wędrował już do kiosków. Nie chodzi mi jednak o celne typowanie, tylko o wskazanie listy najlepszych – takiej, jaką podpowiadają mi gust, rozum i serce.

ZDJĘCIA I INNE ZAJĘCIA

Nigdy nie rozumiałem, dlaczego tak ważna kategoria jak zdjęcia (Best Achievement in Cinematography) traktowana jest przez oscarową Akademię z taką pogardą i wrzucana pomiędzy inne, tzw. techniczne, kategorie. Między nagrody dla specjalistów od make-upu, efektów specjalnych, kostiumów. Bez niezwykłego porozumienia między umysłem reżysera a okiem kamery kino, sen malowany na celuloidzie, zaistnieć nie może. Reżyser oraz autor zdjęć to jedyne osoby, które mogą swoimi umiejętnościami nadrobić niedostatki budżetu lub umiejętności wyżej wspomnianych speców.

Wśród tegorocznych nominowanych w tej kategorii mamy Polaka Łukasza Żala. „Zimna wojna" ścierała się jednak z mocną konkurencją, bo zarówno „Roma", jak i „Faworyta" były nominowane. Mój głos pada na „Romę". Alfonso Cuarón sam zajął się zdjęciami do swego najnowszego filmu i jest to debiut spektakularny (wcześniej łączył role operatora i reżysera jedynie w młodzieńczych krótkometrażówkach).

Za kostiumy wyróżniam „Marry Poppins powraca", oszałamiającą karuzelę barwnych kreacji przygotowaną z wielką fantazją i w dobrym, hollywoodzkim stylu. Najlepszy make-up? „Vice", bo to, co z Christianem Bale'em zrobili charakteryzatorzy, zamieniając go w Dicka Cheneya, jest równie godne podziwu, jak przeistoczenie rok temu Gary'ego Oldmana w Winstona Churchilla. Za dźwięk wyróżniam „Ciche miejsce", za efekty specjalne chyba jednak „Ready Player One" Stevena Spielberga, bo choć sam film był umiarkowanie emocjonujący i mądry, to robota speców od CGI imponująca.

NAJLEPSZY FILM ANIMOWANY

Tutaj faworyt jest zaskakujący, ale mam przeczucie, że mój werdykt nie będzie odbiegał od decyzji Akademii. „Spider-Man Uniwersum" („Spider-Man: Into the Spider-Verse") zasługuje na nagrodę, bo jest spośród nominowanych dziełem najoryginalniejszym. Połączono w nim nowoczesną animację komputerową z tradycyjnymi rysunkami, a całości nadano miejscami styl „ożywionych" komiksowych kadrów, łącznie z wykorzystaniem ramek i dymków. Na tle konkurencji „Spider-Man Uniwersum" wypada niezwykle ożywczo. Konkuruje z dwoma disnejowskimi sequelami („Iniemamocni 2", „Ralf Demolka w Internecie"), japońskim „Mirai" oraz ekscentryczną propozycją Wesa Andersona „Wyspa psów".

NAJLEPSZY FILM OBCOJĘZYCZNY

Obcojęzyczny, czyli nieanglojęzyczny. Mój głos ma „Roma", ale liczę na statuet-

eprasa.pl de79146524

kę dla Polaka, czyli dla „Zimnej wojny" Pawła Pawlikowskiego, który może zostać w ten sposób pocieszony przez Akademię. Jej członkowie będą zapewne w najważniejszych kategoriach (reżyser, film) dzielili głosy głównie między „Romę" a „Faworytę". A wybierając najlepszy film obcojęzyczny, mogą docenić Polaka, żeby nie odchodził z niczym po trzech nominacjach i po tym, jak udało się wykreować „Zimną wojnę" na jedno z art-house'owych wydarzeń sezonu w USA. Gdyby „Romy" nie było, dałbym głos na film „Złodziejaszki" Hirokazu Koreedy, nagrodzony Złotą Palmą w Cannes.

NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA

Paradoksy Oscarów – jeśli Emma Stone godna była statuetki za ładną buzię i troszkę grymasków w „La La Landzie", to za kreację w „Faworycie" godna jest jej po stokroć bardziej. Gdyby Akademia Filmowa przyznawała wzorem niektórych stowarzyszeń krytyków nagrody dla najlepszych aktorskich teamów pojawiających się w jednym filmie, to zresztą „Faworyta" wygrałaby w tym roku w cuglach. Emma Stone wypadła znakomicie w roli Abigail Masham, podupadłej damy, która za wszelką cenę próbuje zrobić karierę na dworze królowej Anny. Wraz z Rachel Weisz (także nominowaną w tej kategorii) i Olivią Colman nominowaną za rolę główną stworzyły niezwykły aktorski tercet, który zostaje w głowie bardzo długo, nawet kiedy już zapomnimy resztę filmu.

NAJLEPSZY AKTOR DRUGOPLANOWY

Paradoksów ciąg dalszy: Czy Akademia odważy się nagrodzić białego aktora za występ w filmie Spike'a Lee, który jest wielką afirmacją czarnej mniejszości i aktem oskarżenia przeciw białym? Adam Driver jest jednym z nielicznych powodów, dla których warto obejrzeć „Czarne bractwo. BlacKkKlansman". Patrząc jednak bardziej zimno, uznaję, że w tej kategorii Oscara wart jest w tym roku Mahershala Ali za rolę w „Green Book". Nie tylko dlatego, że to kawał dobrej aktorskiej roboty, lecz także dlatego, że konkurencja jest niezbyt mocna. Sam Elliott („Narodziny gwiazdy") i Sam Rockwell („Vice") to kandydatury niezbyt poważne, Richard E. Grant w „Can You Ever Forgive Me?" troszkę za bardzo przypomina postacie, które grał w innych filmach. Zostają Driver i Ali, a w bezpośrednim pojedynku wygrywa dla mnie ten ostatni.

NAJLEPSZA AKTORKA

Według magazynu „Esquire" Oscar dla Olivii Colman byłby jedną z najlepszych rzeczy, jakie przytrafiły się Akademii od lat – przywróciłby wiarę, że nagradza się za kunszt aktorski. Podpisuję się pod tą opinią, bo kreacja Colman w filmie „Faworyta" jest niezwykła. Cierpiąca i krzywdząca, zakochana i zdradzana, wykorzystywana i manipulująca, samolubna, nieszczęśliwa – jej królowa Anna jest naraz tymi wszystkimi osobami, wnosząc na duży ekran portret na wskroś ludzki.

Tutaj znów dwóch kontrkandydatur nie traktuję poważnie (Lady Gaga za „Narodziny gwiazdy", Melissa McCarthy za „Can You Ever Forgive Me?"), bo to nie ten rozmiar kapelusza. Nad czym jednak może zastanawiać się Akademia? Nad tym, czy aby po sześciu nominacjach bez nagrody nie dać wreszcie za siódmym razem statuetki Glenn Close (rola w „Żonie"), i nad tym, czy przypadkiem nieodłączną częścią uroku i mocy „Romy" nie jest Yalitza Aparicio w roli głównej. A to znaczyłoby, że Oscar dla najlepszego filmu powinien iść w parze z nagrodą dla najlepszej aktorki za tę właśnie kreację.

NAJLEPSZY AKTOR

Bądźmy poważni. No przecież nie Rami Malek za „Bohemian Rhapsody", bo do zagrania nie było tam zbyt wiele. Nie Christian Bale za „Vice", bo nowy antybushowski i antycheneyowski film Adama McKaya robi wrażenie skeczu z „Saturday Night Live" rozciągniętego do dwóch godzin. Nie Bradley Cooper za „Narodziny gwiazdy", bo to jedynie elegancka konfekcja. Zostaje dwóch nominowanych: Willem Dafoe i Viggo Mortensen. Ten pierwszy zagrał van Gogha w filmie „At Eternity's Gate", drugi jest filarem filmu „Green Book".

I tu, przyznam, jestem najbardziej rozdarty. Dafoe jako van Gogh jest hipnotyzujący, ale scenarzysta i reżyser Julian Schnabel włożył mu w usta za dużo straszliwych banałów o sensie sztuki i życia (tak pretensjonalnych, że powinienem napisać „O Sensie Sztuki i Życia"). Viggo Mortensen porwał się z kolei na zaawansowaną sztukę imitacji, próbując udawać włoskiego plebejusza. I wyszło mu znakomicie. Akademia pewnie nagrodzi Mortensena (niezły wybór) albo (oby nie!) Maleka. Ja oddaję głos jednak na Willema Dafoe, bo gdyby nie on, to filmu „At Eternity's Gate" nikt by nie zauważył. Poza tym to jeden z moich ulubionych aktorów. Zasługuje na jakiegoś Oscara.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ORYGINALNY

„Pierwszy reformowany" („First Reformed") Paula Schradera to film, o którym mało kto w Polsce słyszał, ale film ważny, o który warto się spierać. Jego reżyser, niegdyś współtwórca wybitnych dzieł Martina Scorsese („Taksówkarz", „Wściekły byk", „Ostatnie kuszenie Chrystusa"), ostatnich dwóch dekad działalności artystycznej nie może uznać za udane. Teraz powrócił irytującym drażniącym filmem o kryzysie wiary, filmem, w którym spiera się z Panem Bogiem, tak jak spierali się Bresson czy Scorsese. Filmem, w którym świetną kreację stworzył jeden z najlepszych współczesnych aktorów Ethan Hawke (brak nominacji dla niego w tym roku to prawdziwy skandal). Opowieść o pastorze rozdartym między poczuciem winy a kontrowersyjnymi i przynoszącymi katastrofalne skutki próbami naprawienia świata to film, który rozwścieczy wielu widzów, także tych o wrażliwości konserwatywnej, ale przypomina, że kino może być narzędziem stawiania pytań teologicznych, a nie tylko zręczną zabawą. Nie wiem, czy członkom Akademii starczy odwagi, by ten scenariusz wyróżnić. Jeśli nie, to kwestia statuetki dla któregokolwiek z pozostałych filmów nominowanych w tej kategorii („Roma", „Faworyta", „Green Book", „Vice") jest dla mnie drugorzędna.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ADAPTOWANY

Rzecz absurdalna: choć zaledwie dwie z sześciu nowelek filmowych składających się na film braci Coen „Ballada o Busterze Sruggsie" inspirowane były cudzymi tekstami (w tym prozą Jacka Londona), to obraz trafił do kategorii „scenariusz adaptowany". Moim zdaniem to słaba próba wynagrodzenia Coenom faktu, że skrzywdzono ich brakiem innych nominacji. Należały się im za najlepszy film, najlepszą reżyserię i… scenariusz oryginalny.

Mniejsza z tym, spójrzmy, któż tu wypadł najlepiej. Moim zdaniem Barry Jenkins dokonał rzeczy niemal niemożliwej, przenosząc na ekran powieść Jamesa Baldwina „Gdyby ulica Beale umiała mówić". Proza Baldwina to intymny,

eprasa.pl de79146524

„Roma" spośród wszystkich nominowanych filmów to dzieło najpełniejsze i najpiękniejsze FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kreacja Olivii Colman w filmie „Faworyta" jest niezwykła FOT. MATERIAŁY PRASOWE

delikatny monolog, wobec którego niejeden wytrawny scenarzysta stanąłby bezradny. Jenkins (twórca oscarowego „Moonlight") potrafił przełożyć literaturę na kino. Pamiętajmy, że w tej kategorii tę właśnie umiejętność oceniamy, a nie to, czy film okazał się ostatecznie dziełem wybitnym (nie okazał się).

NAJLEPSZA REŻYSERIA

Adam McKay, Spike Lee, Paweł Pawlikowski, Alfonso Cuarón czy Yorgos Lanthimos? Zacznijmy od tego, że „Vice" Adama McKaya to nieporozumienie w tej kategorii, i w ogóle wśród tegorocznych oscarowych propozycji, rzecz niby zręczna, ale nudna i mało odkrywcza. Skłaniająca zresztą do prowokacyjnego pytania: Skoro ktoś chciał zrobić film o polityku, co za młodu ostro imprezował, a potem zrobił polityczną karierę dzięki swej nadambitnej żonie i był zaangażowany w rozmaite dziwne interesy, to dlaczego nie o Billu Clintonie i jego żonie Hillary?

Spike Lee w „Czarnym bractwie" ma porywające momenty, ale psuje całość dydaktycznymi, cepowatymi wstawkami politycznymi. Paweł Pawlikowski I „Zimna wojna"? Tak, kibicujemy swoim, ale czy kosztem prawdy? Prawda jest zaś taka, że Alfonso Cuarón z „Romą" po prostu jest od niego lepszy. Co do „Faworyty" Yorgosa Lanthimosa, to doceniając świetne kreacje aktorskie, trzeba też zauważyć, że powstał film zimny i dla wielu widzów odpychający.

NAJLEPSZY FILM

„Roma". Po prostu „Roma". Spośród wszystkich nominowanych w tym roku we wszelkich kategoriach filmów jest to dzieło najpełniejsze i najpiękniejsze. Do podziwiania za maestrię techniczną, do wzruszenia, bo trudno zostać wobec niego obojętnym. Do przemyślenia, bo nie wszystkie warstwy wychwycimy przy pierwszym obejrzeniu.

PRZECENIENI I SKRZYWDZENI

Najpierw o decyzjach dziwnych, zresztą kilka nieporozumień już wytknąłem wcześniej. Niezrozumiała jest dla mnie tegoroczna wielka miłość rozmaitych decydujących o nagrodach gremiów do filmu „Bohemian Rhapsody". Opowieść o grupie Queen i Freddiem Mercurym nie wykracza poza przeciętność hollywoodzkiego produkcyjniaka biograficznego, to po prostu uzgodniona z zespołem laurka. „Vice" jest o wiele słabszy od pasjonującego i błyskotliwego „Wielkiego szorta" tego samego reżysera. Pomysł, by w tej samej kategorii porównywać „Romę", „Zimną wojnę", „Faworytę" oraz komiksową „Czarną Panterę", uważam za absurdalny, nikt przecież nie wysyła krytyków kulinarnych Michelina do restauracji McDonald's, nawet jeśli jest bardzo ładnie zaprojektowana.

W gronie skrzywdzonych umieszczam bez wahania braci Coen, których „Ballada o Busterze Scruggsie" jest jednym z najlepszych filmów roku. „Pierwszy reformowany" Paula Schradera zasługiwał na zdecydowanie więcej nominacji. Były i dobre filmy, które Akademia całkowicie zlekceważyła, moim zdaniem niesłusznie. „Niepoczytalna" („Unsane") Stevena Soderbergha to pokaz, jak zrobić emocjonującą opowieść przy minimum realizacyjnych nakładów. „Zatrzyj ślady" („Leave No Trace") Debry Granik to film równie mocny jak jej fetowane przed laty „Do szpiku kości"). Wśród zagranicznych filmów nominowanych do Oscara powinien się znaleźć bez wątpienia „Zama" Argentynki Lucrecii Martel.

Wśród wyróżnionych dokumentów zabrakło mi „Filmworkera", opowieści o Leonie Vitalim, wieloletnim współpracowniku Stanleya Kubricka, oraz bardzo ciekawego niemieckiego filmu „Hitler's Hollywood". Najważniejszy brak – nieobecność filmu „They Shall Not Grow Old" Petera Jacksona – był z kolei zawiniony przez twórców, którzy nie zdążyli ukończyć produkcji w terminie pozwalającym na oscarowe przedbiegi. Szkoda, bo to niezwykłe wydarzenie. Na zlecenie brytyjskiego Imperial War Museum twórca „Władcy Pierścieni" odrestaurował, zmontował, pokolorował i udźwiękowił materiały dokumentalne z czasów I wojny światowej. Powstał w ten sposób niesamowity film, którym Wielka Brytania uczciła stulecie zakończenia krwawej jatki. Jak widać, istnieje życie poza Hollywood, i poza Oscarami. Powiedzmy jednak szczerze: jeśli nie jest narzędziem rewanżu mniejszości etnicznych i seksualnych na znienawidzonej cywilizacji białego człowieka, to coraz trudniej będzie jego objawy dojrzeć podczas oscarowych ceremonii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

DZIECI HITLERA

Czy można być żarliwym nazistą i troskliwym ojcem?

Jak to jest być dzieckiem zbrodniarza, który przyczynił się do śmierci milionów ludzi? Jak żyć z nazwiskiem, które jest synonimem największego zła? Czy można kochać kata?

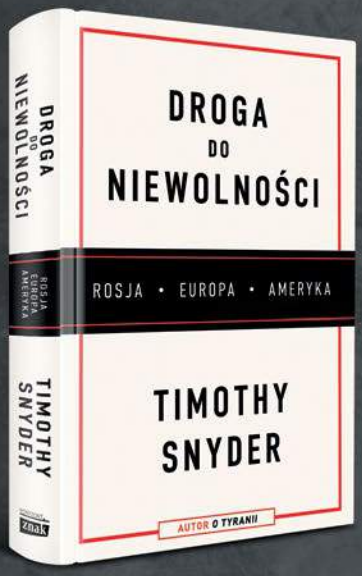

DROGA DO NIEWOLNOŚCI

Wierzyliśmy, że koniec zimnej wojny przyniesie ostateczne zwycięstwo demokracji i zapewni wolność przyszłym pokoleniom. Byliśmy naiwni.

Dzięki doskonałej analizie zarówno współczesności, jak i historii Timothy Snyder przejrzyście uświadamia, dokąd zmierzamy: ku wolności czy oligarchii, ku indywidualizmowi czy totalitaryzmowi, ku prawdzie czy fałszowi.

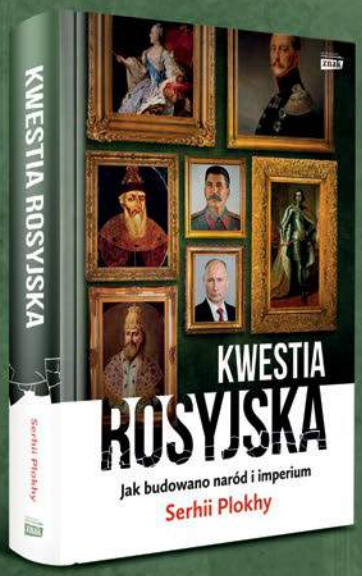

KWESTIA ROSYJSKA

Czy Rosja przeobrazi się w nowoczesne państwo narodowe?

Gdzie zaczyna się i kończy Rosja? Czy jej dzisiejsze granice polityczne pokrywają się z granicami ambicji Władimira Putina? Zagadnienie rosyjskiej tożsamości decyduje o wojnie i pokoju na wschodnich rubieżach Europy – i będzie o nich decydować jeszcze przez wiele pokoleń.

eprasa.pl de79146524

Ina Benita na okładce czasopisma „Kino"
FOT. MAZOWIECKA BIBLITEKA CYFROWA

Z Piotrem Gackiem, dziennikarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Zaginiona królowa seksapilu

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: O ile data, miejsce urodzenia oraz prawdziwe personalia Iny Benity budziły wątpliwości, o tyle okoliczności jej zgonu stanowią zagadkę...

PIOTR GACEK: To jedna z najbardziej tajemniczych gwiazd międzywojnia. Tworzyła wokół siebie legendę i aurę tajemnicy. W iście hollywoodzkim stylu. Rzekoma księżniczka kaukaska, urodzona w Tyflisie, w istocie przyszła na świat w Kijowie 1 lutego 1912 r. Wzorem amerykańskich gwiazd zaczęła się odmładzać. Miała w sobie coś egzotycznego i dzikiego, toteż zaczęto w niej widzieć „piękną Polkę rodem z Kaukazu". Demoniczna femme fatale, ale także niepokojąco łagodny wamp. Taki obraz Benity będzie już obowiązujący. Może nieco modyfikowany w szczegółach, na ogół przez nią samą. I już nie wiadomo, co jest prawdą, a co tylko zmyśleniem. Najważniejsze, żeby było intrygująco. Benita wcześnie zrozumiała tę banalną prawdę, że lepiej mieć prasę po swojej stronie. Była niezwykłą i fascynującą kobietą swej epoki. Wyprzedzała też czas sposobem bycia na ekranie. Zawsze doskonale panowała nad kamerą, była jej świadoma; traktowała ją jak kogoś bliskiego. Relacja między aktorką i obiektywem z filmu na film stawała się coraz bardziej intymna. Widać to szczególnie w zbliżeniach.

W jej żyłach płynęła błękitna krew?

Prawdziwa hrabianka – tak o Inie mówiła jej przyjaciółka Lidia Wysocka. I to prawda. Benita jednak nie obnosiła się z tym, nie opowiadała o swym szlacheckim pochodzeniu. Janina Benita hrabianka Florow Bułhakówna – tak nazywała się naprawdę. Wydaje się, że swojego pierwszego imienia nie lubiła. Wszyscy mówili do niej po prostu „Ina". Już w dorosłym życiu, w oficjalnych dokumentach, używała tego imienia. I tak po ślubie z filmowcem Jerzym Tesławskim (Jerzym Dal-Atanem), w styczniu 1931 r. stała się panią Iną Tesławską. Gdy wyszła za mąż za operatora Stanisława Lipińskiego w kwietniu 1938 r., była Iną Lipińską... Niewielu wiedziało, że jej zagadkowy pseudonim to po prostu prawdziwe imiona.

Uwodzenie miała we krwi?

Zjawiskowa kusicielka. W rzeczywistości, na ekranie i scenie. Wykreowana na boginię seksu idącą przez życie wśród licznych miłostek, ale jest w tym też dużo prawdy. Pierwsza i jedyna „królowa seksapilu". To właśnie specjalnie dla niej stworzono tę kategorię na Letnim Balu

eprasa.pl de79146524

Mody w czerwcu 1939 r. Miała ten rodzaj wdzięku, który przyciąga. Ludzie do niej lgnęli. Inteligentna, błyskotliwa w rozmowie, wieczna hedonistka, złamała wiele męskich serc. Ci, którzy ją dobrze znali, opowiadają, że była kochliwa. I nie lubiła sytuacji zwykłych, potocznych. Każda chwila musiała być frapująca. Benita jest też odbiciem naszego wyobrażenia nowoczesnej kobiety międzywojnia. Samodzielna i niezależna od mężczyzn, wykształcona, znająca języki obce, sama na siebie zarabiająca – i to nieźle – szukająca nowych wyzwań.

Czemu naturalna brunetka przeistoczyła się w platynową blondynkę?

Na początku lat 30. dotarły już do Polski francuskie farby do włosów. Szybko stały się modne. Przemiana wyglądu aktorki wzbudziła ogólnonarodowe poruszenie. Nawet znakomity krytyk filmowy Leon Brun ubolewał, że ciekawa, oryginalna uroda Benity ucierpiała z powodu rozjaśnienia „kasztanowej główki". Wkrótce jednak zmienił zdanie. Artystka utrzymywała, że platynowy blond jest bardziej fotogeniczny, a widownia zaaprobowała jej nowy wizerunek.

Gdyby nie wojna, nie zagrałaby na scenie z tuzami?

Z luminarzami polskiej Melpomeny spotkała się już w II RP – na scenie teatru częstochowskiego u Iwona Galla czy w Teatrze Miejskim w Łodzi. Jednak z Marią Malicką, Kazimierzem Junoszą-Stępowskim czy Józefem Węgrzynem wystąpiła dopiero podczas okupacji w jawnym teatrze Komedia. Tam i w Miniaturach grała w spektaklach reżyserowanych przez wybitną Stanisławę Perzanowską.

Okupacyjne relacje Benity z Igo Symem stanowiły kamuflaż dla pracy konspiracyjnej aktorki?

U progu okupacji znalazła się w swoistym potrzasku za przyczyną Syma, dawnego kochanka i przyjaciela. Trzeba też pamiętać, że kilka miesięcy przed wojną występowała w sławnym antyhitlerowskim przedstawieniu „Orzeł Rzeszka" w teatrze Ali Baba. Sym zaczął ją nachodzić w domu ze swoimi niemieckimi przyjaciółmi, o czym po wojnie chętnie donosili sąsiedzi, kłamliwie oskarżając aktorkę o kolaborację. Mało kto wiedział, że Roman Niewiarowicz ps. Łada, dowódca grupy kontrwywiadu ZWZ-AK, postanowił wykorzystać tę sytuację i wciągnął Benitę do współpracy. Grupa Niewiarowicza zajmowała się inwigilacją konfidentów i agentów gestapo, m.in. przygotowywała zamach na Syma. Poza tym Niewiarowicz – za zgodą konspiracyjnych zwierzchników funkcjonujący w jawnych teatrach – wyciągał od oficerów niemieckich, wśród których się obracał, wiadomości wojskowe. Podobna rola przypadła Benicie. Bywała w mieszkaniu dyrektora teatru Komedia Józefa Horwatha i jego żony aktorki Hanki Libickiej, na przyjęciach organizowanych specjalnie dla Niemców. A potem zdawała relację „Ładzie" o wszystkim, co usłyszała. Do Komedii zaangażowała się za namową Niewiarowicza, który był tam głównym reżyserem i kierownikiem literackim. Zapewne chciała znów grać. Przede wszystkim jednak musiała zacząć zarabiać, bo miała na utrzymaniu schorowanego ojca. Teatr Komedia był wyjątkowy – i to nie tylko ze względu na doskonały zespół aktorski i wysoki poziom spektakli. Był to jednocześnie sprawnie działający, konspiracyjny lokal kontaktowy kontrwywiadu; miejsce tajnych spotkań, gdzie przychodzili łącznicy z rozkazami i meldunkami.

Lidia Wysocka powiedziała mi, że jej męża, Zbigniewa Sawana, zwolniono z KL Auschwitz po ośmiu miesiącach pobytu – jako ostatniego z grupy aktorów wywiezionych do obozu w związku z zabiciem Syma – dzięki pomocy jego pierwszej żony – Marii Malickiej – i Benity, które wykorzystały znajomości z niemieckimi oficerami.

Dlaczego bohaterka książki związała się z „wrogiem"?

Zakochała się i ta zakazana miłość położyła się cieniem na biografii Benity. Na jednym z bankietów u Horwatha, w połowie 1942 r., poznała porucznika Wehrmachtu Ottona Maximiliana Havera, z zawodu fotografa. I sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Niestety, w tym czasie miłość między Polką a Niemcem była zbrodnią. Zarówno w myśl nakazu Polskiego Państwa Podziemnego, jak i zarządzeń III Rzeszy. Postępowanie karne w takich sprawach najczęściej wynikało z denuncjacji. Tak też się stało w przypadku Iny Benity i por. Havera. Wydała ich żona oficera. Benitę aresztowano i osadzono na Pawiaku, gdzie 7 kwietnia 1944 r. urodziła syna. On w karnej kompanii trafił na front wschodni i tam zaginął.

Ustalił pan, że – wbrew legendzie – nie zginęła w powstaniu warszawskim.

Udało się jej przetrwać gehennę Starówki. Między 27 a 29 sierpnia z synem w ramionach przeszła szczęśliwie kanałem do Śródmieścia. Tutaj trop aktorki się urywa. Jej syna odnajdujemy w grupie sierot z powstania, którymi opiekowały się zakonnice w obozie przejściowym w Pruszkowie. Kiedy i jak rozdzielił się z matką, trudno wyrokować. Niemcy zgodzili się, aby zagłodzone i chore dzieci mogli zabierać do siebie okoliczni mieszkańcy. I tak syn Benity trafił do państwa Zofii i Jana Grzesików. Koniec wojny zastał Inę na terenie Austrii, nie wiadomo, jak tam dotarła. Później była w Dolnej Saksonii, skąd wysyłała listy do rodziny Grzesików. Wiosną 1945 r. po dziecko zgłosił się mężczyzna z warszawską opiekunką chłopca, przez którą wcześniej Grzesikowie nawiązali kontakt z Benitą. Ponad wszelką wątpliwość wiadomo, że połączyła się z synem.

Już po publikacji biografii artystki wypłynęły archiwalia dotyczące jej losów powojennych...

Niedawno, zupełnie niespodziewanie, pojawiły się dokumenty z archiwum rodziny Hansa Pascha, które dopisują ciąg dalszy tej historii. Wydają się wiarygodne. Nie wiadomo jednak, kiedy Benita poznała Pascha, który otoczył ją opieką w popowstaniowej tułaczce. I być może to on zgłosił się do Pruszkowa po jej syna. W czerwcu 1945 r. zostali małżeństwem, a Pasch usynowił Tadeusza. Pięć miesięcy po ślubie Benita została wdową; męża zamordowano. Wkrótce opuściła osadę Rhumspringe, gdzie mieszkali. I tu ślad się znowu urywa. Nigdy nie odezwała się do swoich przyjaciół w Polsce, nie dała znaku życia.

PS Marek Teler, Grzegorz Rogowski i Mirela Tomczyk – historycy kina – ustalili, że Ina Benita zmarła we wrześniu 1984 r. w Mechanicsburg w hrabstwie Cumberland w Pensylwanii. Po śmierci Hansa Pascha opuściła okupowane Niemcy. Wyszła po raz czwarty za mąż – za Amerykanina Lloyda Frasera Scuddera, w 1950 r. w Nicei urodziła syna – Johna. Potem przez kilka lat mieszkała w Maroku, skąd w 1960 r. udała się z mężem i synami do USA. Większość życia spędziła w Middletown w Pensylwanii i tam też została pochowana. Nie wiadomo, dlaczego zerwała wszelkie przedwojenne i wojenne kontakty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. EAST NEWS

Piotr Gacek – dziennikarz, „Ina Benita. Za wcześnie na śmierć" jest jego trzecią książką, dwie wcześniejsze poświęcił Kalinie Jędrusik.

eprasa.pl de79146524

FOT. ANDREAS RENTZ/GETTY IMAGES

Zemsta niedźwiedzia

Remigiusz Włast-Matuszak

Jak intuicja zawiodła Agnieszkę Holland

W początkach stycznia bladym świtem zadzwonił do mnie Funkcjonariusz Rządowy. Wyrwany ze snu, w ciemnościach, nie mogąc szybko odnaleźć dolnej sztucznej szczęki, byłem zupełnie bezbronny. W dodatku rozpoczął „przekaz" od złowróżbnego: „Będę miał do pana gorącą prośbę" (Lampki alarmowe w mojej głowie!). „Jutro jest kolaudacja »Garetha Jonesa« Agnieszki Holland". – Tak, o dziesiątej. „Proszę po projekcji nic nie komentować, proszę nie zabierać głosu". – Tak, rozumiem, nie będę się odzywał. „Dziękuję". I koniec rozmowy.

Po kolaudacji nikt (!) nie zabrał głosu z wyjątkiem Poety o sercu przepełnionym chrześcijańskim miłosierdziem. Oczywiście polski producent był filmem zachwycony i snuł wizje dystrybucji na Europę i świat, zapewniając, że tym razem nie da się oszukać przez podstawione przez FSB dziwne firmy dystrybucyjne, jak to było w przypadku filmu „Katyń" w 2007 r. – kiedy natychmiast podpisano umowy dystrybucyjne na wiele lat, po czym opłacone kontrakty wrzucono do sejfu i film na świecie nie zaistniał.

Zapytałem tylko, czy nie czytał „Montażu" Vladimira Volkoffa. Zapadła cisza i wyznał, że nie słyszał, nie czytał. Zapowiedział natomiast, że film już jest w głównym konkursie Berlinale 2019 i premiera 10 lutego – a sukces zapewniony. Tak się skończyła pierwsza w czasach dobrej zmiany „niema kolaudacja filmowa".

Przed berlińską premierą nie było polskojęzycznej kolorówki, która by nie zamieściła zdjęć i tekstu na temat spodziewanego sukcesu „Garetha Jonesa" – a obecnie „Obywatela Jonesa" – nawet program TV „To i Owo" (300 tys. egzemplarzy) zamieścił panegiryk. Kampania medialna wzbierała jak balon.

W niedzielę 10 lutego odbyły się jednocześnie pokaz konkursowy i światowa premiera, a wieczorem o godz. 22 konferencja prasowa z udziałem aktorów i twórców. Rano biegnę do kiosku po „Do Rzeczy" i czytam wyłożoną „GW" – a tam na pierwszej stronie NIC. W pracy też wszyscy pytają, co było w Berlinie na konferencji – cisza. No i balon pękł na rozdaniu Niedźwiedzi 16 lutego – „Obywatel Jones" został zupełnie pominięty. Nic. Nawet Niedźwiedzia za scenografię czy zdjęcia. Czytam enuncjacje krytyków filmowych z Berlinale '19 – że to „łopatologiczna agitka" (?!), że nie tego oczekiwano od Holland i od twórców z Polski. A czego rozpolitykowany festiwal berliński oczekiwał? Kolejnej „Twarzy" Szumowskiej? „Zjednoczonych stanów polskiej patologii społecznej"? Dramatu wiejskiej nauczycieli lesbijki i jej niepełnosprawnej partnerki – emigrantki z Ugandy? Epickiej opowieści o trzech pokoleniach polskich brunatnych faszystów – od dziadka z oddziału Burego, do wnuka bijącego bezbronne studentki wydziału gender na ulicy w Lublinie? Co zadowoliłoby jury, odchodzącego dyrektora festiwalu czy liberalnych europejskich dziennikarzy?

Sądzę, że intuicja zawiodła Agnieszkę Holland. I że na najbardziej na świecie lewicowo-liberalny, lewacki festiwal filmowy, jakim jest Berlinale, nie wysyła się filmów negliżujących, negujących czy nawet częściowo kwestionujących Ideę Wielkiego Października, rewolucję sowiecką, marksizm-leninizm i politykę Słońca Narodów – Józefa Stalina. Owszem, były błędy 80–90 lat temu, ale Związek Sowiecki wygrał wojnę i wyzwolił Niemców od nazistowskiej okupacji, co corocznie w Bundesrepublik jest czczone 8 maja.

Nie podnosi się ręki i nie kwestionuje fundamentów ideowych europejskiej liberalnej lewicy. Dlatego właśnie Agnieszka Holland nie została przytulona przez berlińskiego niedźwiedzia. A to dopiero początek jej międzynarodowych kłopotów. ©℗

eprasa.pl de79146524

Zespół Tulia tworzą: Joanna Sinkiewicz, Dominika Siepka, Tulia Biczak, Patrycja Nowicka

FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

Z członkiniami zespołu Tulia, który będzie reprezentował Polskę na Eurowizji

rozmawia Grzegorz Brzozowicz

Chcą się do nas tulić

GRZEGORZ BRZOZOWICZ: Skąd w Szczecinie zespół ludowy?

DOMINIKA SIEPKA: Nasi dziadkowie przyjechali do Szczecina z południa Polski, z Kresów. To był naturalny proces po wojnie. Nas od zawsze, jeszcze jako dzieci, fascynowała kultura, z której się wywodzili.

TULIA BICZAK: W Szczecinie nie występują regionalizmy. U nas jest jeden wielki tygiel kulturowy. Każda z nas znała z domu coś innego. Inne potrawy, inne powiedzenia, inne piosenki. Słuchamy muzyki korzennej, ludowej, chodzimy na koncerty – to po prostu jest wielka fascynacja. Mnie ona skłoniła do podjęcia studiów kulturoznawczych. Spotkałyśmy się nie w zespole regionalnym, tylko w Zespole Pieśni i Tańca, czyli inspirowanyn folklorem.

A jaką rolę odgrywałyście w zespole ludowym?

D.S.: Tańczyłyśmy, grałyśmy w kapeli, śpiewałyśmy, również jako solistki. Natomiast historia naszego zespołu zaczęła się w październiku 2017 r., kiedy Tulia wzięła udział w konkursie na poprowadzenie strony Depeche Mode.

T.B.: Nagraliśmy piosenkę „Enjoy the Silence" „na ludowo". Spodobało się to i dostałam propozycję zamieszczenia mojej wersji na oficjalnym fanpage'u zespołu. Uznałam, że jest to szansa na pokazanie na świecie polskiej tradycji, bo Depeche Mode obserwuje przecież kilka milionów osób.

Z jaką piosenką wystąpicie na Eurowizji?

T.B.: Pytanie o piosenkę niestety musimy pozostawić bez odpowiedzi, do czasu konferencji organizowanej przez TVP, która to zagwarantowała sobie pierwszeństwo zaprezentowania utworu eurowizyjnego. Prosimy jeszcze o chwilę cierpliwości.

Jakie nadzieje wiążecie z festiwalem?

D.S.: Czujemy się niezwykle dumne, a przed nami wiele przygotowań. Zrobimy wszystko, by wypaść jak najlepiej i dać radość wszystkim oglądającym nasz występ. Mamy nadzieję, że będziecie z nami i będziecie nas wspierać. Bardzo na to liczymy.

Na waszej pierwszej płycie, która osiągnęła 30-tysięczny nakład, znalazły się m.in. wasze wersje przebojów Grzegorza Ciechowskiego, Kayah, Dawida Podsiadły czy zespołu Metallica. Co zdecydowało o wyborze tych piosenek?

D.S.: Każda z nas przygotowała listę ulubionych piosenek. Takich, które są emocjonalne i ogólnie lubiane. Niektóre poznałyśmy dzięki naszym rodzicom. To są piosenki naszego dzieciństwa, bo słuchałyśmy ich w domu. Wybrałyśmy te, które pokrywały się na naszych listach i które można zaśpiewać białym głosem. Nie wszystkie dało się bowiem przełożyć na naszą stylistykę.

T.B.: Nagrałyśmy covery, bo słuchacze się ich domagali. Teraz skupiamy się na własnych utworach i na najnowszej wersji debiutanckiej płyty jest już siedem naszych piosenek.

Muzyka z jakiego rejonu Polski jest najmocniej wyczuwalna w waszych piosenkach?

PATRYCJA NOWICKA: Nie czerpiemy inspiracji z konkretnego rejonu Polski. Łączymy i mieszamy tradycje wokalne z różnych rejonów. Śpiewokrzyk jest charakterystyczny dla folkloru naszej części Europy. Nasze kostiumy są zaprojektowane na podstawie stroju łowickiego. Są tradycyjnie farbowane, tkane. Są to nasze stroje narodowe, przez nas trochę unowocześnione. Są eleganckie, charakterystyczne i dobrze się w nich czujemy. Chcę podkreślić, że Tulia nie jest zespołem ludowym, choć w naszych piosenkach czerpiemy z tradycji.

Która z was jest liderką?

P.N.: Jesteśmy zespołem i każda z nas ma coś do powiedzenia.

T.B.: Wyrobiłyśmy sobie wspólny system pracy. Pracujemy nad utworami razem, a jeśli są sytuacje sporne, to prosimy o pomoc inne osoby, z którymi pracujemy, przeważnie mężczyzn.

Myślałem, że liderką jest Tulia Biczak, bo jej imię jest w nazwie zespołu.

D.S.: Tulia nie chciała, by zespół tak się nazywał. Podjęłyśmy decyzję za nią. Wynik głosowania był trzy do jednego i nie miała nic do gadania. Mało osób wie, że Tulia to imię. Dla wielu osób jest to słowo wzbudzające miłe skojarzenia.

P.N.: Mówią do nas Tulie i chcą się do nas tulić.

Jak to się stało, że rodzice nadali ci to etruskie imię?

T.B.: Mama miała znajomą, która tak się nazywała, była bardzo mądra i ładna, dlatego wybrali takie imię.

Miałyście zaśpiewać hymn amerykański w Los Angeles podczas imprezy Polish Heritage Day, którą organizował Marcin Gortat. Zamiast wystąpić przed meczem koszykówki między LA Clippers i Orlando Magic, zostałyście w domu?

T.B.: Wyjazd nie doszedł do skutku z powodów formalnych, nie rozumiemy pewnych decyzji administracyjnych, ale też nie zamierzamy ich komentować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Kowboju, dbaj o zęby!

Brutalne męskie kino, pastisz westernu, baśń i moralitet w jednym. Takie koncepty podobają się krytykom i bywalcom międzynarodowych festiwali. Reszcie świata pierwszy anglojęzyczny film Jacques'a Audiarda może się wydać zbyt eklektyczny i wydumany.

Oregon, rok 1851. Bracia Sisters są bezlitosnymi cynglami na usługach miejscowego watażki, zwanego „Komandorem". Młodszy, Charlie, to pijak i narwaniec, który chce zostać legendą Dzikiego Zachodu. Starszy, Eli, poważniej myśli o przyszłości. Wciąż się kłócą, używając przy tym nader wyszukanego jak na prymitywów słownictwa. Co tu kryć, Tarantino się kłania.

Nasi rewolwerowcy, wykonujący kolejne zlecenie, trafiają do wypasionego burdelu. Nie ma tam wampirów, ale napędzane chciwością bestie w ludzkiej skórze też potrafią uprzykrzyć życie. Człek przezorny sypia z coltem w ręku i nigdy nie zapomina posłać martwemu wrogowi dodatkowej kulki – ot, tak, dla pewności. W miastach pojawiają się pierwsze jaskółki cywilizacji: sklepikarze oferują szczoteczki do zębów, a najlepsze hotele San Francisco wabią klientów ciepłą wodą i klozetami. Bracia mają do tych fanaberii stosunek ambiwalentny.

Entuzjastami postępu są: tropiciel-intelektualista Morris i chemik Warm. Ten alternatywny duet na tle zakapiorów z Oregonu wypadł jednak blado.

Film nakręcono w tych samych hiszpańskich plenerach, z których korzystał Sergio Leone. Scenografia, kostiumy i charakterystyczne liternictwo również cieszą oczy. Zdumiewa to, że amerykańscy pionierzy mówią i myślą jak ludzie XXI w. Smuci ich, że żyją w brutalnych czasach. Skończyć z przemocą i zbudować nowe, oparte na wzajemnym szacunku społeczeństwo, zamiast żądzy zysku postawić na rozwój duchowy, zapomnieć o trudnym dzieciństwie, docenić piękno dzikiej przyrody – Patrick DeWitt, autor powieści „Bracia Sisters", ma chyba dość ekstrawaganckie poczucie humoru. W jednym z wywiadów oświadczył, że westerny go nudzą. To akurat nie jest śmieszne.

Wiara, że wyposzczeni fani opowieści z Dzikiego Zachodu przełkną wszystkie herezje, nielogiczności, leniwe tempo i landrynkowe zakończenie, sprowadziła filmowców na manowce. W Wenecji „Braci Sisters" przywitała burza oklasków, w Stanach Zjednoczonych przepadli z kretesem. Zdaje się, że to koniec reżyserskiej kariery Audiarda w Ameryce, bo książka przecież sprzedawała się dobrze, aktorów dostał zaś najlepszych z możliwych. Tymczasem Phoenix zagrał na pół gwizdka, a Gyllenhaal jest po prostu zagubiony. Na ekranie rządzi John C. Reilly, ale jako współproducent filmu pewnie rwie teraz włosy z głowy. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. JACQUES AUDIARD
„BRACIA SISTERS" („THE SISTER BROTHERS")
USA 2018

wyst. John C. Reilly, Joaquin Phoenix, Jake Gyllenhaal

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „WITAJCIE W MARWEN"

Dawny specjalista od fantastyki („Powrót do przyszłości", „Kontakt"), potem od sentymentalnych hitów („Forrest Gump", „Cast Away") próbuje w ostatnich latach sił w kameralnych fabułach. Jego nowy film to opowieść o człowieku, który po utracie pamięci uczy się żyć na nowo, uciekając w świat fantazji i budowanych przez siebie miniatur – zarówno budynków, jak i ludzi. ©℗ *Piotr Gociek*

- ***„Witajcie w Marwen" („Welcome to Marwen"), reż. Robert Zemeckis, wyst. Steve Carell, Falk Hentschel, Matt O'Leary, USA 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Śmierć nadejdzie dziś 2", reż. Christopher Landon, USA 2019***
- ***„Córka trenera", reż. Łukasz Grzegorzek, Polska 2018***
- ***„Kiedy się pojawiłaś", reż. Peter Hutchings, USA 2018***
- ***„Kacper i Emma szukają skarbu", reż. Aurora Gossé, Norwegia 2018***

eprasa.pl de79146524

Szkaradna ósemka

Skandaliści doszli do ściany. Po obaleniu wszystkich tabu pozostała im już tylko zabawa formą. Ekranizacja szokującej książki Elvisa Peetersa według reżysera-debiutanta traktującej „o kryzysie kultury zachodniej, o braku granic i autorytetów, o zaniku starych wartości i rodzeniu się nowych" jest kroniką ekscesów bandy zepsutych do szpiku kości nastolatków z belgijsko-holenderskiego pogranicza. Zakłamaną i fragmentaryczną, gdyż film składa się z czterech autoportretów, popełnionych na użytek rodziców i biegłych sądowych.

Do paczki należało osiem osób, w najlepszym razie poznamy więc zaledwie połowę prawdy. Jednak i tego wystarczy, by znielubić młodych zdobywców świata, którzy poczuli się lepsi od hipokrytów mieszkających w domach z ogródkami. Usprawiedliwienia mnożą się bez końca: burza hormonów, kompleksy, zawiedzione uczucia, rywalizacja, strach przed samotnością (w pojedynkę z pewnością mniej by nabroili). Jedna z dziewczyn całkiem serio twierdzi, że prostytucja i aborcja to są projekty artystyczne.

Przemyślna struktura filmu tudzież epatowanie widza twardą pornografią nie mogą jednak zastąpić wiarygodnej fabuły z bohaterami wzbudzającymi chociaż cień współczucia. Pozostaje przykre wrażenie umysłowej i emocjonalnej pustki. Strata czasu, niestety. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆
REŻ. RENÉ ELLER
„MY!" („WIJ")
HOLANDIA 2018

wyst. Aimé Claeys, Pauline Casteleyn, Tom Van Bauwel

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PRZYJACIÓŁKI NA ZABÓJ

★★★★☆☆
REŻ. PAUL FEIG
„ZWYCZAJNA PRZYSŁUGA"
USA 2018, MONOLITH

wyst. Anna Kendrick, Blake Lively, Henry Golding

Błyskotliwy kryminał Paula Feiga (reżysera filmów „Druhny" czy „Agentka") łączy intrygę w stylu „Zaginionej dziewczyny" z elegancją znaną z „Diabeł ubiera się u Prady". Najważniejsze jest jednak to, że pełen jest świetnych obserwacji psychologicznych i obyczajowych, podanych w zabawnej formie. Stephanie (świetna Anna Kendrick), samotna mama z przedmieścia, kurka domowa prowadząca vlog kulinarny, nieoczekiwanie trafia w orbitę zainteresowań zimnej i wyniosłej Emily (równie świetna Blake Lively). Czy przyjaźń z bogatą, zblazowaną i zdecydowanie zbyt tajemniczą kobietą biznesu jest możliwa? A może kryje się za tym coś więcej? „Zwyczajna przysługa" świetnie balansuje między komedią a thrillerem, do końca pozostawiając nas w niepewności, kto i czyją będzie ofiarą i czy wewnątrz diabolicznych intryg nie kryje się kolejna ich warstwa. Rozrywka z Hollywood jest dziś zwykle głośna, niemądra i grubiańska, „Zwyczajna przysługa" stanowi jeden z chlubnych wyjątków.

MÓJ KUMPEL PASOŻYT

★★☆☆☆☆
REŻ. RUBEN FLEISCHER
„VENOM"
USA 2018, IMPERIAL

wyst. Tom Hardy, Michelle Williams, Riz Ahmed

Wymówką dla poskładania raz jeszcze dobrze znanych kawałków popkultury w nowe monstrum Frankensteina jest humor. Wyobraźcie sobie, że kosmiczny łowca z filmu „Predator" zamiast siekać żołnierzy w dżungli, zaprzyjaźnia się ze Schwarzeneggerem i prowadzi z nim miłe pogaduszki na temat „których ludzi wolno pożerać". W filmie „Venom" taka przygoda przytrafia się reporterowi Brockowi (Tom Hardy). Opanowany przez pasożyta z kosmosu, który daje mu nadzwyczajne umiejętności, musi nauczyć się współistnienia z mrocznym alter ego. Reszta jest do bólu znana: bogacz bez sumienia ściągający niebezpieczeństwo na naszą planetę, sceny walki, odrobina romansu plus kosmiczne zagrożenie. Mimo krytycznych recenzji film zarobił krocie, ciąg dalszy zatem nastąpi, zresztą już wiadomo, że z Woodym Harrelsonem w roli łotra imieniem Carnage. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „METRO EXODUS"

★★★★★☆

Postapokaliptyczny świat moskiewskiego metra stworzony przez Dmitrija Głuchowskiego obrodził nie tylko liczną prozą, lecz także za sprawą 4A Games trzecią już strzelanką z elementami RPG. Tym razem jednak, zamiast przeciskać się przez ciemne korytarze, po raz pierwszy wychodzimy na eksploracje rosyjskiego „eksterioru", który okazuje się nadspodziewanie pełny życia, stworów i sekt. Metro Exodus urzeka klimatyczną grafiką, grą świateł i projektami budynków. Pomimo zmiany stylu (dzięki pociągowi „Aurora", którym przemierzamy kraj), zachowuje znany z poprzednich produkcji klaustrofobiczny klimat. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *4A Games/Techland*
- ***PEGI:*** *18+*

eprasa.pl de79146524

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Druki sprzed wieku

Dokładnie 2588 opisów obejmuje wydany przez Bibliotekę Narodową na 100-lecie niepodległości Polski katalog odezw, obwieszczeń, rozkazów, afiszów, ulotek oraz jednodniówek z lat I wojny światowej, pochodzących ze zbiorów zakładu dokumentów życia społecznego Biblioteki Narodowej w Warszawie.

W większości przedstawione dokumenty wydane zostały na terenach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, ale są tu też materiały z pozostałych obszarów krajów zaborczych, a także dokumenty emigracyjne.

Przeważają ogłoszenia regulujące rozmaite, by nie powiedzieć – wszystkie, aspekty życia ludności zamieszkującej dany obszar. Czegóż tutaj nie ma! Władze ściśle określały np., którą stroną ulicy należy chodzić (Prawą! Niestosujących się do tego przepisu patrole policyjne mogły aresztować), ile i kiedy jeść mięsa (w Galicji zakaz sprzedaży i podawania mięsnych potraw w 1916 r. obowiązywał we wtorki i w piątki) oraz soli (w Radomiu w październiku 1914 r. można było kupić nie więcej niż 2 funty po 10 kopiejek za funt). W niedalekich od Radomia Kielcach, ale rok później i w innej walucie ściśle wyznaczono m.in. maksymalne ceny słodkości. Funt czekoladek kosztował 4 marki, mazagran – pół marki, lemoniada – 40 fenigów, czarna kawa – 30 fenigów, ciastka taniutkie jak woda sodowa – po 10 fenigów.

Nie brakowało jednak znacznie ciekawszych wiadomości. Oto we Lwowie 13 lutego 1915 r. wojenny generał-gubernator Galicji – generał-porucznik hr. Bobrinski – zarządził, co następuje: „1. Zakazuje się osobom żydowskiej narodowości wkraczać w obręb Galicyi.
2. Zakazuje się osobom żydowskiej narodowości przechodzić z jednego powiatu Galicyi do drugiego.

Cena 20 groszy.

CZYN

2ª Jednodniówka robotnicza

Wydawnictwo Śródmiejsko-Lubelskiej organizacyi P. P. S.

TREŚĆ: 1. „Jutro" (wiersz). B. L. — 2. „Sprawa polska i robotnicy". — J. S. M. — 3. Felieton: Juliusz Kaden. „Józef Piłsudski". — 4. „Podchowanie" (wiersz). St. Ch. [illegible] — 5. „Stosunek robotnika do hasła jedności narodowej". St. [illegible] 6. „Na mogile Heroina" B. Lubicz. 7. „Konferencya słowiańskich niepodległościowych" [illegible] 8. „Przygody chłopa galicyjskiego w Brześciu Litewskim". St. Wojciechowski. 9. „Trybuna" 10. Kronika: „Zapłacone kłamstwo". 11. „Pokawkowania".

3. Winni naruszenia niniejszego postanowienia podlegają w drodze administracyjnej grzywnie do trzech tysięcy rubli lub uwięzienia do trzech miesięcy".

28 lipca tegoż 1915 r., gdzie indziej, bo w Radomiu, władze miały inny kłopot, mianowicie z prostytutkami. Zarządziły przeto, by domy publiczne wskazywały palące się przed nimi czerwone latarnie, a prostytutki zaopatrzone w stosowne legitymacje profesję swą uprawiały właśnie w domach publicznych, a nie gdzie indziej. Potajemna prostytucja – głosił rozkaz c.k. komendanta stacji etapowej, Hauptmanna von Thallera, „z całą bezwzględnością będzie wyplenianą".

Niektóre z prezentowanych rozporządzeń budzą grozę, np. te o wykonanych wyrokach śmierci, inne nasuwają analogie z nie tak znów odległym w czasie stanem wojennym, jeszcze inne zaś – te dla nas najcenniejsze – dokumentują wysiłek naszych przodków dążących do restytucji Rzeczypospolitej. Także, a może przede wszystkim wysiłek zbrojny, czego dowodzą numery „Legionów" i „Żołnierza Polskiego", zawiadomienia i ulotki konspiracyjne. Czy tylko hasła, lapidarne i w kilku słowach mówiące wszystko: „Nasza siła w wojsku, nasza ufność w Józefie Piłsudskim". Jakby w kontrze do nich sytuują się te odezwy, dzięki którym zaborcy chcieli zyskać przychylność Polaków dla swoich planów i celów politycznych.

Nie brakuje również druków niosących ze sobą złowieszczą treść. Nie tylko tych urzędowych. Na przykład 19 lipca 1917 r. Warszawski Ośrodek Bundu zawiadamiał, że „na podstawie informacji uzyskanych od towarzyszy z Rosji, podaje do wiadomości publicznej, że WOLF vel Władysław Nachimzon, handlarz z Warszawy, „był prowokatorem na usługach ochrany rosyjskiej".

I na koniec wezwanie, o którym warto pamiętać. Do obywateli m.st. Warszawy, podpisane przez Komitet Bojkotu Niemczyzny. Niemców już nie było w Warszawie, pozostały jednak oznaki niemczyzny. I dlatego apelowano: „Precz z niemieckimi szyldami, napisami, ogłoszeniami! Precz z niemieckimi cennikami towarów i potraw! Precz z wystawami książek, pism, pocztówek niemieckich. Kupcy i przedsiębiorcy niech się niezwłocznie zastosują do tego wezwania. Publiczność polską wzywamy, aby dopilnowała uprzątnięcia z ulic Warszawy poniżającej handel polski obcej reklamy. Precz z niemczyzną!".

Imponujący ten katalog jest dziełem Zofii Głowińskiej i współpracujących z nią: Agnieszki Alberskiej, Izabeli Jabłońskiej, Agnieszki Jurkowskiej oraz Piotra Anczewskiego. I poza wszystkim innym popularyzuje on mało dotąd znane archiwa zakładu dokumentów życia społecznego Biblioteki Narodowej, którego stan magazynu na koniec 2017 r. wynosił 2 604 496 jednostek wszelkiego rodzaju zbiorów, uporządkowanych według 26 działów, od gospodarki i polityki poczynając, a na kulturze i religii kończąc. ©℗

★★★★★★

ZOFIA GŁOWIŃSKA Z ZESPOŁEM „KATALOG DRUKÓW ULOTNYCH Z LAT 1914–1918 W ZBIORACH BIBLIOTEKI NARODOWEJ"
BIBLIOTEKA NARODOWA 2018

eprasa.pl de79146524

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Klątwą i mieczem

Jacek Komuda był idealnym – i chyba jedynym – kandydatem do stworzenia takiej mieszanki: połączenia fantastyki i historii w sposób intrygujący i nieoczywisty. Jego nowa seria (ukazały się już dwie części) to fantasy „prawie słowiańska" oraz przygodowa opowieść „prawie historyczna". Przy czym tu akurat „prawie" decyduje o smakowitości potrawy.

Rozmaite próby słowiańskich fantazji z ostatnich trzech dekad zwykle rozczarowywały, pamiętam pojedyncze perełki, jak opowiadanie „Czerty Welesa" Artura Szrejtera. Nie do rozwiązania okazywały się dwa problemy. Jak to zrobić, by nie zalatywało „Starą baśnią" Kraszewskiego, i jak wybrnąć z kłopotu ze skąpością źródeł. Komuda, zamiast brać udział w grze nie do wygrania, po prostu przewrócił stolik i zaproponował rozgrywkę wedle własnych reguł.

Tak czytelnik trafił do królestwa Lendii, które trochę przypomina wczesnośredniowieczną Polskę, a którego sąsiedzi trochę przypominają ludy historyczne (okrutni Hungurowie odgrywają rolę trochę Hunów, trochę Turków). I poznał głównego bohatera najpierw tomu opowiadań, teraz także powieści, niejakiego Jaksę, na którego losach ważą czyny popełnione przez rodziciela.

Dobra fantasy musi być głęboko zanurzona w prawdziwej mitologii, kulturze i historii, inaczej stosowane przez nią kody nie rezonują w czytelniku. Najczęściej popełnianym błędem niedoświadczonych pisarzy fantasy jest próba wymyślenia wszystkiego od zera, byle tylko brzmiało obco i niespotykanie. Tolkien, Zelazny, Le Guin, Sapkowski udowodnili po wielokroć, że nie tędy droga. Fantastyka jest metaforą, grą z czytelnikiem, która uda się tylko wtedy, kiedy istnieje wspólne pole doświadczeń. Komuda zagrał znakomicie, wplatając w swoją fikcyjną opowieść elementy prawdziwych pogańskich obyczajów i zaklęć, w tym nawet kawałki z „Dziadów" Mickiewicza, pokazując, że i postmodernistyczne zabawy nie są mu obce.

Wróżę tej serii długą i ciekawą przyszłość, metoda obrana przez autora jest owocna, a świat Lendii i jej nieprzyjaciół fascynujący. Nie przywiązywałbym się specjalnie akurat do Jaksy – fantastyczne uniwersum Komudy na pewno okaże się pełne i innych bohaterów oraz ich historii. ©℗

★★★★☆☆
JACEK KOMUDA „JAKSA" FABRYKA SŁÓW 2018

★★★★★☆
JACEK KOMUDA „JAKSA. BIES IDZIE ZA MNĄ" FABRYKA SŁÓW 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Opowieść o przedsiębiorcach, inwestorach, fabrykantach i jednocześnie wielkich patriotach wolnej Rzeczypospolitej to zarazem edytorska perełka. Kapitalnie zilustrowana, starannie opracowana – godny hołd na 100 lat Niepodległej.

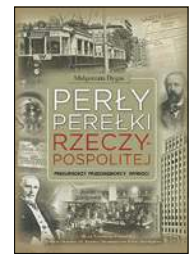

MAŁGORZATA DYGAS „PERŁY, PEREŁKI RZECZYPOSPOLITEJ" OW VOLUMEN

Woroszyłow, Budionny, Tuchaczewski czy Żukow, ale także oddelegowany do pełnienia obowiązków Polaka Rokossowski – kilkanaście portretów dowódców Armii Czerwonej. Często krytycznych, choć chyba i tak zbyt mało.

JURIJ W. RUBCOW „MARSZAŁKOWIE STALINA" REA-SJ

Niespodziewany powrót po latach. Nowa powieść autorki niezmiernie popularnych w latach PRL książek młodzieżowych (m.in. „Kosmohikanie"). Rzecz o nastolatkach z krakowskiego blokowiska. Czas akcji: lata 80. XX w.

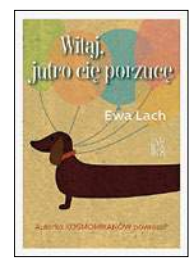

EWA LACH „WITAJ, JUTRO CIĘ PORZUCĘ" ARCANA

Poszerzone i uaktualnione wydanie książki, która oryginalnie ukazała się w roku śmierci artystki (2011). Reportaż i biografia, rzecz często krytyczna wobec gwiazdy, która przez dekady wodziła za nos fanów i dziennikarzy.

©℗ *poleca Piotr Gociek*

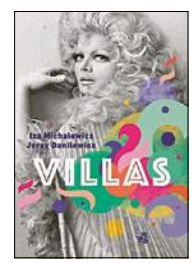

IZA MICHALEWICZ, JERZY DANILEWICZ „VILLAS" W.A.B.

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Maria Szamot „Chcę widzieć Jezusa" – od chrztu w Jordanie do wjazdu do Jerozolimy w Niedzielę Palmową, medytacje o boskiej naturze Chrystusa.***
2. ***John Eldredge „Dzikie serce. Tęsknoty męskiej duszy" – czym jest męskość wedle nauczania chrześcijańskiego. Bestseller od wielu lat (premiera polska w 2003 r.).***
3. ***Jon Frederickson „Kłamstwa, którymi żyjemy" – dlaczego psychoterapia nigdy nie zastąpi modlitwy oraz o tym, że może utwierdzić nas w błędnych przekonaniach.***
4. ***Fulton J. Sheen „Siedem grzechów głównych" – niemal dwie dekady po premierze wreszcie w Polsce, pełne pasji rozważania znanego kaznodziei.***
5. ***John C. Lennox „Bóg i Stephen Hawking" – prof. matematyki z Oksfordu w polemice z tezami słynnego naukowca, który Boga chciał zastąpić prawami fizyki.***

(Najchętniej kupowane tytuły wydawnictwa W Drodze w roku 2018)

eprasa.pl de79146524

Śpiewnik z bonusem

Czesław Niemen, 1974 r. FOT. MAREK KAREWICZ/EAST NEWS

Trochę musiał poczekać „Sen o Warszawie" Czesława Niemena, by z „piosenki, jakich wiele" zająć należne sobie miejsce. Dzisiaj to kultowy evergreen i jeden z najbardziej rozpoznawalnych utworów w historii polskiej muzyki. Marek Gaszyński, autor słów „Snu o Warszawie", pisze o niej tak: „Zwykle nowa piosenka w kilka dni czy tygodni po nagraniu staje się – lub nie – przebojem, zależy to od jej urody i paru innych nieprzewidywalnych czynników. Ze »Snem o Warszawie« było inaczej: przez długie lata była to piosenka, jakich wiele, gościła czasem na antenie, zwłaszcza w okolicach świąt państwowych lub gdy mowa była o stolicy, a przebojem na dużą skalę stała się, gdy Legia wzięła ją sobie za hymn drużyny piłkarskiej w roku 2004, po śmierci Niemena".

Gaszyński napisał „Sen..." w 1966 r., gdy miał 26 lat. Jak sam przyznaje – nie znał się ani na pisaniu tekstów, ani wierszy, jedyne zaś, czym się kierował, to to, by słowa pasowały do melodii i aby całość spodobała się Niemenowi. „I gdy po wielu, wielu latach przed meczem otwarcia nowego stadionu Legii słuchałem, jak piłkarze i cały stadion śpiewają naszą piosenkę, miałem łzy w oczach" – wspomina.

Historia „Snu o Warszawie" to jedna z wielu opisanych w wyjątkowym śpiewniku stworzonym przez Narodowe Centrum Kultury. Powstał (a właściwie wciąż powstaje) z okazji stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Docelowo ma się w nim znaleźć sto najważniejszych w polskiej kulturze piosenek, które powstały między rokiem 1918 a 2018. W następnych latach będzie rozbudowywany. Znajdziemy tam słowa i krótką historię każdego z utworów (a historie te bywają wyjątkowo ciekawe i nieoczywiste) oraz podkład muzyczny, gdybyśmy chcieli sobie pośpiewać. Bardzo fajna, trwała i cenna pamiątka po zeszłorocznej rocznicy. Wszystko pod adresem: www.zaspiewajmy.pl. Warto zajrzeć, nawet jeśli śpiewać nie zamierzamy. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Dżdżysta melancholia

Paul Webb 31 lat po opuszczeniu Talk Talk, 17 lat po wydaniu fantastycznej płyty z Beth Gibbons (Portishead), wydał pod pseudonimem Rustin Man pierwszy album solowy.

Webb pracował nad płytą aż 16 lat. Powstał album, który wpisuje się w tradycję angielskiej, artystycznej melancholii. Dominują na nim sepia (patrz okładka) i euforyczny smutek. To rodzaj muzycznego filmu, którego każda piosenka jest oddzielną nowelą, opowiadaną przez innego narratora. Pierwsza mówi o radości z zakończenia toksycznego związku, druga o grze w karty z Bogiem... To świat toczący się w zwolnionym tempie i odległym czasie. Słyszymy staromodne organy, anielskie żeńskie chórki, klawesyn, bluesa, a nawet odniesienia do muzyki filmowej z lat 40. Całość nagrana jest z wielkim smakiem i bez gwałtownych zmian nastroju.

Tylko głos Webba nie ma w sobie niczego uwodzicielskiego i dla niektórych może to być przeszkodą w pokochaniu płyty. Maniera wokalna Rustin Mana przypomina dokonania Roberta Wyatta, co może być dla innych wręcz rekomendacją. Nie jest to propozycja dla każdego, aczkolwiek radziłbym z niej skorzystać. ©℗

★★★★☆☆

RUSTIN MAN
„DRIFT CODE"
DOMINO

★★★★☆☆

WOJCIECH GŁUCH
„ŻYCIE KAMILA KURANTA"
GAD

Nostalgiczna, niezwykłej urody muzyka do popularnego serialu z lat 80. rozgrywającego się przed stu laty. Skrzypce, akordeon, klarnet snują opowieść niepozbawioną zarówno dramatycznych, jak i radosno-tanecznych momentów.

★★★★☆☆

KAMIL BEDNAREK
„MTV UNPLUGGED: BEDNAREK"
SPACE

Klimatyczne reggae w wersji akustycznej wzbogaconej momentami o kwartet smyczkowy. Największe przeboje, kilku gości (m.in. Kuba Badach), rozluźniona atmosfera, czyli udane podsumowanie 10-letniej kariery. ©℗

eprasa.pl de79146524

Minister Ziobro przyszykował bat na lichwiarzy. Może zaboleć

Po wejściu w życie przepisów przygotowanych przez kierowany przez Zbigniewa Ziobro resort sprawiedliwości, udzielający rujnujących ludzi i ich majątek pożyczek lichwiarze będą trafiali do więzienia nawet na pięć lat. Na rynku pozostaną te firmy pożyczkowe, które oferują godziwe warunki i nie ukrywają dodatkowych kosztów

Zaprezentowany właśnie projekt jest elementem programu reform „Sprawiedliwość i bezpieczeństwo", ogłoszonego w kwietniu 2018 r. przez Ministra Sprawiedliwości Prokuratora Generalnego Zbigniewa Ziobro.

Projekt przynosi rewolucyjne i korzystne dla Polaków zmiany w następujących dziedzinach sektora bankowo-pożyczkowego.

Tzw. chwilówki – szybkie pożyczki, łatwo dostępne, ale dramatycznie drogie mimo formalnie niskiego oprocentowania. W myśl nowych przepisów limit dodatkowych opłat dla „chwilówek" zostanie ograniczony do 45 proc. kwoty pożyczki w skali roku, przy pożyczce na miesiąc limit wyniesie tylko 22 proc.

Nowe prawo spowoduje, że bezduszni „bankierzy" nie będą mogli tak łatwo odebrać komuś dom. Służy temu zapis, że zabezpieczenie pożyczek (np. w postaci hipoteki na nieruchomości) nie będzie mogło przekraczać wysokości pożyczki plus maks. 45 proc. Wyeliminowana też zostanie m.in. możliwość egzekucji komorniczej z mieszkania, jeśli wysokość zadłużenia nie przekracza 5 proc. wartości lokum.

Uregulowane zostaną dodatkowe opłaty naliczane przez banki pożyczające pieniądze osobom fizycznym, jak i te przy pożyczkach udzielanych przez osoby prywatne. W przypadku bankowej pożyczki konsumenckiej opłaty nie będą mogły przekroczyć 45 proc. kwoty pożyczki w skali roku, a maksymalne odsetki – 10 proc.

Taki sam limit będzie obowiązywał przy bankowej pożyczce dla osoby fizycznej na wyższą kwotę. Przy tej udzielanej na podstawie umowy cywilno-prawnej limit dodatkowych opłat wyniesie 25 proc. kwoty pożyczki.

I najważniejsze – co zdaniem projektodawcy odstraszy bezdusznych pożyczkodawców – projekt przewiduje karę pozbawienia wolności od trzech miesięcy do pięciu lat dla każdego, kto „w zamian za udzielone osobie fizycznej pożyczki zażąda za nią kosztów dodatkowych dwukrotnie wyższych niż maksymalne lub zażąda od niej zapłaty odsetek w stopie dwukrotnie wyższej niż maksymalna".

Uregulowane zostaną też zakupy ratalne, gdzie czasami też dochodzi do nadużyć. W myśl projektu limit dodatkowych opłat w przypadku rat zostanie ustalony na 45 proc. kwoty pożyczki w skali roku.

„Został ostatecznie zaakceptowany i będzie przekazany do dalszych prac legislacyjnych projekt, który uderza w patologie i nadużycia związane z lichwą […], plagą nadużyć i nieprawidłowości związanych z działalnością firm pożyczkowych" – zaznaczył na niedawnej konferencji prasowej minister Zbigniew Ziobro.

Wskazał, że problem jest wielki – „dotyczy już milionów ludzi w Polsce i że te osoby, które po raz kolejny zaciągają pożyczki, w ogromnej większości już są zadłużone".

To „takie swoiste zniewolenie tych, którzy w te kredyty popadli, swoiste niewolnictwo pożyczkowe, że człowiek jest przywiązany niczym łańcuchem do kredytu, do pożyczki, i do końca życia nie jest w stanie się z tego wydostać. My chcemy, by ta pętla nie zaciskała się na szyi Polaków" – powiedział minister sprawiedliwości.

eprasa.pl de79146524

Witold Repetowicz

Groźba antyamerykanizmu

Niedawny szczyt bliskowschodni w Warszawie przyniósł niespodziewany i niepożądany przez polskie władze efekt: wściekłość znacznej części polskiej opinii publicznej na Amerykanów

Gdy w październiku ubiegłego roku słuchałem wystąpienia Georgette Mosbacher na uroczystej kolacji Warsaw Security Forum, to byłem zauroczony. Nowa amerykańska ambasador zdecydowanym głosem odrzuciła sugestię przemawiającego chwilę wcześniej byłego sekretarza generalnego NATO Andersa Fogha Rasmussena o malejącej roli USA dla europejskiego bezpieczeństwa. – Ameryka nigdy się nie cofa – zagrzmiała Jej Ekscelencja.

Niedługo potem czar prysł. Zaczęło się od słynnego, aroganckiego listu pani ambasador do premiera Mateusza Morawieckiego, w którym przekręciła nazwiska premiera i ministra spraw wewnętrznych, wtrącając się w wewnętrzne sprawy Polski w interesie amerykańskiej spółki medialnej. Sposób, w jaki strofowała polskie władze, mógłby być odpowiedni dla relacji USA z jakąś bananową republiką, ale nie dla kluczowego sojusznika Stanów Zjednoczonych w Europie.

Pani ambasador szybko przeprosiła za styl listu, choć nie wycofała się z jego treści. Potem jednak zaczęła wysyłać kolejne pisma. To do ministra zdrowia w interesie jednego z amerykańskich koncernów farmaceutycznych, a to do ministra infrastruktury, żądając korzystnych dla amerykańskiego Ubera zmian w projekcie ustawy o transporcie drogowym. Groziła przy tym konsekwencjami w postaci wstrzymania amerykańskich inwestycji w Polsce. Rząd się ugiął. Podobnych listów prawdopodobnie było zresztą więcej.

KLEPANIE PO PLECACH

Również sam amerykański prezydent Donald Trump zauroczył miliony Polaków, gdy w czasie swojej wizyty w Polsce w lipcu 2017 r. wystąpił z płomiennym przemówieniem na placu Krasińskich w Warszawie. Potwierdził wówczas sojusznicze zobowiązania USA wobec Polski, wyrażał uznanie dla naszej roli w Europie, dokonując przy tym wielu nawiązań do historii, a także podkreślał przyjaźń między naszymi krajami.

Klepanie po plecach wychodzi Amerykanom nieźle. Mosbacher też co chwila deklaruje z uśmiechem od ucha do ucha, że kocha Polskę, i robi odniesienia do historii naszego kraju. A potem ambasada USA w Polsce dopuszcza do tego, by sekretarz stanu wychwalał na naszej ziemi stalinowskiego zbrodniarza. To, że pierwszego dnia swego pobytu w Polsce w związku z konferencją bliskowschodnią Mike Pompeo ni stąd, ni zowąd wspomniał o Franku Blajchmanie, uznając go za symbol polskich cnót, o których mówił Trump na placu Krasińskich, nie było żadną wpadką. Trudno bowiem zakładać, że Pompeo sam sobie napisał przemówienie i nikt (w tym w szczególności personel ambasady USA w Polsce) nie sprawdził, że Blajchman był ubeckim oprawcą.

Cały szczyt bliskowschodni od początku do końca był zresztą popisem arogancji USA wobec Polski. O tym, że USA zorganizują w Polsce taką imprezę, polska opinia publiczna dowiedziała się z wywiadu udzielonego przez Pompeo amerykańskiej telewizji FOX News w trakcie jego wizyty w Egipcie. Świadczyło to o tym, że albo Pompeo nadaje się na dyplomatę tak jak słoń na baletnicę, albo że traktuje Polskę per noga. Kuriozalne było również to, że w wypowiedzi amerykańskiego sekretarza stanu Polska określona została tylko jako miejsce konferencji, a USA jako gospodarz. To wywołało wątpliwości, czy polski MSZ w ogóle wiedział o planach zorganizowania tego szczytu, czy też dowiedział się o nich z amerykańskiej telewizji.

BEZ INTERESU

Organizacja tej konferencji nie była w interesie Polski. Nie dlatego, że Bliski Wschód nas nie dotyczy, ale dlatego, że nie jesteśmy stroną w konflikcie między Izraelem i Arabią Saudyjską z jednej strony a Iranem z drugiej. Co więcej, z Iranem łączyły nas zawsze dobre relacje i trudno było znaleźć jakieś wrogie wypowiedzi czy działania tego kraju wobec Polski. Tymczasem w przypadku Izraela jest zupełnie inaczej. Trudno było również uzasadniać to aksjologicznie, bo rywalizacja między Arabią Saudyjską i Iranem nie ma nic wspólnego z walką o wolność,

eprasa.pl de79146524

Ambasador USA Georgette Mosbacher wysyłała aroganckie listy z żądaniami do premiera i ministrów FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

demokrację czy ze zwalczaniem religijnego ekstremizmu. Zresztą zwolennicy organizacji konferencji nawet nie próbowali bronić jej pod względem merytorycznym, argumentując za to, że jest ona wyrazem docenienia Polski przez USA i będzie służyć dalszemu zacieśnianiu stosunków z tym krajem oraz kluczowymi sojusznikami Ameryki na Bliskim Wschodzie, w szczególności Izraelem.

Hasło „Fort Trump" stało się słowem kluczem zwolenników „szczytu bliskowschodniego". To miała być nagroda za jego organizację, choć im bliżej było tego wydarzenia, tym z mniejszą pewnością siebie było to artykułowane. W końcu zamiast wprowadzenia stałej obecności żołnierzy USA w Polsce Amerykanie sprzedali nam system wyrzutni rakietowych HIMARS. W sprzedawaniu są równie dobrzy co w klepaniu po plecach. W kwestii Fortu Trump Pompeo w jednym z wywiadów stwierdził, że do tego jeszcze bardzo daleko. Potraktowano nas jak pożytecznych idiotów.

KAMPANIA NETANJAHU

Amerykanów w ogóle nie interesowały polskie interesy w czasie wizyty w Warszawie. Za to postanowili wesprzeć kampanię Netanjahu przed izraelskimi wyborami parlamentarnymi, którą izraelski premier postanowił robić w Warszawie na naszych plecach. Dlatego właśnie Pompeo wyskoczył z Blajchmanem i wezwał Polskę do zaspokojenia roszczeń dotyczących mienia ofiar Holokaustu. Strategia wyborcza Netanjahu związana z wizytą w Polsce oparta była na dwóch elementach: zademonstrowaniu, że jest on w stanie zbudować wielki front antyirański razem z sunnickimi państwami arabskimi, oraz graniu na antypolskich nastrojach, które niestety są popularne w Izraelu. I w obu tych aspektach USA postanowiły pomóc zaprzyjaźnionemu z Trumpem Bibiemu, nie zważając na to, co to oznacza dla Polski.

Antypolski przekaz znalazł się również w relacji czołowej amerykańskiej dziennikarki Andrei Mitchell z telewizji NBC, która stwierdziła, że powstanie w getcie warszawskim było zrywem żydowskich powstańców przeciwko „polskiemu i nazistowskiemu reżimowi". Mitchell po kilku dniach wprawdzie przeprosiła, tłumacząc się przejęzyczeniem, ale trudno uznać, że takie nagromadzenie „wpadek" było przypadkowe. Pompeo zresztą publicznie nie przeprosił za wzmianki o Blajchmanie i brak jakiegokolwiek komunikatu, by ktokolwiek odpowiedzialny za przygotowanie tego przemówienia stracił pracę.

JEDNA KARTA

Sojusz ze Stanami Zjednoczonymi jest bardzo ważny z punktu widzenia bezpieczeństwa Polski. Obecność 3,5 tys. żołnierzy amerykańskich, zwłaszcza Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej stacjonującej w Żaganiu, zmniejszyła zagrożenie ze strony Rosji. Jednak jeśli USA rzeczywiście poważnie podchodzą do swoich sojuszniczych zobowiązań wobec Polski, to powinny inaczej nas traktować. Nikt nie ma wątpliwości przy tym, że sojusz z USA ma charakter asymetryczny, ale elementarny szacunek wobec partnera to coś innego.

Polska nie może też stawiać wszystkiego na jedną kartę, zwłaszcza po tym, jak Donald Trump pokazał, zapowiadając w grudniu wycofanie się z północnej Syrii i zostawienie tamtejszych kurdyjskich oddziałów na pastwę Turków, że prezydent USA może zdecydować o opuszczeniu sojusznika nawet wbrew opinii generałów, własnych doradców i Kongresu. Jednym z faworytów w wyścigu o nominację demokratów w najbliższych wyborach prezydenckich jest Bernie Sanders, który optuje za niekonfrontacyjną polityką wobec Rosji. Sam Trump zabiegał zresztą o to, żeby Rosja stanęła po stronie USA w konfrontacji z Chinami. Skoro Polska jest tak traktowana przez tę administrację, to czy można wykluczyć, że moglibyśmy stać się przedmiotem handlu amerykańsko-rosyjskiego?

Doświadczenia USA z bardziej krnąbrnymi sojusznikami dowodzą, że Amerykanie dają marchewkę nie za lojalność, ale wówczas gdy sojusznik wymyka im się z rąk. Polski rząd próbował przedstawić sprzedaż himarsów i dostawy LNG z USA jako dowód amerykańskiego wsparcia i nagrodę za lojalność. Tyle że gdy w Warszawie rozpoczynała się konferencja bliskowschodnia, to USA zapowiedziały sprzedaż rakiet naprowadzanych laserowo Libanowi, którego minister spraw zagranicznych raptem kilka dni wcześniej ogłosił bojkot warszawskiego szczytu na wspólnej konferencji prasowej z szefem irańskiej dyplomacji. USA tymczasowo zwolniły też kilka krajów z obowiązku stosowania sankcji nałożonych na Iran, ale odmówiły tego Polsce, choć się o to starała.

Doświadczenia dowodzą, że Amerykanie dają marchewkę nie za lojalność, ale wówczas, gdy sojusznik wymyka im się z rąk

Donald Trump miał rację, gdy mówił w 2017 r. o przyjaźni łączącej USA i Polskę. Miał też rację, gdy wspomniał o niezłomnym duchu naszego narodu i o tym, że nigdy nie utraciliśmy naszej dumy. Dlatego USA powinny przemyśleć to, jak traktują Polskę, bo jest to prosta droga do zniszczenia tej przyjaźni. Nastroje antyamerykańskie zaczynają dziś kiełkować nawet wśród osób, które zawsze były bardzo proamerykańskie. Jeśli zatem USA nie zaczną nas traktować po partnersku, jak sojusznika, a nie jak satelicką marionetkę, a ambasador USA nie zrozumie, że nie jest namiestnikiem kolonii amerykańskiej, to prędzej czy później Polacy przestaną kochać Amerykę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Szefowie sadyści

Ostatnio zdałem sobie sprawę, że świat jest postrzegany przez nas z punktu widzenia pracownika, a nie pracodawcy. Tych pierwszych jest znacznie więcej, więc media i popkultura wypełnione są postaciami złych, debilnych albo sadystycznych szefów. Kino łatwiej zapełnić filmem o głupich szefach niż o głupich pracownikach.

W medialnej rzeczywistości szefowie ciągle dopuszczają się mobbingu na zatrudnionych przez siebie niewiniątkach, a gazety rozpisują się o szczególnie krwistych przypadkach dręczenia. W filmach zdesperowani i doprowadzeni do ostateczności pracownicy knują, jak zamordować swoich przełożonych, którzy zamieniają ich życie w piekło. Ludzie w knajpach, popijając piwko, opowiadają sobie historyjki o półgłówkach rządzących nimi w pracy. Świat jest zaludniony przez skretyniałych przełożonych i genialnych podwładnych.

Cóż, byłem kilka razy w życiu szefem i faktycznie – współczuję ludziom, którzy musieli ze mną pracować. Niewiele osób na świecie mniej ode mnie nadaje się do organizowania pracy innym i zapewne nie istnieją istoty, które gorzej ode mnie zarządzają zespołami. Bez wątpienia nie ma gorszych w dziedzinie egzekwowania poleceń. Ba, mam problemy nawet z ich wydawaniem. Z pokorą biję się we własne piersi. Gdyby istniał ogólnoświatowy program telewizyjny „World's Worst Boss", to byłbym głównym faworytem do zwycięstwa w pierwszej edycji.

Muszę jednak wyznać, że z kierowania ludźmi wyniosłem – prócz jak najgorszej samooceny – przeświadczenie, że standardowy pracownik najbardziej twórczy jest, gdy szuka wytłumaczenia, dlaczego czegoś nie da się zrobić. Oraz że ludzie są w stanie źle zrozumieć najprostsze komunikaty pod słońcem.

Zwłaszcza ten drugi aspekt bywa irytujący. Myślę, że tylko żony wysyłające mężów po zakupy są w stanie zrozumieć frustracje przeciętnego drobnego przedsiębiorcy lub szefa zlecającego coś swemu pracownikowi. Tylko one doświadczają równie niedorzecznych nieporozumień. Z tym że one mogą sobie o gamoniowatych mężach opowiadać, a szefom to nie wypada, bo ich w gazetach opiszą. Więc z takiego forum, na którym gospodynie robią sobie bekę z małżonków, dwie historie.

Pierwsza: „Poprosiłam męża, żeby mi kupił płatki kosmetyczne. Wrócił z całą reklamówką najróżniejszych płatków śniadaniowych, bo nigdzie nie było kosmicznych". Druga: „Moja mama zrobiła mojemu ojcu listę zakupów. Na liście była pyralgina. Ojciec przyjechał z pelargonią". A to może jeszcze trzecia, bo dość smakowita: „Mój kiedyś miał kupić śmietankę trzydziestkę, to kupił 30 sztuk".

Śmiało zakładam, że ci panowie podobnie jak z żonami dogadują się z szefami. A potem opowiadają, jakich idiotów muszą słuchać w robocie. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Jak wygrać?

To widać gołym okiem, nawet jeśli kibicuje się dobrej zmianie. Zjednoczona Prawica znalazła się w defensywie. I nieważne, że totalna opozycja atakuje, bezładnie, na oślep, często głupio, niczym jaskiniowcy rzucający kamieniami w mamuta, ale za to non stop, zmuszając władzę do ciągłego reagowania, tłumaczenia, czasem wycofywania się.

Absorbuje to siły, środki, czas i stwarza, mimo dziesiątków dokonań, sukcesów oraz dobrodziejstw, wrażenie swoistego impasu. Gra na politycznym boisku zaczyna przypominać najgorsze lata polskiej reprezentacji piłkarskiej, kiedy najważniejsze było, żeby murować bramkę, rozbijać ataki przeciwnika, zastawiać pułapki ofsajdowe i liczyć, że uda się dociągnąć bezbramkowy rezultat do końca spotkania. Czasem się udawało, częściej nie. Nawet gorszemu, ale zdesperowanemu rywalowi wychodziła jakaś nieoczekiwana kontra, jakiś fuks, faul, karny...

Ratunek w każdej batalii polega na przejęciu inicjatywy

Ratunek w każdej batalii, obojętnie, czy w sporcie, czy w polityce, polega na przejęciu inicjatywy. Nie wygra się wyłącznie defensywą. Chcąc myśleć o zwycięstwie, należy przenieść akcję na stronę przeciwnika. Ograniczyć możliwości bezkarnego harcowania.

Oczywiście proszę nie zmuszać mnie, żebym zgłaszał konkretne pomysły. Od tego jest władza dysponująca wiedzą, siłami specjalnymi, prokuraturą. Tymczasem na każdym odcinku trwa dziwna walka w kisielu. Policja łapie, sądy wypuszczają. Nie zakończono żadnej afery, nie skazano żadnych winnych. Może należało się skoncentrować na kilku sprawach i tam odnieść zwycięstwo. Wszędzie (może poza telewizją publiczną) trwa dziwna ostrożność, bojaźliwość. Utrzymuje się paraliżujący lęk przed twórcami, naukowcami, sędziami. Zawsze byłem za rozwiązaniami miękkimi, koncyliacyjnymi. Ale co dały? Czy uśmiechy, łagodność, grzeczność przekonały kogokolwiek w kraju lub za granicą? Może więc pora na stanowczość?

Powiedzmy otwarcie: gdy na każdym kroku sypią się oskarżenia za czyny niepopełnione, może trzeba, mówiąc językiem Ziemkiewicza, przestać się obcyndalać. I ruszyć po bandzie! Przecież jeśli teraz nie zostanie przechwycona inicjatywa, nie uruchomi się aktywności społecznej, nie stworzy się ludziom nadziei, że się da i warto, to można obawiać się najgorszego. Nie, nie terroru „totalniaków", bo na to tego bezideowego towarzystwa nie stać. Raczej gnicia. Jakichś rządów koalicyjnych, mniejszościowych, stagnacji i kontynuacji wojny polsko-polskiej. A gdy się ma tyle lat co ja, trochę trudno czekać. ©℗

eprasa.pl de79146524

TRE MONTI
SKI & BIKE RESORT

NAJLEPSZA INWESTYCJA W CENTRUM KARPACZA!

Stały dochód wypłacany **co miesiąc**
i brak kosztów eksploatacyjnych!

130 przestronnych apartamentów

30 dni pobytu właścicielskiego

Bogata infrastruktura i atrakcje regionu

Lokalizacja w centrum Karpacza – idealna do inwestowania

wprost NIERUCHOMOŚCI

numer telefonu
22 299 00 22

sprzedaz@tremonti.pl

www.tremonti.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Prawnego.

ks. Andrzej Kobyliński

Kościół kontra pedofilia

Do wykorzystywania dzieci doszła sprawa wykorzystywania dorosłych – kleryków, nowicjuszy, nowicjuszek. Jak sobie z tym poradzi Kościół?

Ponad 50 agentów wkroczyło w listopadzie ubiegłego roku do siedziby Arcybiskupstwa Galveston-Houston w Teksasie. W specjalnej grupie operacyjnej, działającej na zlecenie prokuratury stanowej, byli policjanci, prokuratorzy i funkcjonariusze jednostki Texas Rangers. Arcybiskupem tej diecezji jest kard. Daniel DiNardo, przewodniczący Konferencji Episkopatu Stanów Zjednoczonych, która jest dzisiaj uznawana za najbardziej wpływową konferencję episkopatu w całym Kościele katolickim. Przedstawiciele organów ścigania dokonali rewizji w siedzibie kard. DiNardo i zabrali dokumenty z tajnego archiwum kurii arcybiskupiej, które dotyczyły różnych przypadków wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych katolickich. Po rewizji archidiecezja Galveston-Houston w oświadczeniu potwierdziła gotowość pełnej współpracy z prokuraturą, gdy chodzi o ściganie nadużyć seksualnych popełnianych przez osoby duchowne.

Wydaje się, że rewizję w kurii archidiecezjalnej Galveston-Houston w Teksasie można uznać za najbardziej spektakularne wydarzenie 2018 r., gdy chodzi o plagę pedofilii klerykalnej na świecie. Ubiegły rok był niewątpliwie trudny nie tylko dla papieża Franciszka, lecz także dla całego Kościoła katolickiego. Piekło rozpoczęło się w styczniu 2018 r. od wybuchu skandalu pedofilskiego w Chile. Największe natężenie dramatu nastąpiło latem, gdy wybuchł skandal kard. Theodore'a McCarricka, który ostatecznie w lutym tego roku został przeniesiony karnie przez papieża Franciszka do stanu świeckiego. W połowie roku oliwy do ognia dolał raport dotyczący pedofilii klerykalnej w stanie Pensylwania.

PRZEŁOM 2018

Rok 2018 można porównać do roku 2010, który był nazywany przez niektórych dziennikarzy „annus horribilis" – strasznym rokiem w historii Kościo-

Kardynał Theodore McCarrick, którego ofiarami były nie tylko dzieci, lecz także klerycy i młodzi księża, został przez Franciszka wydalony do stanu świeckiego FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl de79146524

ła katolickiego, gdy chodzi o dramat pedofilii klerykalnej. Specyfiką 2010 r. był przede wszystkim brutalny atak na papieża Benedykta XVI, którego bezpodstawnie oskarżano o tuszowanie pedofilii w Kościele.

Rok 2018 r. jest inny. Po pierwsze, władze Kościoła katolickiego uznały pedofilię klerykalną za zjawisko ogólnoświatowe. Wcześniej najczęściej twierdzono, że to problem lokalny, występujący zasadniczo w krajach zachodnich. Nagle się okazało, że czynów pedofilskich dopuszczają się niektórzy biskupi, księża i zakonnicy na wszystkich kontynentach. Drugą zmianą jest poszerzenie kategorii ofiar nadużyć seksualnych popełnianych przez duchownych katolickich. Od ubiegłego roku mówi się o ofiarach nieletnich oraz o ofiarach dorosłych, które w języku angielskim są określane jako „vulnerable adults" – dorośli bezbronni, dorośli słabsi, pozostający w zależności służbowej. Chodzi tutaj głównie o kleryków, nowicjuszy, nowicjuszki, siostry zakonne, młodych księży i zakonników, którzy są czasami wykorzystywani seksualnie przez swoich przełożonych.

To nowa puszka Pandory. Kolejny wielki dramat, z którym będzie musiał się zmierzyć Kościół katolicki w najbliższych latach. Skala tych zjawisk może być równie przerażająca jak dramat molestowania seksualnego dzieci. Skandaliczna historia Theodore'a McCarricka pokazała bardzo dobitnie, jak to może wyglądać w praktyce. Jego ofiarami były dzieci oraz osoby dorosłe: klerycy i młodzi księża. Niestety, przez kilkadziesiąt lat pozostawał bezkarny. Jak wytłumaczyć tak długie tuszowanie przestępstw McCarricka?

BELGIA 2010

Rewizja w kurii archidiecezjalnej Galveston-Houston w Teksasie przypomina spektakularne wydarzenie z Belgii z 24 czerwca 2010 r. Wówczas belgijska policja, na zlecenie prokuratury, dokonała bezprecedensowej akcji w niektórych instytucjach kościelnych. W ramach działań specjalnych o kryptonimie Operacja Kościół dokonano rewizji w urzędach archidiecezji mecheleńsko-brukselskiej oraz w domu kard. Godfrieda Danneelsa. Śledczych interesowały dokumenty związane ze skandalem pedofilii. Przez organy ścigania zostały przejęte m.in. tysiące dokumentów będących w posiadaniu komisji kościelnej badającej przypadki wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych katolickich.

Bulwersującym elementem tej rewizji było częściowe rozbicie młotami pneumatycznymi dwóch grobów arcybiskupich w krypcie monumentalnej katedry św. Rumolda w Mechelen, w których rzekomo miały być ukrywane dokumenty związane ze skandalem pedofilskim. Prokuratorzy i policjanci rozpoczęli rewizję siedziby arcybiskupstwa mecheleńsko-brukselskiego w czasie, gdy trwało comiesięczne spotkanie Konferencji Episkopatu Belgii, w którym brał także udział nuncjusz apostolski. Przedstawiciele organów ścigania zabrali wszystkim telefony komórkowe i ogłosili, że nikomu nie wolno opuszczać gmachu. Przez cały dzień wszyscy biskupi belgijscy byli przetrzymywani w swego rodzaju areszcie domowym i zostali przesłuchani.

Działania policji i prokuratury w Belgii oraz w Stanach Zjednoczonych w stosunku do kardynałów, arcybiskupów i biskupów wyraźnie pokazują, jak w niektórych krajach skandal pedofilii może być wykorzystywany do osłabienia i głębokiej marginalizacji społeczności katolickiej. Niestety, w niektórych przypadkach Kościół jest traktowany jako organizacja przestępcza. To mocne określenie pojawia się w niektórych artykułach w mediach. I konia z rzędem temu, kto wskaże jakiekolwiek merytoryczne próby rzeczowej polemiki z tego rodzaju publikacjami.

BENEDYKT XVI I FRANCISZEK

Wojnę pedofilii klerykalnej w Kościele katolickim wypowiedział Benedykt XVI. Wielkie zasługi Ratzingera na tym polu uznają nawet jego najwięksi wrogowie. Jego walkę kontynuuje obecnie papież Franciszek. W 2014 r. powołał Papieską Komisję ds. Ochrony Nieletnich, której głównym celem statutowym jest wykorzenienie pedofilii z Kościoła, rodzin i ze społeczeństw oraz wprowadzenie w życie odpowiednich programów ochrony nieletnich przed różnymi formami molestowania seksualnego. Inną ważną inicjatywą jest zaostrzenie kar w stosunku do biskupów i przełożonych zakonnych, którzy nie reagują odpowiednio na przypadki pedofilii wśród swoich podwładnych.

4 czerwca 2016 r. został opublikowany list apostolski papieża Franciszka pt. „Jak kochająca matka". Dokument wprowadził rewolucyjną zmianę, jeśli chodzi o odpowiedzialność służbową biskupów, eparchów katolickich Kościołów wschodnich i innych duchownych sprawujących władzę w Kościele lokalnym za niepodejmowanie działań w razie stwierdzenia jakichkolwiek nadużyć wobec nieletnich. Nowe przepisy weszły w życie 5 września 2016 r. Kluczowy fragment tego dokumentu brzmi następująco: „Biskup diecezjalny lub eparcha może zostać usunięty tylko wtedy, gdy obiektywnie okaże się, że w bardzo poważnym stopniu nie wykazał się sumiennością, wymaganą od jego urzędu duszpasterskiego, nawet jeśli nie było w tym jego poważnej winy moralnej. W przypadku nadużyć wobec nieletnich lub dorastających wystarczy, jeśli był to poważny brak sumienności".

JAKA PRZYSZŁOŚĆ?

W Watykanie zaplanowano specjalny szczyt poświęcony ochronie nieletnich w Kościele [zakończyć się miał już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy" – przyp. red.]. Wziąć w nim udział miało prawie 200 osób zaproszonych przez papieża Franciszka: przewodniczących episkopatów, przełożonych zakonnych, urzędników Kurii Rzymskiej. Ważnym tematem obrad miała być m.in. kwestia odpowiedzialności biskupów za tuszowanie przypadków molestowania seksualnego dzieci przez niektórych duchownych. Jednym z organizatorów tego szczytu był znany niemiecki jezuita Hans Zollner – psycholog, psychoterapeuta, prezes Centrum Ochrony Dziecka na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. W ostatnich miesiącach mówił on wielokrotnie, że oczekiwania wielu środowisk związane ze szczytem w sprawie nadużyć są przesadzone. Jego zdaniem nie można mieć złudzeń, że nagle w magiczny sposób zniknie plaga nadużyć seksualnych w Kościele, która zakorzeniła się bardzo głęboko przez długie dziesięciolecia.

Warto podkreślić, że jedną z przyczyn pedofilii klerykalnej jest słaba formacja w seminariach diecezjalnych i zakonnych oraz dopuszczanie do święceń kapłańskich i życia zakonnego nieodpowiednich kandydatów.

Ma rację Hans Zollner, gdy mówi, że wytyczne i normy prawne to za mało. Zmiana mentalności jest o wiele trudniejsza niż zmiana prawa. Wymaga wielu lat, a nawet dziesięcioleci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

Piotr Zychowicz

Teczka Blajchmana

Według amerykańskiego sekretarza stanu Frank Blajchman był wielkim bohaterem. Według akt IPN – funkcjonariuszem UB

FOT. IPN

Warszawskie wystąpienie sekretarza stanu USA Mike'a Pompeo jeszcze długo będzie przytaczane jako kolejny dowód na legendarną już ignorancję Amerykanów.

Pompeo wie, że Polaków najłatwiej jest kupić tanimi pochlebstwami i pustymi patriotycznymi frazesami. A najlepiej, gdy te frazesy odwołują się do heroicznej polskiej historii. Pomysł ten znakomicie sprawdził się w 2017 r. podczas wizyty Donalda Trumpa. Wystarczyło, że prezydent USA wygłosił kilka komunałów o powstaniu warszawskim, żeby Polacy wpadli w zachwyt i uwierzyli, że z dnia na dzień stali się najważniejszym sojusznikiem Ameryki na świecie.

Mike Pompeo najwyraźniej postanowił powtórzyć wyczyn swojego szefa i opowiedzieć Polakom o jednym z ich bohaterów. A ściślej o wspólnym „bohaterze" Polski i Ameryki. Nie byli to jednak Tadeusz Kościuszko ani Kazimierz Pułaski. Wybór padł na Franciszka Blajchmana.

– Jego życie było świadectwem odporności polskiego narodu i amerykańskiego ideału, że każdy, kto ma duże marzenia, może wznieść się na wyżyny – przemawiał Pompeo. – Jeden z dzielnych żydowskich partyzantów, którzy ryzykowali życie, przeciwstawiając się nazistowskiej machinie wojennej. Po wojnie został obywatelem USA. Bardzo dobrze funkcjonował jako deweloper w Nowym Jorku. Był ucieleśnieniem tego, o czym mówił prezydent Trump podczas swojej wizyty w Polsce. Polska żyje, Polska się rozwija, Polska zwycięża.

Mike Pompeo musiał być szczerze zdumiony, gdy jego wystąpienie zamiast wybuchu entuzjazmu wywołało w Polsce konsternację. Polakom trudno bowiem uznać Franciszka Blajchmana za bohatera. W trakcie wojny był bowiem komunistycznym partyzantem, który walczył z AK. A po wojnie został funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa.

eprasa.pl de79146524

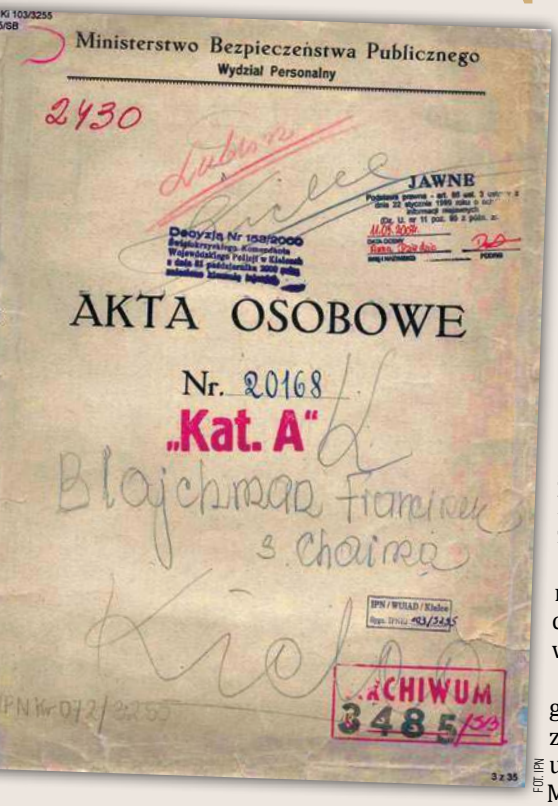
Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego
Wydział Personalny
2430
JAWNE
AKTA OSOBOWE
Nr. 20168
„Kat. A"
Blajchman Franciszek
s. Chaima
ARCHIWUM
3485

FOT. IPN

CHŁOPAK Z KAMIONKI

Zawód: Malarski.
Narodowość: Żydowska.
Wyznanie: Mojżeszowe.
Znajomość języków obcych: polski.
Pseudonim: „Franek".
Twarz: pociągła.
Oczy: piwne.
Włosy: czarne.
Wzrost: wyżej średni.

Obok zdjęcie młodego człowieka z wąsikiem ubranego w mundur z koalicyjką. To fragment kwestionariusza pracownika Urzędu Bezpieczeństwa wypełnionego w 1944 r. przez Franciszka Blajchmana. Dokument ten zachował się w archiwum kieleckiego oddziału IPN (sygnatura 103/3255).

Z akt personalnych Blajchmana wynika, że do pracy w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa w Lubartowie zgłosił się 25 listopada 1944 r. Zgodnie z obowiązującą procedurą musiał przedstawić cały życiorys. W napisanym kiepską polszczyzną dokumencie informował bezpiekę, że urodził się 11 grudnia 1922 r. w Kamionce w powiecie Lubartów.

Najpierw terminował u ojca Chaima, który wykonywał prace malarskie. A po wybuchu wojny został zmuszony do pracy niewolniczej na rzecz Niemców. Gdy na początku 1942 r. okupanci przystąpili do masowej eksterminacji Żydów mieszkających w Generalnym Gubernatorstwie, postanowił działać. Na krótko przed likwidacją getta w Lubartowie zdecydował się na ucieczkę.

„W r. 1942 zostałem wypędzony przez Niemców – pisał w życiorysie – i wożąc nas na wytępienie, to ja zbiegłem do lasu. W lesie spodkając wielu innych chłopaków i wszyscy byli tego samego zdania, aby rozpocząć walkę z Okopantem. 1) Zorganizowaliśmy sobie grupę bojową. 2) I nawiązaliśmy kontakt z PPR chcąc prowadzić walkę z Okopantem, ale nie ma czem.

Wkrótce zdobyliśmy kilka karabinów ręcznych i po 12 sztuk amunicji i z rozkazu PPR rozpoczęliśmy walkę z Okopantem".

Na czym ta „walka" miała polegać? Blajchman twierdził, że wraz ze swoim oddziałem „zniszczył" 15 urzędów gminnych i 24 mleczarnie. Miał również zabić 30 szpiclów niemieckich, wykoleić osiem pociągów. Przygotować miał dużą liczbę zasadzek na szosach. Miał też prowadzić rozmaite roboty dywersyjne, a nawet stoczyć kilkadziesiąt heroicznych leśnych bojów z Niemcami. W uznaniu zasług Blajchman miał 15 kwietnia 1943 r. zostać dowódcą swojej grupy.

Według wewnętrznych dokumentów IPN, do których dotarł tygodnik „Do Rzeczy", rewelacje Blajchmana były konfabulacją. W rzeczywistości żadnych wielkich „bojów" z Niemcami nie prowadził. Oddział żydowskich uciekinierów, w którym się znalazł, był typową grupą przetrwaniową. Ich członkowie byli zbyt słabo uzbrojeni, by móc stawić czoło Niemcom. Cała ich działalność skupiała się na przeżyciu – unikaniu obław i zdobywaniu żywności.

Jedynym źródłem żywności były zaś polskie wsie. Gdy żydowskim uciekinierom kończyły się pieniądze – o ile w ogóle je mieli – posuwali się do brania żywności przemocą. Chłopi nie mieli bowiem najmniejszej ochoty, aby dobrowolnie oddawać swoją własność. To zaś prowadziło do sytuacji tragicznych i generowało poważne konflikty, w które angażowała się polska partyzantka. Niektóre żydowskie grupy uznawano za „bandy rabunkowe" i zwalczano.

Jak wynika z relacji Ludwika Adamczyka, który w trakcie okupacji mieszkał w Kamionce, w marcu 1944 r. oddział Blajchmana napadł na wieś. Partyzanci doszczętnie obrabowali wiele gospodarstw, porwali i zamordowali dwóch członków miejscowej siatki AK. Jeden został zakatowany, drugi rozstrzelany.

Blajchman i jego ludzie – co akurat należy im zapisać na plus – dokonywali także akcji odwetowych na Polakach prześladujących Żydów. Donosicielach i szmalcownikach. Niestety. zemsta bywała ślepa. Jak wynika z ustaleń IPN, grupa zaatakowała rodzinę Jana Mierzwińskiego, który brał udział w obławach na Żydów. Ojciec kolaboranta Szczepan Mierzwiński został zamordowany ciosem młotka w głowę. Ranna został również jego siostra.

Według IPN grupa Blajchmana podporządkowała się partyzantce komunistycznej. A konkretnie zgrupowaniu Armii Ludowej pod dowództwem Chila Grynszpana. Dopiero po znalezieniu się w jej szeregach żydowscy partyzanci wzięli udział w poważniejszych starciach z Niemcami w Lasach Parczewskich. Było to już jednak pod koniec wojny.

„ANTYSEMICKA AK"

O swojej działalności partyzanckiej Franciszek Blajchman napisał we wspomnieniach „Wolę zginąć, walcząc". W Polsce książka ukazała się w 2010 r. i wywołała skandal. Znalazło się w niej bowiem wiele niezwykle krytycznych, uogólniających opinii na temat polskiego podziemia. Oto kilka fragmentów:

„Drapieżczo antysemicka Armia Krajowa i wykonujące rozkazy nazistów Narodowe Siły Zbrojne o charakterze ultra-nacjonalistycznym, a zarazem skrajnie antysemickim i antykomunistycznym" (s. 72).

„Wymiana ognia trwała jakiś kwadrans. Wtedy usłyszeliśmy, że wrogowie rzucili się do ucieczki. Pobiegliśmy za nimi, wciąż strzelając. Zabiliśmy dwóch – ich ciała padły na ziemię – i otoczyliśmy resztę. […] Rzucili broń. Spodziewaliśmy się, że będą to mężczyźni. Tymczasem w nasze ręce padła banda podrostków. Kiedy zaczęliśmy ich przesłuchiwać, okazało się, że są członkami AK – antysemickiej Armii Krajowej. Dostali rozkaz zabicia nas, ponieważ byliśmy Żydami i okradaliśmy chłopów. Powiedzieli, że ich miejscowi zwierzchnicy dostali rozkazy z Londynu mówiące, iż żadnemu Żydowi nie powinno być dane dożycie do końca wojny i świadczenie o jej przebiegu. […] Po przesłuchaniu zdecydowaliśmy się ich nie zabijać, ponieważ byli jeszcze młodzi" (s. 73–74).

eprasa.pl de79146524

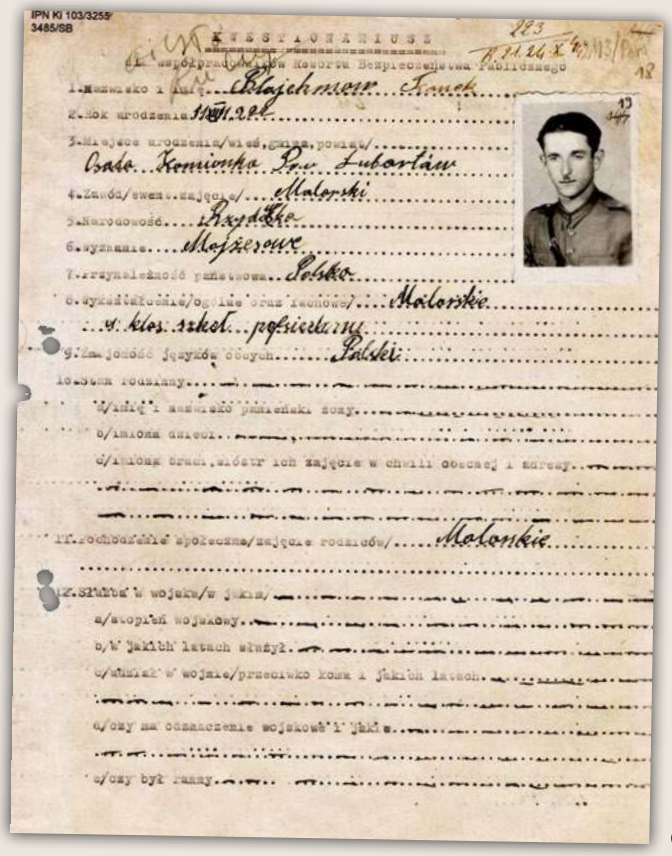
IPN Ki 103/3259
3485/SB

KWESTIONARIUSZ

1. Nazwisko i imię: Blajchman Franek
2. Rok urodzenia: 1921
3. Miejsce urodzenia/wieś, gmina, powiat/: Osada Kominka Pow. Lubartów
4. Zawód/ewent. zajęcie/: Malarski
5. Narodowość: Żydzka
6. Wyznanie: Mojżeszowe
7. Przynależność państwowa: Polska
8. Wykształcenie/ogólne oraz techniczne/: Malarskie
4 klas szkół powszechnych
9. Znajomość języków obcych: Polski
10. Stan rodzinny:
a/imię i nazwisko panieńskie żony
b/imiona dzieci
c/miejsce urodzenia, adres ich zajęcia w chwili obecnej i adresy
11. Pochodzenie społeczne/zajęcie rodziców/: Malarskie
12. Służba w wojsku/w jakim/
a/stopień wojskowy
b/w jakich latach służył
c/służba w wojsku/przeszło kolei i jakich latach
d/czy ma odznaczenie wojskowe i jakie
e/czy był ranny

„Nigdy nie ufaliśmy żołnierzom Armii Krajowej. Wiedzieliśmy, że są zatwardziałymi antysemitami i że gdyby tylko byli w stanie, wybiliby nas wszystkich do ostatniego Żyda" (s. 92).

„Normalnie baliśmy się przebywać w tak małej grupie w towarzystwie tak wielu AK-owców, ale tym razem nasza szóstka czuła się bezpiecznie. Przez miasteczko posuwał się nieskończony strumień rosyjskich wojsk – pieszo, ciężarówkami i czołgami. Mieliśmy pewność, że w razie czego nas obronią" (s. 156).

„W tak małej grupie mogliśmy łatwo wpaść w zasadzkę zorganizowaną przez AK lub dowolnych innych bandytów" (s. 156).

W swoich wspomnieniach Franciszek Blajchman opisywał również swoją powojenną służbę w UB. Miał pracować w komórce w Lubartowie zajmującej się wyłapywaniem i przesłuchiwaniem „kolaborantów". W zidentyfikowaniu podejrzanych miały mu pomagać zdobyte podczas wojny „niemieckie listy płac". Porucznik Blajchman został wkrótce przeniesiony do Kielc. Tam – jak pisze – jego zadania polegały na „odnajdowaniu kolaborantów i donoszeniu na nich przełożonym".

Podczas jednej z akcji – doszło do niej w Skarżysku – Blajchman dowodził mieszaną grupą operacyjną złożoną z ubeków i milicjantów. Otoczyli wagon kolejowy, którym podróżowała grupa polskich oficerów i podoficerów. W tym dwie lub trzy umundurowane kobiety. Ludzie Blajchmana aresztowali pasażerów, wpakowali ich na sowiecką ciężarówkę i wywieźli do Kielc. Zatrzymani żołnierze mieli należeć do „faszystowskiej opozycji" i „spiskować przeciwko rządowi". Czyli reżimowi Bieruta.

„Moim zadaniem – pisał Blajchman we wspomnieniach – było wyłapywanie nazistowskich kolaborantów, Polaków, Ukraińców i volksdeutschów, znanych jako prześladowcy i mordercy Żydów oraz szpicle donoszący na Żydów i całe wsie. Przydział ten z chęcią przyjąłem. Niemniej jednak sam podjąłem decyzję o odejściu z bezpieki".

To ostatnie jest prawdą. Spora część akt osobowych Franciszka Blajchmana zachowanych w archiwum IPN to rozmaite zaświadczenia lekarskie, informacje o kuracjach i wyniki badań. Raz porucznik był ciężko chory na płuca, innym razem miał „nieżyt podkwaśny". Blajchman potrafił nawet przedstawić swoim przełożonym badanie treści żołądka! „Treść mętna – czytamy w dokumencie – barwy lekko słomkowej, zawiera ponad trzy czwarte objętości na ogół miernie strawionej bułki i nieco śluzu na powierzchni".

Widać, że Blajchman symulował choroby, aby wykręcić się z pracy w bezpiece. Jego szefowie oceniali jego postawę bardzo źle. W 1945 r. został zdegradowany. Ze stanowiska kierownika Wydziału Więziennictwa i Obozów w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa w Kielcach odkomenderowano go na stanowisko wywiadowcy w prowincjonalnym Pińczowie.

W jednym z dokumentów UB wystawił mu zaś następującą opinię: „Wykazuje niechęć do pracy i domaga się zwolnienia ze Służby Bezpieczeństwa".

Cel swój Blajchman osiągnął 18 lipca 1945 r. Tego dnia kierownictwo bezpieki przychyliło się do jego wniosku i zwolniło go z pracy. Funkcjonariusz przed odejściem ze służby podpisał jeszcze zobowiązanie, że zachowa w tajemnicy wszystko, co widział i słyszał podczas pracy w UB.

Blajchman wkrótce wyjechał z komunistycznej Polski. Przez Szczecin przedostał się do Niemiec, a potem dalej – do Stanów Zjednoczonych. Zmarł w grudniu 2018 r. w wieku 96 lat. W Ameryce miał status bohatera. A w Polsce jego twarz znalazła się na wystawie IPN „Twarze kieleckiej bezpieki".

SPRAWIEDLIWI

W całej historii Franka Blajchmana jest pozytywny wątek. Otóż pierwszy okres po swojej ucieczce do lasu w 1942 r. – zdołał on przetrwać dzięki pomocy dwóch polskich rodzin. Dąbrowskich i Kłosów. Obie rodziny zostały po latach uhonorowane medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. W przypadku Kłosów stało się to na wniosek Blajchmana.

W swoich wspomnieniach dotyczących tych spraw były partyzant zachowuje się bardzo przyzwoicie i kilkakrotnie okazuje swoim polskim wybawicielom wielką wdzięczność.

„Zaczynało padać, a ja wybuchłem płaczem, nie mogąc powstrzymać łez – wspominał. – Gdy dotarłem do gospodarstwa Kłosów, powitali mnie tak serdecznie, jakbym był ich od dawna zaginionym synem. Widząc, w jak złym byłem stanie psychicznym, zrobili wszystko, by mnie pocieszyć. Jedząc, myślałem tylko o jednym – wielkim ryzyku, jakie brali na siebie Kłosowie, oferując mi schronienie. Gdyby znaleźli mnie Niemcy, spaliliby gospodarstwo i wymordowali całą rodzinę. [...] Co do Polaków, którzy pomagali mi podczas wojny – a mówię m.in. o Kłosach i Dąbrowskich – nigdy nie zapomnę dobroci, którą mi okazali, i tego, jak wiele ryzykowali, by pomagać Żydom".

Te miłe słowa nie zmienią faktu, że Mike Pompeo nie najlepiej wybrał sobie bohatera swojego warszawskiego przemówienia.

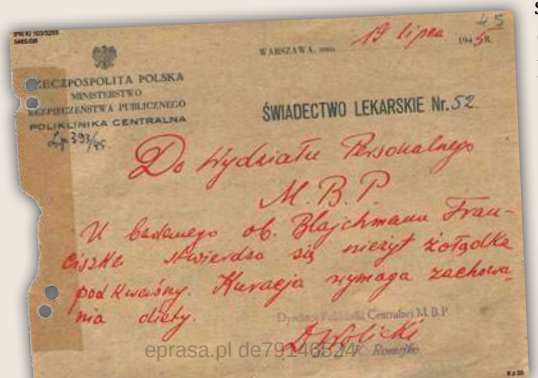
IPN Ki 103/3259
3485/SB

WARSZAWA, dnia 18 lipca 1945 R.

RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTERSTWO BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO
POLIKLINIKA CENTRALNA
331/45

ŚWIADECTWO LEKARSKIE Nr. 52

Do Wydziału Personalnego M.B.P.

U badanego ob. Blajchmana Franciszka stwierdzono nieżyt żołądka pod kwaśny. Kuracja wymaga zachowania diety.

Dyrektor Poliklinik Centralnej M.B.P.
Rowicki

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146324

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zapomniana zbrodnia

Czaszka nr 1. Strzał po prawej stronie kości nosowej, wylot u podstawy czaszki. W szczęce górnej mostek o ośmiu złotych koronach. Mostek włączono do dowodów rozpoznawczych.

Czaszka nr 2. Rozbicie w okolicy kości nosowej, ciemieniowej i potylicy.

Czaszka nr 3. Widoczny szeroki wylot kuli w okolicy dolnej potylicy. Szczęka górna o trzech złotych plombach i dwóch koronkach. Charakterystyczna odpadła szczęka dolna została włączona do dowodów rozpoznawczych".

To nie jest fragment oględzin zwłok polskich oficerów zgładzonych przez bolszewików w Katyniu. To fragment oględzin zwłok Polaków zgładzonych w 1939 r. w miejscowości Paterek w pobliżu Nakła na Pomorzu. W pierwszych miesiącach okupacji w miejscowej piaskowni Niemcy urządzili miejsce straceń, w którym zamordowali ponad 200 ludzi.

Sprawcami byli członkowie Selbstschutzu, czyli organizacji paramilitarnej stworzonej z Niemców – obywateli II RP. Sąsiedzi mordowali swoich sąsiadów. Niemieccy oprawcy mścili się za swoje prawdziwe oraz urojone krzywdy i jednocześnie realizowali politykę Berlina polegającą na eksterminacji polskich elit.

Książka Tomasza Sylwiusza Cerana „Paterek 1939" zawiera wstrząsający opis tej potwornej zbrodni, imienną listę ofiar oraz zdjęcia zrobione podczas powojennych ekshumacji. Te ostatnie mrożą krew w żyłach. Przestrzelone czaszki, fragmenty kręgosłupa, kości. Zbutwiałe ubrania, zardzewiałe zapalniczki i inne przedmioty osobiste. Na jednym ze zdjęć człowiek stoi nad szczątkami swojego brata, które rozpoznał po charakterystycznej kurtce…

To już kolejna publikacja Tomasza Sylwiusza Cerana na temat zbrodni popełnionych przez Niemców na Polakach w pierwszym okresie okupacji. Wcześniej autor opublikował m.in. monografie zbrodni w Łopatkach i niemieckiego obozu Szmalcówka w Toruniu. Był również redaktorem zbioru tekstów o Selbstschutzu – „Zapomniani kaci Hitlera".

Nigdy nie poznałem osobiście Tomasza Sylwiusza Cerana. Dlatego chciałbym mu wyrazić wdzięczność i podziw za pośrednictwem tych łamów. Wykonuje pan naprawdę wspaniałą pracę! Marzy mi się, żeby kiedyś każda zbrodnia popełniona na Polakach doczekała się tak fachowych i wyczerpujących opracowań jak pańskie książki.

Tutaj przecież chodzi nie tylko o ustalenie faktów, lecz także o upamiętnienie ofiar. ©℗

★★★★★★

TOMASZ SYLWIUSZ CERAN „PATEREK 1939" IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Redaktor Maj w akcji

W połowie lat 70. jednym z najpopularniejszych polskich aktorów był Leszek Teleszyński. Uznanie przyniosła mu brawurowa rola księcia Bogusława Radziwiłła w „Potopie", gdzie stworzył jedną z najciekawszych postaci tej superprodukcji. Już wówczas mówiono, że zabójczo przystojny aktor znakomicie sprawdza się w rolach kostiumowych, co potwierdził, wcielając się w postać ordynata Michorowskiego w „Trędowatej". Wzdychały do niego miliony Polek i wydawało się, że stoi na progu wielkiej kariery. Stało się jednak inaczej, a zadecydowała o tym główna rola w niezbyt mądrym serialu „Życie na gorąco", którą przyjął niebawem po filmie Hoffmana. W założeniach twórców produkcja miała być polskim odpowiednikiem przygód Jamesa Bonda, skrzyżowanego z kapitanem Klossem.

James Bond czy Simon Templar nie dorastali do pięt redaktorowi Majowi

Były to czasy prezesa Macieja Szczepańskiego na Woronicza, zatem nie żałowano pieniędzy na produkcję. Założenia były ambitne, redaktor Maj (Teleszyński), współpracujący z agendami ONZ, trafił na ślad organizacji zawiązanej przez zbrodniarzy hitlerowskich. Planowali oni zdobycie broni masowego rażenia, a przy okazji nie gardzili handlem narkotykami, szantażem czy morderstwami. Na ich czele stał tajemniczy dr Gebhard, akcja serialu toczyła się na kilku kontynentach. Dzielny redaktor Maj odnosił kolejne sukcesy, obserwowane z coraz większym rozbawieniem przez widzów. Twórcy filmu zdecydowanie przesadzili, James Bond czy Simon Templar nie dorastali do pięt polskiemu dziennikarzowi. Premiera pierwszego odcinka (3 marca 1979 r.) wzbudziła jeszcze pozytywne reakcje, potem było już tylko gorzej, a właściwie śmieszniej. Nie pomogły piękne kobiety na ekranie, świetne zdjęcia czy to, że Teleszyński przedstawiał się jako: Maj, redaktor Maj (imię pozostało nieznane).

Uczciwie trzeba przyznać, że twórcy scenariusza (autorzy „Stawki większej niż życie") i tak zachowali pewien umiar, gdyż nie skorzystali w pełni z możliwości literackiego pierwowzoru (własnego zresztą autorstwa). Wydane dwa lata wcześniej zeszyty o przygodach redaktora Maja przynosiły bowiem jeszcze bardziej abstrakcyjne pomysły. Dzielny dziennikarz spotkał się z pewnym emerytem, Stanisławem Kolickim, który podczas wojny używał nazwiska Hans Kloss i paradował w mundurze Abwehry. Pokazał mu zdjęcie dr. Gebharda, a ten rozpoznał w nim niejakiego Hermana Brunera… Po czymś takim brakowało tylko, by bohater serii miał jeszcze ulubionego pomocnika, którym okazałby się potomek słynnego Szarika. Albo przynajmniej kuzyn dzielnego psa Cywila. ©℗

eprasa.pl de79146524

Biec Tropem Wilczym, czyli iść śladem Niezłomnych

JAK WYCHOWAĆ BOHATERA?

Historia tego pokolenia w pigułce wygląda tak: wyrośli na 123-letnim wyczekiwaniu wolnej Polski, w rodzinach, z których każda przechowywała polskość w tradycjach i szacunku do tych, którzy brali udział w porywach powstańczych. I wreszcie Polska połączona z porozbiorowych kawałków stała się ich ojczyzną. I zaczęli ją budować, odtwarzać z przekonaniem, że już jej sobie nie dadzą wyrwać. Chcieli w niej realizować swoje pasje, marzenia, chcieli być potrzebni, chcieli jej służyć, chcieli, żeby była mocna. Byli sportowcami, artystami, architektami, rolnikami, żołnierzami, uczniami, skautami. Byli wreszcie u siebie. Czuli się za Polskę odpowiedzialni. A potem przyszły kolejne okupacje – niemiecka i sowiecka. Żołnierze wyklęci to armia tych Polaków, którzy chcieli, aby dla nich i dla kolejnych pokoleń Polska była ojczyzną wolności, możliwości i dobrobytu. O to walczyli. Żeby móc dokończyć to, co zaczęli przez wojną: budowanie mocnej, niezależnej Polski. Dla siebie i dla nas.

JEDNYM SŁOWEM

To nieprawda, że patriotyzm jest aktywny tylko w ekstremalnych sytuacjach wojny, walki, konspiracji. Odpowiedź na pytanie, co zrobiliby w sytuacjach współczesnych wyzwań, nie jest kwestią dowolnej interpretacji. Wielu z nich przeżyło komunistyczne represje. Oni żyli w naszych czasach, borykali się dokładnie z tymi samymi problemami, wśród których dorastały nasze pokolenia. Żołnierze wyklęci to byli nasi dziadkowie, rodzice, znajomi, sąsiedzi.

eprasa.pl de79146524

Wiemy, jak oni żyli w czasach współczesnych. Gdyby nazwać ich najprościej, jak można, to trzeba by użyć określenia: porządni ludzie.

LEGENDA WYKLĘTYCH

Komuniści robili wszystko, żeby pamięć o wyklętych została zatarta. Próbowali ich łamać i zatykać im usta, służyły do tego tortury i wieloletnie wyroki, a także wzbudzanie strachu o najbliższych. Pomordowanych chowano w zbiorowych, nieoznaczonych grobach, dla utrudnienia ewentualnej identyfikacji często przebranych w niemieckie mundury. O wyklętych milczały szkolne podręczniki. Jednak oni żyli, pamiętali i opowiadali swoim. Legenda o niezłomnych Patriotach czekała w podziemiu i kiedy historia mogła już uzupełnić kroniki podziemia zbrojnego, wśród tych, którzy zetknęli się z nią, wyrosła potrzeba nadrobienia czasów milczenia. W ciągu kilku lat ludzie poznali historię rtm. Pileckiego, Inki, Lalusia, Nila i tysiąca innych. Z ogromną determinacją, dumą i zaangażowaniem ruszył wielki ruch edukacji, do którego dołączyli niemal wszyscy. Filmowcy zaczęli pisać scenariusze i realizować filmy fabularne oraz dokumenty, artyści skomponowali setki utworów muzycznych, które stawały się potem przebojami, wystawy zdjęć, biogramów, pamiątek, wspomnienia zapisane w książkach, reportażach i opowiadane na antenach radia. W 2013 r. kilkunastoosobowa grupa znajomych postanowiła zorganizować bieg, który uhonoruje pamięć polskich bohaterów. Postanowiła pobiec Tropem Wilczym.

TROPEM WILCZYM. NAJWIĘKSZY BIEG PAMIĘCI NA ŚWIECIE

Tak narodził się projekt, który dzisiaj jest wielkim eventem historycznej edukacji, miejscem spotkań ze świadkami historii i lokalnej integracji. Fundacja Wolność i Demokracja od 2013 r. organizuje wielkie wspólnotowe świętowanie, do którego zaangażowało się kilka tysięcy lokalnych organizatorów i wolontariuszy. Tropem Wilczym w 2019 r. pobiegnie po raz siódmy. Biegi wystartują w 365 miejscach na świecie. Pobiegnie 350 miast w Polsce i kilkanaście na różnych kontynentach. Pobiegną misje wojsk sojuszniczych tam, gdzie stacjonuje Wojsko Polskie. O tych, których chciano wymazać z naszej historii, 3 marca 2019 r. będzie pamiętała cała Polska, pobiegną dzieci i dorośli, wysportowani i mniej sprawni, potoczą się wózki, ludzie w sportowych i zwykłych, zimowych butach, w mundurach polskich, amerykańskich, włoskich, rumuńskich i innych, i w cywilnych kurtkach. Pobiegną Afryka, USA, Australia, stolice Europy i kresy, misje w Afganistanie, Iraku, Kuwejcie, Bośni i Hercegowinie, Kosowie, Łotwie, Rumunii.

Zorganizowanie i aktywowanie tylu środowisk lokalnych stało się możliwe dzięki zaangażowanym od lat w projekt osobom, które Fundacja Wolność i Demokracja zaprosiła do działania, dzięki partnerom i mecenasom, dzięki wsparciu merytorycznemu Instytutu Pamięci

eprasa.pl de79146524

Narodowej, ale przede wszystkim dzięki mocy samych wyklętych, którą doceniają wspaniali ambasadorzy biegu, którymi są przedstawiciele świata kultury, sportu, dziennikarstwa, nauki.

WSPÓLNA PAMIĘĆ, RADOŚĆ, EDUKACJA

75 tys. biegaczy plus żołnierze różnych narodowości w Polsce i poza Polską pomnożona kilkakroć przez osoby towarzyszące biegaczom. Jeśli ktoś był raz na biegu Tropem Wilczym – przyjdzie w kolejnym roku i przyprowadzi znajomych, rodzinę. Każde z 365 miejsc pobiegnie dystansem na 1963 metry (upamiętnienie roku, w którym zginął ostatni walczący wyklęty – Józef Franczak ps. Laluś). Dodatkowo organizatorzy proponują dystanse dłuższe – na 4, 5, 8, 10 km. Biegom towarzyszą koncerty, pokazy grup rekonstrukcyjnych, wystawy, projekcje filmów, rodzinne gry terenowe, wojskowa grochówka i inne atrakcje, w których odnajdzie się każdy. Jednak to, co jest niepowtarzalne, najbardziej zapamiętywalne, to, co sprawia, że uczestnicy czekają na kolejne edycje – to atmosfera wielkiej wspólnoty, tego, że w takim gronie, tłumie robimy coś w ważnej i wspólnej intencji, radośnie, z szacunkiem.

Każda edycja ma swoich patronów, których wizerunki zamieszczane są na koszulkach biegaczy. VII edycja to właśnie czas tych, którzy żyją i żyli wśród nas. Ci, których znaliśmy. 3 marca po całym świecie rozbiegną się ludzie z wizerunkami Barbary Otwinowskiej (łączniczka AK, wieziona przez komunistów, my znamy ją jako wspaniałego profesora nauk humanistycznych), Stanisławy Rachwał (zwiadowczyni, więźniarka obozu koncentracyjnego, internowana i skazana na karę śmierci przez komunistów, wyszła na wolność w wyniku amnestii, była wspaniałą matką i do końca bardzo ciepłą osobą), Antoniego Hedy (żołnierz wyjątkowej brawury, mogącej być kanwą do pasjonujących scenariuszy filmowych, do końca żołnierz działający w szeregach Solidarności, najstarszy internowany jej działacz), Jerzego Stawskiego (chłopak dorastający w bezlitosnej zbrojnej żołnierce, po wojnie ukończył szkołę handlową i oddał się pasji malarstwa), Leona Beynara ps. Paweł Jasienica (żołnierz V Brygady Wileńskiej, podwładny Łupaszki, nam znany jako eseista – historyk autor opisujący historię Polski), Władysława Siły-Nowickiego (żołnierz, więziony przez komunistów, po odzyskaniu wolności wrócił do zawodu prawnika i brał udział jako obrońca w procesach politycznych polskich patriotów).

Wyklęci są wzorem dla wszystkich tych narodów, gdzie historia zapisała się walkami o wolność. W biegu, który odbędzie się w RPA, pobiegną młodzi ludzie, którzy walczą ze współczesnym niewolnictwem w Afryce, w koszulce z wizerunkiem Barbary Otwinowskiej pobiegnie młody Tobiasz, który sam był kiedyś niewolnikiem, a dzisiaj studiuje dziennikarstwo, żeby nieść informację, pomoc i wiedzę ludziom zamkniętym w kastach ekonomicznych.

TERAZ MY

Jeśli zakładamy koszulkę z wizerunkiem niezłomnego, to mówimy, że Bóg – Honor – Ojczyzna są wartościami dla nas ważnymi. Jeśli osądzamy obojętnych i szanujemy tych, którzy nie tylko mówią,

eprasa.pl de79146524

lecz także przede wszystkim działają, to Tropem Wilczym jest takim papierkiem lakmusowym tego, kim jesteśmy. Bo to nie tylko bieg, nie tylko słowa, nie tylko atrakcje, lecz także przede wszystkim konkret. Od 25 lutego do 10 marca we wszystkich regionalnych centrach krwiodawstwa i krwiolecznictwa możesz oddać krew. Mobilne stacje poboru krwi pojawią się też w wybranych miasteczkach biegowych Tropem Wilczym. Możemy zatem uratować komuś życie. Po prostu. Możemy też uratować życie konkretnej maleńkiej dziewczynce – Małgosi Późnieckiej, która aby zwalczyć nieuleczalną w Polsce chorobę, musi zebrać 4 mln zł. To znaczy my musimy, jeśli nie chcemy pozwolić, aby Małgosia umarła. Możemy też wesprzeć siedmioletniego Bartka Orzechowskiego w jego potrzebach rehabilitacyjnych (chłopiec urodził się bez lewej stopy). Tropem Wilczym w zetknięciu z porządnym człowiekiem daje możliwość tego, że zrobimy jeszcze więcej. Przekonamy nie tylko siebie, lecz także znajomych i nieznajomych na naszych profilach facebookowych do tego, abyśmy wspólnie uratowali Małgosię, pomogli Bartkowi i czekającym na transfuzję. Bartek jest małym chłopakiem i on pobiegnie w intencji wspierania Małgosi (www.siepomaga.pl/tropemwilczym – ratujemy życie Małgosi; 98 1140 1010 0000 5060 3200 1046 – wspieram Bartka). To jest właśnie moc wspólnoty, te nasze złotówki budujące niebotyczne kwoty.

ZDOBYWAMY FORT BEMA!

3 marca od godz. 9 Warszawa jak zawsze zorganizuje ogromny festyn. Rodziny pobiegną honorowym dystansem, oddadzą się rozplątywaniu zagadek gier terenowych, długodystansowcy sprawdzą wiosenną kondycję w biegu na 10 km, wszyscy będą śpiewać z zespołem Tulia i podziwiać prześliczne wokalistki, pokazy grup rekonstrukcyjnych zrobią jak zawsze ogromne wrażenie i zakończą się robieniem tysięcy selfie z mundurowymi, na pokazach wirtualnej rzeczywistości odbiorcy przeniosą się z bijącym sercem tuż obok rtm. Pileckiego, Inki do więzienia mokotowskiego. Wszystkich pokrzepi wojskowa grochówka, media będą transmitować bieg dla tych, którym nie udało się dotrzeć. Będzie autobus dla tych, którzy zechcą oddać krew, będą puszki, do których będziemy mogli wrzucić, ile możemy, będą wolontariusze ze szkół dla młodzieży, której drobne dysfunkcje nie stanęły na przeszkodzie, żeby pomagać i dzielić się z innymi. Pobiegną ze swoimi grupami ambasadorzy, pobiegną ludzie z kartkami: „Biegnę dla Małgosi". To będzie przepiękne spotkanie dobra, patriotyzmu, pamięci, sportu, radości. Dostępne dla każdego. I każdy poczuje się tam u siebie, bo będzie mógł zrobić coś dla innych, wiedząc, że w tym samym czasie w 365 miejscach na różnych kontynentach setki tysięcy ludzi czują to samo.

WYWIAD Z JACKIEM ROZENKIEM: *Wspieram Bieg Tropem Wilczym od kilku lat. Widzę ogromny progres projektu, to wydarzenie bazujące na najpiękniejszych naszych tradycjach solidarności, pomocy, pamięci. Dla mnie pewne działania są oczywiste: głodnych trzeba nakarmić, zmarzniętych ogrzać, a bohaterom – oddać honor. I wszystko to w tym projekcie jest dla jednych możliwością, a dla innych powinnością.*

eprasa.pl de79146524

Skrajna

Małgorzata Wołczyk

Kilka miesięcy wystarczyło prawicowej partii VOX, by z nieliczącego się ugrupowania stać się znaczącą siłą w hiszpańskiej polityce. Czy PiS zyskuje silnego sojusznika na Zachodzie?

Na odległym półwyspie wyrasta niczym feniks z popiołów hiszpańska prawicowa partia VOX, która wedle wielu prognostyków mogłaby w Parlamencie Europejskim nawiązać bliską współpracę z PiS. Oczywiście, jeśli odnotuje sukces tak spektakularny jak w grudniowych wyborach do Parlamentu Andaluzji, w których zdobyła aż 12 na 109 mandatów, choć wróżono jej ledwie trzy–pięć miejsc w ławach poselskich.

Aby naszkicować portret partii, która wzbudza ogromne i skrajne emocje wśród Hiszpanów, trzeba zacząć od portretu jej charyzmatycznego lidera: Santiago Abascala (ur. w Bilbao, rocznik 1976), a jeszcze lepiej od jego listu otwartego skierowanego do Pabla Iglesiasa – lidera skrajnie lewicowej partii Podemos.

NARASTAJĄCY GNIEW

„Twój raj jest naszym piekłem" – pod takim tytułem znany jest tekst Abascala, w którym rozprawił się ze swoim politycznym wrogiem. Kreśli w nim dwie równoległe biografie: własną, naznaczoną od wczesnych lat młodości walką o przeżycie, kiedy znajdował się na celowniku terrorystycznej organizacji baskijskiej ETA, i wygodne życie Iglesiasa – komunizującego hipisa, który propagował swoje idee, sympatyzując zarówno z terrorystami ETA, jak i reżimami irańskim oraz wenezuelskim (zresztą sponsorami partii Podemos, której był współzałożycielem).

„Twoi przyjaciele są naszymi wrogami, Twoi bohaterzy są dla nas kanaliami. Takich jak ty będziemy zwalczać i na uniwersytetach, i w wolnych wyborach, i w sądzie. A jeśli przyjdzie konieczność, to także w więzieniach sowieckiej Hiszpanii, którą chcesz nam tu stworzyć. Będziemy walczyć z Tobą wszędzie, gdzie toczysz swą perfidną walkę. Ponieważ nam zależy i na ojczyźnie, i na wolności, ale Ty – nie tylko że nie wierzysz w żadną z tych wartości, ale jeszcze obie chcesz nam zniszczyć i odebrać" – kontynuował w liście do Pabla Iglesiasa.

Losy tych dwóch Hiszpanów są też lustrem, w którym przeglądają się ich skłóceni rodacy. Przez 40 lat w nierównej walce zniszczono całe dziedzictwo frankistowskiej Hiszpanii, a hegemonia lewicowej myśli zrujnowała już niemal wszystko w państwie, które za czasów Franco było ósmą potęgą gospodarczą świata, nieznającą bezrobocia, biedy i aberracji wszechobecnej ideologii gender, która eksperymentuje na narodzie w sposób dla nas, Polaków, jeszcze niewyobrażalny. Gniew ludu narastał cicho już od wielu lat i „prawicowe zakompleksienie" – jak sami siebie nazywają – nie pozwalało ujawnić się nastrojom i poglądom bliskim konserwatyzmowi i prawicy, skoro lewica przez 40 lat skutecznie zakłamała nie tylko historię wojny domowej, lecz także pokojowej transformacji, którą zawdzięczają Hiszpanie nikomu innemu jak właśnie generałowi Franco.

CHARYZMATYCZNY LIDER

Santiago Abascal, który w młodości wzorem ojca i dziadka był aktywistą i członkiem Partii Ludowej (PP), ma za sobą naprawdę szlachetną kartę. Jego nieprzejednana „prawicowość" wystawiła go na celownik terrorystów ETA. Pożar rodzinnego sklepu, śmierć przyjaciół,

eprasa.pl de79146524

Jeszcze w 2015 r. VOX ledwie zebrał w wyborach 20 tys. głosów (0,46 proc.). W grudniu 2018 r. w wyborach do parlamentu Andaluzji osiągnął pułap 11 proc. i 400 tys. głosów FOT. STRINGER/REUTERS/FORUM

konieczność

cała młodość i dorosłe życie ze świadomością ciążącego na nim wyroku ETA, każdy dzień w eskorcie ochroniarzy (także ślub i odbieranie pierwszego dziecka ze szpitala) zahartowały go do wyzwań i walki o pryncypia. Wydaje się jak dotąd całkowicie odporny na pokusy i blichtr władzy, wszak już w młodości był wysoko postawionym posłem Parlamentu Baskijskiego w ramach PP, której bezkształt, strukturalna korupcja i uległość wobec lewicy kazały mu porzucić legitymację partyjną i założyć niezwykle prężną Fundację Obrony Narodu Hiszpańskiego (DENAES), a następnie, w 2014 r., współtworzyć partię VOX, której szybko stał się twarzą i charyzmatycznym liderem.

Ma profil opanowanego wodza, jak na filmiku sprzed lat, który krąży w Internecie. 23-letni Abascal – nowy radny z ramienia prawicowej PP – broni wraz z ojcem siedziby rady miasta przed napierającym tłumem zwolenników poprzedniego alkada, skazanego na osiem lat więzienia za współpracę z uzbrojoną bandą ETA. Opanowany i twardy pomimo pogróżek tłumu, wyzwisk i plwocin. Trudno o lepsze świadectwo odwagi i zasad.

Niektórzy słusznie mogą się oburzyć, że Partia Ludowa Mariano Rajoya rządziła przez ostatnich siedem lat i reprezentowała interesy tzw. prawicy, jednakże trzeźwy ogląd sprawy nie pozwala tak określić partii, która nie tylko – pomimo sprawowanej większości – nie cofnęła żadnej zatwierdzonej wcześniej przez Zapatero ustawy, lecz także tchórzliwie i we wszystkim ustępowała pola obowiązującej narracji lewicowej. Gdyby finezyjnie usadowić profil Partii Ludowej Rajoya na polskim podwórku – znalazłaby się jeszcze spory kawałek na lewo od naszej PO, z którą zresztą zdarzyło jej się parę razy współpracować w Parlamencie Europejskim.

Dlatego na uparte pytania dziennikarzy „czy partia VOX jest skrajną prawicą?", prezes ugrupowania Santiago Abascal zwykł odpowiadać, że jest partią „skrajnej konieczności" (w domyśle: aby ratować Hiszpanię), i twardo sprzeciwia się jakiemukolwiek etykietowaniu.

eprasa.pl de79146524

Robią to jednak wszyscy pozostali, którzy poczuli się zagrożeni nagłym wybuchem jego popularności i dlatego z wolna przywiera do VOX metka „skrajnej prawicy", co w tłumaczeniu na język lewicy oznacza oczywiście „faszyści, rasiści i ksenofobi". Prawdziwy festiwal oszczerstw i fake newsów, z którym mierzy się niemal codziennie VOX w tak skrajnie nieprzychylnym środowisku politycznym, przesiąkniętym politpoprawnością, może zadziwić nawet nas, Polaków, przyzwyczajonych przecież do najgorętszej temperatury sporów. Użycie siły fizycznej stanowi tam już stały element życia publicznego.

Szkicując najogólniej założenia ruchu, który Europa już skreśliła jako „populistyczny", można śmiało powiedzieć, że stanowi magnes dla wszystkich patriotów hiszpańskich, zmęczonych rozrywaniem kraju przez separatyzmy (głównie kataloński i baskijski). Poza tym skupia wszystkich, którzy odrzucają „pensamiento progre", czyli politporawną ideologię neomarksizmu kulturalnego i lewicowej „wrażliwości". Triada wartości, o które założyciele ruchu chcą upomnieć się w życiu politycznym i społecznym, jest jasno zdefiniowana od pierwszych zdań programu i pisana dużą literą: Rodzina, Życie ludzkie, Wartości.

Liczne są ślady sympatii Abascala wobec konserwatystów polskich i odwołania do wzoru Polski katolickiej, broniącej wspólnych wartości chrześcijańskich

Na tak „anachroniczne" hasła lewica aż się zatrzęsła z oburzenia. Partnerka wspomnianego Pabla Iglesiasa, rzeczniczka lewackiej partii Podemos, gromadzi feministki na wiecach, aby wspólnie rozpaczać nad powrotem „faszyzmu" i wspierać się w walce z „maczystami", którzy gotowi są odebrać im niezbywalne prawo do aborcji na życzenie. Zarówno centrowa partia Ciudadanos (którą zdaje się na równi zarządzać z Paryża sam Macron przez swojego wysłannika Manuela Vallsa), jak i lewicowa PSOE oraz skrajnie lewicowa Podemos zapowiedziały, że VOX należy otoczyć kordonem sanitarnym. Ostatnio do loży rozgoryczonych elit dołączył reżyser Pedro Almodóvar, który na rozdaniu filmowych nagród Goya nie omieszkał zamanifestować wstrętu wobec masowej popularności VOX.

Sam Abascal jest tak samo nieustępliwy co do pryncypiów programu jak kiedyś wobec sił ETA, choć nie wszyscy popierają jego zdecydowaną linię programową, zarzucając mu nawet konfesyjność. Chce powrotu do „chrześcijańskiego humanizmu", sprzeciwia się eutanazji, aborcji, która de facto stała się praktyką antykoncepcyjną w Hiszpanii. Dla wielu stał się wrogiem numer jeden, krytykując naciski lobby LGBT i ideologię gender, która skolonizowała jego kraj. Nade wszystko jednak chce zatrzymania masowej fali nielegalnych imigrantów i walki z mafią morską, która po zamknięciu szlaków do Włoch przerzuca ogromne masy Afrykańczyków na wody terytorialne Hiszpanii. W samym tylko 2018 r. do Hiszpanii przybyło drogą morską prawie 60 tys. imigrantów, więcej niż łącznie w latach 2015, 2016, 2017. Już wiadomo, że styczeń 2019 r. to rekordowa, potrojona liczba przybyszów wobec stycznia 2018: zatrzymano aż 4031 osób.

Apele VOX o rozsądek w przyjmowaniu „uchodźców", o walkę z handlarzami ludźmi, wzmiankowanie o liczbie popełnionych gwałtów i rozbojów spowodowało prawdziwą furię lewicowych mediów i środowisk. Nawet to, że w szeregach partii mają kolorowych, nic nie znaczy, okrzyknięto ich rasistami i ksenofobami. Trzeba jednak przyznać, że szef partii umie obrócić zalew nienawiści w trafną ripostę. Jak wtedy, gdy 8 października przemawiał na wiecu w Vista Alegre, zwracając się do ludzi lewicy: „Wasze obelgi to medale, które przypinamy sobie do piersi!". Jakakolwiek pochwała ze strony progresistów znaczyłaby dyshonor i ujmę dla wszystkich sympatyków VOX.

WSPÓŁPRACA Z PIS?

W ciągu zaledwie paru miesięcy VOX osiągnął olbrzymie, nienotowane dotąd poparcie, a liczba członków partii dogania wysłużonych już liberałów z Ciudadanos (20 tys. członków VOX wobec 24 tys. z Cs). Jeszcze w 2015 r. VOX ledwie zebrał w wyborach 0,46 proc. (20 tys. głosujących), podczas gdy w grudniowych wyborach do Parlamentu Andaluzji osiągnął pułap 11 proc. i 400 tys. głosów. I co najważniejsze i szeroko podkreślane – tak nieprawdopodobny wynik uzyskał przy absolutnej zmowie milczenia ze strony wszystkich mediów głównego nurtu. Media społecznościowe, niszowe periodyki, dzienniki internetowe i zwyczajna „szeptanka" okazały się prawdziwymi „dywizjami" VOX, dzięki którym podbił scenę polityczną Hiszpanii.

Przewodniczący partii wielokrotnie przypierany do muru przez dziennikarzy, czy sympatyzuje z partią Le Pen, dystansował się dosyć mocno. Ideologiem partii VOX jest Rafael Bardají, ekspert, geostrateg, który ściśle współpracuje z organizacjami konserwatywnymi w USA. Nie jest tajemnicą, że VOX patrzy z największą nadzieją na Orbána, a w przeróżnych prognostykach i porównaniach to właśnie z Fideszem i PiS zgadza się programowo najbardziej, bo z Salvinim różni go znacznie kwestia promocji wartości chrześcijańskich i nacisku na patriotyzm narodowy. Wiele innych punktów programowych rymuje VOX z PiS: począwszy od pewnej zachowawczości i sceptycyzmu wobec dyrektyw płynących z Brukseli, a skończywszy na programach bardziej socjalnych, aby ulżyć rodzinom i obniżyć podatki, poprawić dzietność i zreformować edukację przesiąkniętą ideologią gender.

Polska, która w całej papierowej prasie hiszpańskiej (zdominowanej przez lewicowe ośrodki) zbiera fatalne opinie od wielu zresztą lat, nie pojawia się ostatnio zbyt często na ustach lidera, który zapewne sprytnie omija temat „skrajnej polskiej prawicy", sam będąc pod nieustannym obstrzałem posądzeń o faszyzm. A jednak liczne są ślady sympatii Abascala wobec konserwatystów polskich i odwołania do wzoru Polski katolickiej, broniącej wspólnych przecież wartości chrześcijańskich. Do czasu wyników majowych wyborów liderzy partii ucinają wszelkie spekulacje odnośnie do przyszłej współpracy z kimkolwiek. Tak czy inaczej, na zachodzie Europy krajobraz zdaje się przejaśniać i po zapaterowskim zamgleniu odzyskuje z wolna barwy, które znaczenie lepiej pasują do słonecznej Hiszpanii. Oby tak dalej, samotność jest bolączką nie tylko jednostek, lecz także całych narodów.

W chwili zamykania artykułu oczekiwałam wciąż na odpowiedź ze sztabu partii, która przeprosiła, że w natłoku ostatnich zdarzeń potrzebuje więcej czasu na odpowiedź na zapytanie odnośnie do możliwego sojuszu z PiS.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

FOT. TWITTER

MINISTER SIĘ NADYMAŁA I PRZEPRASZA

Australijska minister sportu zapozowała do fotografii przy bannerze informującym o „Narodowym szczycie otyłości", czyli konferencji poświęconej problemowi nadwagi. Bridget McKenzie wydymała policzki i brzuch, co część osób uznała za kpiny z ludzi otyłych. „Szczerze przepraszam za to nieszczęśliwe zdjęcie, na którym pokazywałam, jak mój żołądek zareagował na jajecznicę z jogurtem, którą właśnie zjadłam" – wyjaśniła minister.

NUMER ZAMIAST TATY I MAMY

We Francji odbyło się pierwsze czytanie projektu, który z form używanych w szkołach wykluczy słowa „mama" i „tata". Zastąpić je mają słowa „rodzic 1" oraz „rodzic 2". Ta propozycja wielu Francuzów oburzyła, ale politycy twierdzą, że to dzięki zmianom nikt nie będzie czuł się wkluczony, mając dwóch rodziców tej samej płci. A tu następna pułapka – bo czy „numer 2" w rodzinie nie będzie czuł, że ktoś tu jednak jest w formularzu pierwszy?

PILOT, KTÓRY NIE LATAŁ

Rosyjski instruktor, który miał szkolić ugandyjskich pilotów, istniał tylko wirtualnie. Przez 11 lat „szkolenia" jego pensję – w sumie ponad 700 tys. dol. – rozdzielali między siebie jeden z oficerów wraz z szefową wojskowych kadr. To ostatnio największy taki przekręt w wojskowości tego kraju. Na mniejszą skalę pieniądze wyprowadzane są na żołd dla nieistniejących żołnierzy – szacuje się, że mogło ich być przez lata nawet kilkanaście tysięcy.

BO SĘDZIA MIAŁA SPODENKI

Irańska telewizja nie pokazała meczu piłkarskiego niemieckiej ligi pomiędzy Augsburgiem a Bayernem Monachium. Bo spotkanie sędziowała kobieta – Bibiana Steinhaus. Islamskie zwyczaje w Iranie zabraniają pokazywania w telewizji skąpo odzianych kobiet, a pani sędzia występowała w koszulce z krótkim rękawkiem i krótkich spodenkach.

„BOHATERKA" UKARANA GRZYWNĄ

Elin Ersson, aktywistka ze Szwecji, stała się sławna, gdy w ubiegłym roku włączyła transmisję w Internecie i pokazała, jak w samolocie protestuje przeciw deportacji obcokrajowca. Pomyliła się jednak i zamiast niewinnego chłopca, zatrzymała wydalenie 50-letniego Afgańczyka odsiadującego w Szwecji wyrok więzienia. Mężczyzna został wydalony miesiąc po incydencie z Ersson. Ona sama została właśnie skazana przez sąd w Göteborgu na karę grzywny. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Niewygodne ustawy

Zdarzają się w polityce momenty tragikomiczne. Coś takiego dzieje się właśnie wokół prezydenckiego projektu ustawy o kredytobiorcach – nie tylko frankowych. Ustawa jest marnym ersatzem tego, co prezydent obiecywał ludziom obciążonym kredytami indeksowanymi w CHF. Nie rozwiązuje ich problemu, bo jest nastawiona jedynie na pomoc tym, którzy nie dają rady spłacać rat, a takich osób jest niewiele. Istotą sprawy jest natomiast przywiązanie do kredytu, który wraz ze spłatami nie maleje. Trudno więc uznać, żeby projekt był spełnieniem zapowiedzi z 2015 r.

Jednak niezadowolone są też banki. W sprawie ustawy mieli podobno interweniować dyplomaci niektórych krajów, których bankowe interesy są w Polsce reprezentowane.

Jeśli zaś prawdą jest, że ceną za uchwalenie tej ustawy, której nie chcą ani banki, ani kredytobiorcy, ma być zgoda prezydenta na podpisanie innej – tej przyznającej ponadmiliardową rekompensatę mediom publicznym, głównie TVP, postrzeganej jako narzędzie propagandy – to byłby to ruch zaiste mistrzowski. Mniej więcej tak, jakby ktoś kopnął nas w tyłek, a my w zamian zgodzilibyśmy się, żeby walnął nas jeszcze w twarz.

Andrzej Duda powinien był pewne rzeczy zrobić na samym początku swojego urzędowania, a innych na samym początku nie robić. Do pierwszej kategorii należy ustawa frankowa, i to nie taka jak dziś, ale zbudowana zgodnie z obietnicą. Do drugiej – nocne zaprzysiężenie sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Gdyby zaprzysiężenia nie było, ale była ustawa – sytuacja prezydenta na trochę ponad rok przed wyborami byłaby znacznie lepsza. ©℗

eprasa.pl de79146524

Z Maciejem Szymanowskim, dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka
rozmawia Łukasz Zboralski

Węgrzy dalej inwestują w rodziny

ŁUKASZ ZBORALSKI: Czy Viktor Orbán zaskoczył Węgrów nowym programem wsparcia dla rodzin?

MACIEJ SZYMANOWSKI: Nie, ponieważ to polityk, który od wielu lat – a jest po raz trzeci z rzędu premierem i za chwilę będzie najdłużej rządzącym premierem węgierskim od połowy XIX w. – duży nacisk kładł na sprawy związane z rodziną. I jeśli tylko było to możliwe, bo po dużym kryzysie, gdy obejmował władzę w 2010 r., Węgry były w takiej sytuacji jak Grecja, to uruchamiał różne programy wsparcia. W Europie mieszkania są drogie i młodych ludzi na nie nie stać, więc np. w 2015 r. pojawił się taki program, że rodziny, które mają dwoje dzieci i więcej, przy kredytach hipotecznych mogą korzystać z tego, że państwo oprocentowanie kredytu brało na siebie. A po narodzinach trzeciego dziecka część kredytu była umarzana.

Teraz propozycja jest dość szeroka. To już nie tylko ulgi w istniejących kredytach hipotecznych – czyli po narodzinach drugiego dziecka państwo będzie spłacało ok. 13,5 tys. zł zadłużenia, po narodzinach trzeciego – ok. 54 tys. zł, a po narodzinach kolejnych znów po 13,5 tys. zł – lecz także oferowanie kredytów. Kobieta przed 40. rokiem życia wychodząca za mąż będzie mogła wziąć kredyt w kwocie ok. 135 tys. zł. Gdy urodzi pierwsze dziecko, spłata kredytu będzie zawieszana na trzy lata, a gdy urodzi drugie dziecko – zawieszanie

eprasa.pl de79146524

FOT. ADOBE STOCK

rat przedłuży się na kolejne trzy lata i w dodatku jednej trzeciej długu nie trzeba będzie oddawać. Natomiast po trzecim dziecku umarzana będzie cała reszta zadłużenia.

To siedmiopunktowy program. I jest o tyle ważny, że gwałtownie wzrośnie zdolność kredytowa małżeństw. Czyli to, co w Polsce próbuje się rozwiązać poprzez program „Mieszanie Plus".

Czy węgierski program nie jest lepszy? Czy taki sposób – poszerzania zdolności kredytowej, dopłat – nie pomoże ludziom łatwiej zdobyć mieszkań niż projekt ich taniej budowy?

Polski model jest inny, ale generalnie chodzi o to samo – by pomóc młodym ludziom zakładać rodziny. W naszej kulturze i w kulturze węgierskiej, która jest też mocno postszlachecka, stabilność i bezpieczeństwo socjalne odczuwamy w ten sposób, że mamy własne mieszkanie, własny dom, kawałek swojej podłogi – to jest nasz „zamek". Kobiety, ale i mężczyźni, mniej chętnie się decydują na posiadanie potomstwa, gdy muszą mieszkać w wynajmowanej nieruchomości. To jest z kolei lepiej akceptowane w Europie Zachodniej. U nas zdecydowana większość osób, jeśli ma tylko możliwość ucieczki do własnego lokalu, natychmiast z tego korzysta. To kod kulturowy, którego nie zmienimy, a przynajmniej nie w ciągu jednej generacji czy dwóch. Stąd program, który albo via bank ułatwia tę sprawę, albo taki jak w Polsce – wykorzystujący dość słabe zagęszczenie terenu naszych miast i wolne grunty, np. po PKP, które można wykorzystać w celach mieszkaniowych.

Orbán zaproponował nie tylko kredyt na mieszkania – w jego propozycjach jest też duża dopłata do samochodu dla rodzin. Warunek: nowy i minimum siedmioosobowy...

Ciekawy pomysł. Z tym się jeszcze nigdzie nie spotkałem. Wydaje się, że to pomysł z serii tych „proste, ale nikt jeszcze na to nie wpadł". Skoro bowiem powszechne jest w Europie, że przedsiębiorcy mogą korzystać z możliwości leasingu czy w ogóle traktowania zakupu auta jako narzędzia do pracy, co umożliwia odliczenie zakupu od płaconego podatku, to dlaczego rodzina, zwłaszcza wielodzietna, która też jest takim małym przedsiębiorstwem, nie ma korzystać z tego rodzaju ułatwienia?

Najważniejsze w tym jest przestawienie własnego myślenia, że polityka prorodzinna to dobra inwestycja, a nie sfera pomocy społecznej. Jeśli nie będziemy postrzegać rodziny jako miejsca inwestycji, to ten brak za 20–30 lat doprowadzi do bardzo ciężkich konsekwencji dla państwa i społeczeństwa.

REKLAMA

REBIS POLECA

Ludzie tworzący X, Y, Z byli oryginałami i ekscentrykami, którzy dostali się w potężne tryby historii. Oto opowieść o nich.

Brutalne morderstwa, skomplikowane śledztwo i rozpaczliwa walka z czasem w nowym kryminale Monsa Kallentofta

FB/REBIS www.rebis.com.pl

eprasa.pl de79146524

Znów chyba widać różnicę w polskim i węgierskim podejściu. U nas silny wydaje się jednak element socjalny – np. na pierwsze dziecko „500+" mogą dostać osoby o niższych dochodach. Nasze finansowanie jest też bezpośrednie. Orbán proponuje finansowanie pośrednie, a do tego rozmach jest większy i wydaje się zachętą do powiększania rodzin skierowaną również do zamożniejszej klasy średniej.

Wydaje mi się po prostu, że węgierski model jest inny. I należy też zauważyć, że węgierskie wsparcie jest próbą rozwiązania jednak cięższego problemu – bo z niską liczbą urodzeń dzieci Węgry zmagają się od połowy lat 80., a Polskę ten problem dotknął tak naprawdę w latach 90. Wcześniej nie mieliśmy takiego demograficznego problemu jak Węgry. Być może dlatego w ogóle później zwróciliśmy uwagę na to i doszliśmy do wniosków, że coś z tym trzeba zrobić. Jeszcze niedawno zasiłki rodzinne w Polsce były na najniższym poziomie w Unii Europejskiej, to było zaledwie kilkadziesiąt złotych na dziecko.

Po drugie – na Węgrzech się okazało, że pierwotny program wsparcia dla rodzin [CZOK – przyp. red.] zahamował tendencję do zmniejszającej się liczby narodzin dzieci. To działa. Poprzedni wskaźnik dziecka na rodzinę na Węgrzech wynosił 1,3, a obecnie jest to ok. 1,5. W dalszym ciągu jest to bardzo niski wskaźnik, bo według demografów musi on wynosić minimalnie 2,1, aby reprodukowały się społeczeństwo czy naród. Nadszedł więc czas na kolejny impuls, by poprawić wskaźnik dzietności.

U nas po programie „500+" było jakieś drgnięcie demograficzne, ale potem wskaźnik urodzeń dzieci znów spadł.

Warto zauważyć, że reakcja demograficzna na węgierski program była dość szybka, bo ten pierwszy trwa cztery lata. Przyniósł dobre efekty przede wszystkim w liczbie zawieranych małżeństw. Nastąpił tam duży skok – ok. 20 proc. A wcześniejsze rozwiązania, w tym akcja edukacyjna, doprowadziły do tego, że na Węgrzech od lat maleje liczba aborcji. W ciągu ostatniej dekady to spadek o ok. 300 proc.

Czyli Węgrzy nie zakazali całkowicie aborcji – czego u nas od PiS domagają się skrajnie konserwatywni wyborcy – a postawili na edukację i to zadziałało?

To były rozwiązania dotyczące edukacji społeczeństwa na temat tego zła. No i rozstanie się z myśleniem o aborcji jako najtańszym środku antykoncepcji – czyli np. wzrosły wyraźnie stawki za wykonanie zabiegu aborcji i skomplikowano proces decyzyjny, wprowadzając m.in. porady psychologiczne itd. To przyniosło efekt. Najciekawsze jest jednak to, że tak skokowo wzrosła liczba małżeństw. Ludzie przestali się „obawiać" zawierania małżeństw.

Od kiedy zaczną obowiązywać te nowe propozycje prorodzinne?

Od tego roku. To jest jeden z trzech wielkich programów, z którym rząd Fideszu i Chrześcijańskich Demokratów szedł do wyborów: wsparcie dla rodziny, modernizacja armii i inwestycje w pasy przygraniczne Węgier. Ponieważ okolice granic należą do najbiedniejszych regionów w tym kraju.

Czy politycznie można to posunięcie Orbána też odczytywać tak, że po pierwsze pokazuje, iż chce wspierać dzietność rodaków, a z drugiej strony blokuje napływ imigrantów, że w ten sposób nie chce zasilić społeczeństwa nowymi członkami? Że Węgrzy chcą pod względem demograficznym uratować się sami?

Istnieje bardzo daleko idący konsensus w sprawie tej polityki. Są różne badania, ale można powiedzieć, że ok. 80 proc. Węgrów ją akceptuje. Co roku Węgrzy urządzają w formie elektronicznej takie minireferendum i pyta się w nim ludzi np. o kwestie migracji. W ostatnim wzięło udział blisko 1,5 mln osób, które odpowiedziały na ten program wsparcia rodzin pozytywnie. Ten projekt rządu ma więc bardzo wysoki stopień legitymizacji.

Z kolei faktycznie Europa jest podzielona, także w kwestii reakcji na ujemny bilans demograficzny. Jedna bardzo silna szkoła zakłada, że ratunkiem na silne kurczenie się pod względem demograficznym będą imigranci. Że należy postawić na przypływ milionów nowych rąk do pracy. Przykładem takiej szkoły są Niemcy. Drugie podejście to takie, w którym długofalowe rozwiązanie problemu widzi się gdzie indziej. Jego zwolennicy uważają, że masowy napływ nie-Europejczyków do Europy będzie raczej generować problemy niż je rozwiązywać. Tego przykładem są Węgrzy.

Proszę zauważyć, że mamy przywódców typu kanclerz Merkel, prezydent Macron, Teresa May – bezdzietnych. I mamy Viktora Orbána, który ma pięcioro dzieci, premiera Czech, który ma czworo dzieci, premiera Mateusza Morawieckiego, który ma czworo dzieci... Widać, że jest pewien podział mentalno-kulturowy, który wyznacza, w którym kierunku przywódcy chcą pójść. I mam głęboki podziw do tego, co robi Viktor Orbán, ale i jestem pełen podziwu dla tego, co my robimy tu, w Polsce.

Czy jednak nie jesteśmy niejako krok za Orbánem? Węgierskie programy są szersze, spójne, kontynuowane, a my oprócz rozpoczęcia programu „500+" nie mamy takich kolejnych potężnych bodźców...

Proszę sobie przypomnieć, jak wielki był w Polsce opór przeciw programowi „500+". Myślę, że gdy będzie u nas mniejszy opór opozycji do programów prorodzinnych, to rządowi będzie łatwiej wprowadzać kolejne rozwiązania. Jeśli jest zatem jakaś istotna różnica między Polską a Węgrami w tym zakresie, to ja widzę ją w podejściu opozycji. Na Węgrzech opozycja też uznała, że nie bardzo widać inną drogę, i przynajmniej toleruje takie programy, a na pewno nie atakuje ich jako „rozdawnictwa". Nie słychać takich głosów jak w Polsce, że nie ma gdzie zaparkować samochodu latem, bo „Janusze" dostali „500+" i zaczęli jeździć z dziećmi nad morze na wakacje.

I nowych propozycji Orbána tamtejsza opozycja też nie skrytykowała? Nie było lamentu, że węgierska gospodarka tego nie udźwignie?

Nie. Bo to jest w tej chwili jedna z najszybciej rozwijających się gospodarek w UE. Dramatycznie szybko, podobnie jak Polska – jeśli porównamy zachodnią część Unii, zmierzającą raczej ku recesji. Nikt na Węgrzech nie podnosi tego rodzaju argumentu, że prorodzinne propozycje to będzie jakieś ogromne obciążenie dla budżetu państwa. Udało się przełamać patrzenie na tego rodzaju działania rządu – że to nie jest polityka socjalna, ale inwestycja. Jak to ujął premier Orbán, podsumowując swój siedmiopunktowym program: „My nie potrzebujemy liczb. My potrzebujemy dzieci".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Maciej Szymanowski – historyk, hungarysta, dyrektor Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.

eprasa.pl de79146524

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ JESTEŚMY BEZPIECZNE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

eprasa.pl de79146524

Stefan Sękowski

Na „leżakach" tracą

Być może pokazany przez „Superwizjer" TVN przypadek ubijania chorych i kontuzjowanych krów jest incydentalny, jednak przyczyny takich nadużyć można znaleźć w systemie

To już nie przelewki. Po kontroli, którą przeprowadzili w polskich rzeźniach przedstawiciele Komisji Europejskiej, Bruksela zażądała od nas comiesięcznego raportowania o funkcjonowaniu polskich ubojni. Chce także przedstawienia całościowego programu naprawczego systemu kontroli uboju. Wszystko zaczęło się, gdy „Superwizjer" TVN upublicznił reportaż na temat zabijania w rzeźni w Kalinowie chorych krów i sprzedawania ich mięsa jako mięsa zdrowych zwierząt. Krowy były kupowane od rolników i ubijane bez wcześniejszego bądź późniejszego badania przez weterynarza. Część zwierząt była na tyle chora (lub kontuzjowana), że nie potrafiła nawet sama przejść z samochodu do rzeźni.

Mięso z tej rzeźni trafiło za granicę – m.in. do Norwegii, Słowacji, Czech, a nawet Portugalii. I rozpętała się burza. Media zaczęły rozgłaszać, że do szkolnych stołówek trafiało mięso chorych lub padłych krów. Temat podchwycili politycy – np. słowacka minister rolnictwa Gabriela Mateczna zaczęła nawoływać do tego, by nie jeść polskiego mięsa. Arabia Saudyjska już wprowadziła czasowy zakaz importu mięsa wołowego z Polski, zaś Białoruś czasowo je ograniczyła (w związku z wykryciem w grudniu BSE w Polsce). Chociaż zwłaszcza ten pierwszy rynek jest marginalny, jeśli chodzi o polską sprzedaż mięsa, to są to przykłady symboliczne.

NIEDOFINANSOWANA INSPEKCJA

Producenci wołowiny już wskazują na spadek cen. Zagraniczna konkurencja wykorzystuje sytuację do zajęcia naszego miejsca na unijnym i pozaunijnym rynku, jednak obawy przed złej jakości mięsem są poważne. – Mięso chorego lub padłego zwierzęcia stanowi olbrzymie zagrożenie, np. zatruciem pokarmowym czy infekcją bakteryjną. Jeśli zwierzę było leczone, jego mięso może zawierać antybiotyki, hormony lub inne substancje szkodliwe dla człowieka – tłumaczy „Do Rzeczy" prezes Krajowej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej Jacek Łukaszewicz.

Większość (84 proc.) polskiej wołowiny idzie na eksport, to reszta trafia na nasze stoły. Problem dotyczy więc nie tylko polskich eksporterów (i zachodnich konsumentów), lecz także tych, którzy jedzą mięso w Polsce.

„Winny" międzynarodowego zamieszania z polską wołowiną szybko się znalazł – minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski odwołał zastępcę głównego lekarza weterynarii Jacka Kucharskiego, który był odpowiedzialny m.in. za bezpieczeństwo żywności pochodzenia zwierzęcego.

Dymisja wiceszefa GLW jest jednak poświęceniem kozła ofiarnego. Inspekcja Weterynaryjna jest bowiem niedofinansowana i często nie ma możliwości, by pełnić normalnie swoją funkcję. Jak tłumaczy Łukaszewicz, wynagrodzenie w powiatowej IW to z reguły 2,5–3 tys. zł brutto. Efekt jest taki, że mało kto chce pracować w Inspekcji. – Przy naborze na połowę ogłoszeń o pracę nie ma ani jednego chętnego – mówi. Aktualnie trwa akcja protestacyjna Inspekcji (jako członkowie korpusu służby cywilnej inspektorzy nie mogą strajkować), jej pracownicy żądają podwyżek. Chociaż Łukaszewicz mówi, że od kiedy szefuje KILW, nie słyszał o przypadku korupcji w tym zawodzie, można się jednak domyślić, że niskie płace zwiększają takie zagrożenie.

To jednak nie wszystko, lekarzom weterynarii nie podoba się bowiem także liberalizacja kontroli, do której doszło

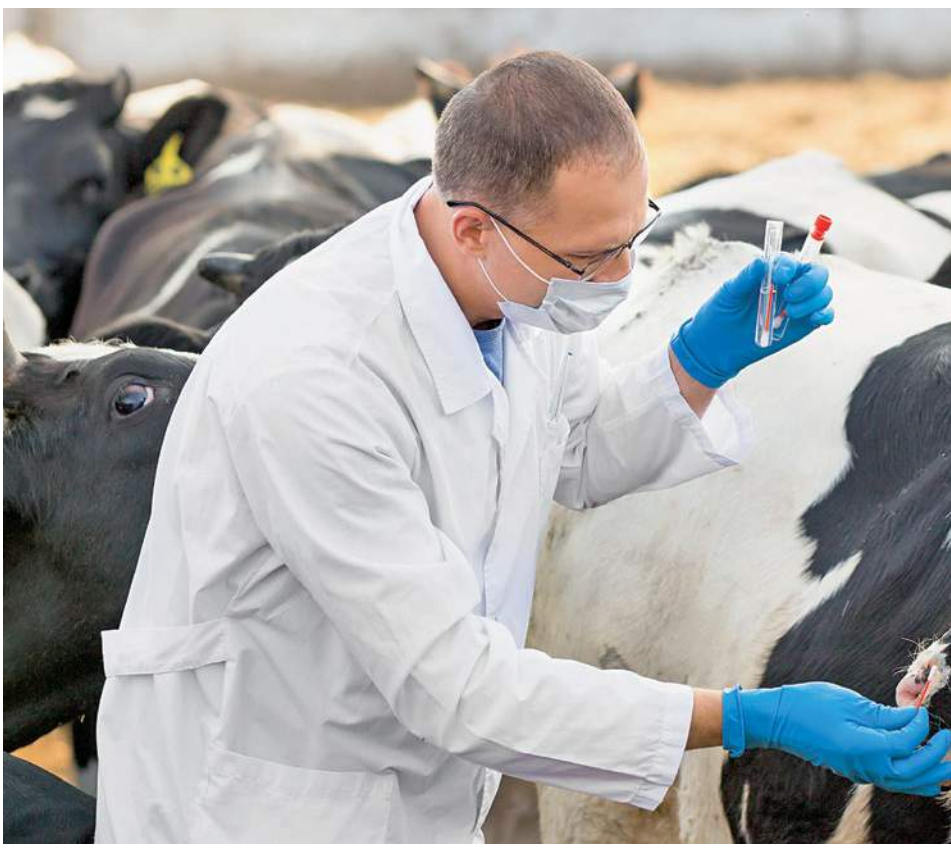

eprasa.pl de79146524

w ostatnich latach. Do nadużyć prowadzić ma choćby brak świadectw zdrowia przy każdym przemieszczeniu zwierząt (zostało niedawno przywrócone, ale tylko w odniesieniu do świń), brak bezpośredniego nadzoru weterynaryjnego nad targowiskami czy rozdęcie uboju na użytek własny. KILW domaga się także likwidacji obwoźnego skupu zwierząt.

FOT. ADOBE STOCK

wszyscy

Jednak na weterynarzach kontrola się nie kończy, ponieważ – jak pisze Greenpeace Polska w swoim raporcie „Mięso poza kontrolą" ze stycznia 2019 r. – „produkcja i sprzedaż mięsa i produktów mięsnych w Polsce na różnych etapach łańcucha spożywczego kontrolowana jest przez różne organy, działające na mocy różnych ustaw i podległe kilku różnym jednostkom". Poza IW jest to także Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych (kontrolująca jakość na etapie handlu hurtowego) oraz Państwowa Inspekcja Sanitarna i Inspekcja Handlowa (kontrolująca bezpieczeństwo żywności pochodzenia zwierzęcego w detalu). I one mają bardzo różne możliwości działania. – Dochodzi do absurdów, że IJHARS może nałożyć znacznie wyższe kary za zafałszowanie oleju niż PiS za dolanie do niego trucizny. Sankcje, które może wyciągać IW, są mniej dotkliwe dla przedsiębiorcy niż np. w przypadku IH. Dodatkowo jeśli zawiadomi prokuraturę o możliwości popełnienia przestępstwa, takie sprawy są zazwyczaj umarzane – mówi „Do Rzeczy" prawnik dr hab. Paweł Wojciechowski z Uniwersytetu Warszawskiego. Podział na odrębne inspekcje prowadzi do sporów kompetencyjnych i bałaganu. Zdaniem Wojciechowskiego dałoby się to usprawnić poprzez np. stworzenie wspólnego systemu informatycznego.

NIE BYŁO JAK SIĘ UBEZPIECZYĆ

Można przyjąć, że w Kalinowie zdarzył się incydentalny przypadek, a jednak nie była to jedyna taka sytuacja w ostatnim czasie. O podobnych przypadkach w ostatnich latach nie było tak głośno, gdyż zostały skutecznie wykryte przez inspekcję właśnie. Przykładowo, jak pisze „Dziennik Wschodni", w ubiegłym roku w powiecie łukowskim w województwie lubelskim kilka krów zostało ubitych w trakcie transportu, a do ubojni dostarczono też padłe zwierzęta. Jednak w tym wypadku powiatowy lekarz weterynarii skierował zawiadomienie do prokuratury. Także w 2007 r. „Gazeta Pomorska" opisywała skupywanie padliny przez właściciela ubojni w województwie małopolskim. W Internecie czy lokalnych gazetach nadal można znaleźć ogłoszenia o skupywaniu lub chęci sprzedania chorego zwierzęcia.

To nie jest tak, że jeśli rolnikowi krowa zachoruje lub np. złamie nogę, to jest od razu stratny. Przede wszystkim, powinien powiadomić o tym weterynarza, a potem – jeśli np. jest świeżo po złamaniu – rzeźnik może ubić zwierzę w jego zagrodzie, a on może nawet sprzedać mięso. Jest to tzw. ubój z konieczności. Państwo dopłaca także do utylizacji padłych zwierząt. Jednak mimo dopłat z budżetu także do ubezpieczeń rolniczych (65 proc. należnej składki ubezpieczeniowej) ten rynek w przypadku zwierząt praktycznie nie istnieje. Jak tłumaczy ekonomista dr hab. Piotr Sulewski ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, rolnicy korzystając z systemu dotacji, mogą ubezpieczyć zwierzęta od takich czynników ryzyka jak: huragan, powódź, deszcz nawalny, grad, piorun, osunięcie się ziemi czy lawinę i ubój z konieczności, przy czym ubój z konieczności oznacza ubój w wyniku zdarzeń wymienionych wcześniej. Ubój z powodu np. choroby, uszkodzenia ciała zwierząt czy w efekcie innych zdarzeń związanych z normalnym cyklem produkcyjnym nie podlega więc ubezpieczeniu dotowanemu. – Bez dotacji takie ubezpieczenie byłoby bardzo drogie, a choroba czy kontuzja zwierzęcia bardzo często zależy od poprawności technologii i dobrej praktyki rolnika, więc mogłyby być problemy z uzyskaniem odszkodowania. W Holandii działają fundusze wzajemne, polegające na wspólnym ubezpieczaniu się rolników, także hodowców np. drobiu czy jeszcze niedawno świń. Pomimo jednak ponad 20 lat prób i doświadczeń rozwiązania takie nadal nie są powszechne – mówi Sulewski.

JEMY ZA DUŻO?

Technolog żywienia z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu dr inż. Ryszard Kowalski zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt problemu. – Ponosimy odpowiedzialność za to, że żądamy coraz tańszej żywności. Przeciętny konsument nie wie, jakich nakładów wymaga hodowla zwierzęcia – mówi „Do Rzeczy". Jak wynika zdanych OECD i Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, spożywamy rocznie średnio 78,5 kg mięsa, podczas gdy przeciętny Europejczyk – 69 kg. Nie byłoby w tym może nic złego, gdyby nie to, że to o wiele za dużo. Według „Norm żywienia dla populacji Polski" sporządzonych przez Instytut Żywności i Żywienia nie jest zdrowo jeść więcej niż 0,5 kg mięsa tygodniowo. Lubimy mięso – i dlatego często sięgamy po jego tańsze wydanie, zamiast jeść je rzadziej, za to lepszej jakości. A to napędza mięsną koniunkturę (choć dotyczy głównie wieprzowiny i drobiu, bo wołowina idzie głównie na eksport).

Trudno powiedzieć, czy mamy systemowy problem z dostarczaniem na stoły niebezpiecznego mięsa – jednak to, czy do tego typu sytuacji będzie dochodzić częściej, nie zależy jedynie od kontrolerów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u „Nowa Konfederacja".

eprasa.pl de79146524

Z Marcinem Chludzińskim, prezesem zarządu KGHM
rozmawia Jacek Przybylski

FOT. DARIUSZ IWAŃSKI

Wielkie sprzątanie w KGHM

JACEK PRZYBYLSKI: Konkurenci KGHM mocno tną koszty. Tymczasem energia elektryczna – której KGHM jest największym odbiorcą w Polsce – ma wkrótce znacząco zdrożeć. Czy realne są plany, aby do 2030 r. spółka ze źródeł własnych oraz źródeł odnawialnych zaspokajała połowę własnego zapotrzebowania na energię?

MARCIN CHLUDZIŃSKI: Własne źródła pozwalają przede wszystkim na zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego. A w takiej skali mają też znaczenie dla całej polskiej gospodarki. Są również długofalowo znacznie bardziej opłacalne. 50 proc. to realna perspektywa, kończymy konsultacje, już niedługo przedstawimy plan osiągnięcia tego celu. I oczywiście jego finansowania, bo to inwestycje o sporej skali.

Sądzi pan, że plany rządu Mateusza Morawieckiego dotyczące szybkiego rozwoju elektromobilności w Polsce są możliwe do zrealizowania? Wiele publicznych spółek zaczęło już wymieniać samochody spalinowe na elektryczne. Czy KGHM również zamierza wymienić część swojej floty na pojazdy elektryczne?

Mam wrażenie, że słuchamy o elektromobilności w Polsce jak bajki o żelaznym wilku. Tymczasem 1 mln samochodów elektrycznych to dobre założenie. Oczywiście pod warunkiem, że zbudujemy w Polsce infrastrukturę. A to już się dzieje. Samorządy, przy pomocy takich organizacji jak Grupa KGHM, spokojnie poradzą sobie z wypełnieniem obowiązków dotyczących elektromobilności. Z kolei my budujemy infrastrukturę potrzebną naszej flocie. I tu możemy spokojnie dać przykład innym dużym polskim firmom. Testujemy samochody elektryczne we wszystkich możliwych zastosowaniach. To się zwyczajnie kalkuluje.

Na modzie na ekologię, a zwłaszcza na elektromobilność, KGHM mogłoby sporo zarobić. Rozwój elektromobilności spowoduje bowiem gwałtowny wzrost zapotrzebowania na miedź i srebro. Czy spółka ma już plan, jak to zrobić?

Znowu – to nie moda. Ta zmiana dzieje się na naszych oczach. I to otwiera przed nami zupełnie nowe możliwości rozwoju. Produkcja samochodów elektrycznych to gigantyczny wzrost

eprasa.pl de79146524

zapotrzebowania na miedź i srebro. W e-samochodach znajduje się co najmniej kilkadziesiąt kilogramów miedzi więcej niż w pojazdach zasilanych paliwami powstałymi na bazie ropy naftowej. Ośrodki analityczne przewidują wzrost popytu na miedź w ciągu 10 lat nawet o 40 proc.

Plan brzmi prosto: być gotowym na ten wzrost popytu i go w kolejnych latach wykorzystać. Oczywiście realizacja jest złożona. Oznacza konsekwentne, ogromne inwestycje i konieczność ich rozsądnego finansowania. Angażowanie się w żmudne, niestety, procesy koncesyjne. Wie pan, jak długo czekamy na rozstrzygnięcia dotyczące polskich koncesji na poszukiwania i wydobycie? W niektórych przypadkach nawet kilkanaście lat.

Liczymy na wsparcie decydentów, ale nie czekamy z założonymi rękami. Bardzo ciężko pracujemy na zyski firmy.

À propos zysków: w ubiegłym roku po raz pierwszy od lat KGHM nie wypłaciło dywidendy. Czy w tym roku udziałowcy mogą liczyć na udział w zyskach?

Nie zmieniamy polityki dywidendowej, o rekomendacji dla Walnego Zgromadzenia zdecydujemy ostatecznie po opublikowaniu za niecały miesiąc wyników poprzedniego roku. Chciałbym się dzielić wypracowanym zyskiem z akcjonariuszami. Czuję jednak odpowiedzialność za to, żeby zysk pojawiał się jeszcze przez dziesięciolecia. Mam też świadomość, że KGHM nie jest po prostu jedną ze spółek notowanych na giełdzie. To polisa na przyszłość polskiej gospodarki.

Bez walki z korupcją nie uda się jednak utrzymać spółki w dobrej kondycji. Tymczasem media donoszą o ekskluzywnym hotelu, zabawie na luksusowym jachcie i w klubie ze striptizem. Według „Super Expressu" były dyrektor w państwowej spółce KGHM z publicznych pieniędzy wydał na takie uciechy podczas tzw. podróży służbowej co najmniej 100 tys. zł publicznych pieniędzy. Opisują też jakoby ustawiane przetargi w jednym z oddziałów KGHM Polska Miedź. Kiedy planuje pan zacząć wielkie sprzątanie w firmie?

Sprzątanie zacząłem natychmiast, właśnie widać jego efekty. W KGHM nie widzę miejsca dla ludzi, którzy nie szanują pieniędzy ciężko wypracowanych przez całą załogę, kradną, zwyczajnie bogacą się kosztem bezpieczeństwa innych. To plaga wielu dużych złożonych organizacji. Dlatego stawiam na świetnych zarządzających, wzmożoną kontrolę i bezwzględne usuwanie ze spółki ludzi, którzy nie mają ochoty rzetelnie pracować.

Nie wszystkim się to podoba, ale mam swój cel. Doprowadzam spółkę do takiej efektywności, która pozwoli jej się harmonijnie rozwijać przez wiele lat.

Do tego potrzebna była stabilizacja – za nami pół roku spokojnego planowania i działania. Mamy – w bardzo krótkim czasie – sporo sukcesów. Teraz, po ogłoszeniu nowej strategii, jeszcze przyspieszamy ze zmianami.

Nie wszystkie zmiany da się wprowadzić naraz, a szkoda. Zanim przejąłem stery KGHM, słyszałem legendy o problemach z długami, sporach ze związkami i z radą nadzorczą. Półrocznych walkach o zatwierdzenie budżetu.

Testujemy samochody elektryczne we wszystkich możliwych zastosowaniach. To się zwyczajnie kalkuluje

Układach i bardzo dużym oporze przed zmianami. Kopalniach, które może lepiej byłoby zamknąć.

Tymczasem najszybciej w historii przyjęliśmy budżet KGHM, dogadaliśmy się ze związkami zawodowymi już na pierwszym spotkaniu negocjacyjnym, a kopalnia Lubin, którą już spisywano na straty, jest rentowna i z miesiąca na miesiąc coraz lepiej sobie radzi.

Paradoksalnie w momencie, w którym mamy jako zarząd największe sukcesy, rzeczywiście odczuwamy największy opór. Nie ze strony załogi, tutaj jest mnóstwo zdolnych i pracowitych ludzi, którym zależy na rozwoju firmy. To nielicznym jednostkom i grupom nie podobają się transparentność ani sprawne zarządzanie.

Czy spółka samodzielnie również prowadzi wewnętrze kontrole, aby walczyć z nadużyciami finansowymi? Agenci CBA zatrzymali w styczniu sześciu pracowników z Grupy KGHM, których działania miały kosztować spółkę co najmniej 4 mln zł, a w lutym kolejne cztery osoby podejrzewane o korupcję.

Prowadzimy je stale. Sam Pion Bezpieczeństwa i Zapobiegania Stratom przeprowadził 100 kontroli w zeszłym roku. A jeszcze audyt, kontrola wewnętrzna. Głównie dzięki wnioskom z kontroli usprawniamy nasze procesy i procedury. Ta organizacja to gigant. Jeden ze światowych liderów, inwestor na kilku kontynentach, z zakupami i inwestycjami na poziomie 7,5 mld rocznie. Jeden z największych płatników podatków w Polsce. Dlatego znacznie bardziej niż aresztowaniami zajmuje się zwiększaniem efektywności, zmianami w finansowaniu czy planowaniem eksploatacji na kolejne kilkadziesiąt lat.

Raptem kilka tygodni temu zmieniliśmy dyrektora jednego z oddziałów górniczych, a po miesiącu zawartość miedzi w rudzie zwiększyła się tam o 7 proc. Nowa dyrekcja wprowadziła selektywne wybieranie złoża i na efekty nie trzeba było długo czekać. Za większością naszych ostatnich sukcesów stoi po prostu lepsze zarządzanie.

Na wizerunek KGHM wpłynęły niedawne wypadki w kopalniach. Czy praca w KGHM na pewno jest bezpieczna? Czy po ostatnich wypadkach można się spodziewać wdrożenia nowych systemów zwiększających bezpieczeństwo we wszystkich kopalniach należących do kierowanego przez pana koncernu?

Zacznijmy od tego, że brak wypadków mógłbym zagwarantować wyłącznie wtedy, gdybyśmy nie robili zupełnie nic. Dbamy o bezpieczeństwo. Służą temu nie tylko świetnie wyszkoleni i wyposażeni ratownicy oraz dobre procedury. Korzystamy z najnowocześniejszych technologii. Długość światłowodu, liczba kamer oraz nafaszerowanie kopalni i hut innowacyjnymi rozwiązaniami przyprawiają o zawrót głowy. Mogę się założyć, że jesteśmy jedną z najbardziej innowacyjnych branż na świecie.

Mimo to mamy jeszcze wiele do zrobienia. Musimy ujednolicić standardy bezpieczeństwa we wszystkich kopalniach, część z nich musi zacząć korzystać szerzej z nowych technologii. Cenię dyskusje i konsensus ze wszystkimi interesariuszami, ale w kwestii zdrowia i życia pracowników nie będę szedł na kompromis. Wszystkie nasze kopalnie mają być tak bezpieczne, jak to tylko w XXI w. w Polsce możliwe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

Italia u stóp Piątka

Łukasz Majchrzyk

Włoscy kibice pokochali Krzysztofa Piątka. I trzeba powiedzieć, że mają za co

A więc mamy do czynienia z fenomenem. Trzeba to sobie powiedzieć wprost, bo sposób, w jaki Krzysztof Piątek wszedł do europejskiego i światowego futbolu, w jaki podbił Włochy, niemalże przy okazji i od niechcenia, jest niesamowity. Sześć bramek w pierwszych pięciu meczach w barwach AC Milan to wynik rewelacyjny. Już dziś można się zacząć zastanawiać, czy zrobi większą karierę niż Robert Lewandowski, choć oczywiście napastnik Bayernu Monachium osiągnął do tej pory o wiele więcej.

Jeszcze na początku 2018 r. biegał po boiskach Ekstraklasy w pasiastych koszulkach Cracovii i strzelał gole Wiśle Płock i Arce Gdynia. To było cenne i zwracało uwagę, bo bramki zdobywał regularnie, ale przecież nawet Adam Nawałka nie zabrał go na mistrzostwa świata do Rosji. Skoro w Polsce nie należał do najlepszych, to jak miało mu się udać w lidze włoskiej – ostatnio rzeczywiście przykurzonej, ale wciąż silnej i wymagającej?

DOBRY WYBÓR

Wielu już takich zawodników przed Piątkiem było, ale często rozpływali się w ligowej szarzyźnie albo po wyjeździe na zachód Europy lądowali na ławkach rezerwowych, bo nie byli w stanie przebić szklanego sufitu.

Dopadały ich złe nawyki z polskich boisk, gdzie czasu na podjęcie decyzji i przyjęcie piłki jest więcej niż w najlepszych ligach europejskich. Przeszkadzały intensywność treningów, brak znajomości języków obcych, który utrudniał porozmawianie z kolegami i pogłębiał wyobcowanie, gdy nie udawało się wywalczyć miejsca w składzie. Wydawało się, że tacy bohaterowie jak Robert Lewandowski mogą się zdarzać raz na kilkadziesiąt lat, dzięki szczęśliwemu układowi gwiazd, bo nawet jeśli zdrowie dopisze, to menedżer może źle doradzić i zamiast wielkiej kariery będzie głębokie rozczarowanie.

Piątek tym wszystkim stereotypom i dobrze znanym opiniom zaprzecza. Pojawił się w lidze włoskiej latem, w barwach Genoi, i zanim na dobre rozpoczęły się rozgrywki, już wzbudził zainteresowanie, strzelając cztery gole w Pucharze Włoch drużynie Lecce. Szczęście debiutanta? Lekceważenie ze strony włoskich obrońców? Kto wie, może trochę tak? Jednak jeśli nawet, to tylko na samym początku, potem już wszyscy wiedzieli, że Piątek jest groźny, i musiał się przebijać przez szczelny mur budowany przez rywali.

Na pewno pomogło też to, że zaczynał w skromnym klubie Genoa, gdzie nie ma wielkich oczekiwań ze strony kibiców ani właścicieli, a konkurencja jest trochę mniejsza. Wybór odpowiedniej zagranicznej drużyny to jedna z najważniejszych decyzji na początku kariery. Można wybrać źle, tak jak Dawid Janczyk albo Radosław Matusiak, inni zdolni napastnicy, którzy wyjeżdżali na Zachód przed kilkoma laty, a więc odbić się od ściany i wpaść w kłopoty. Można też wybrać świetnie, tak jak Robert Lewandowski, który w Borussii Dortmund trafił na mądrego trenera i cierpliwych działaczy.

Piątek strzelał bramkę za bramką i kwestią czasu było, kiedy zgłosi się po niego jakaś potężna drużyna, oferująca za Polaka dziesiątki milionów euro. Zgłosił się AC Milan, jeden z największych włoskich klubów, wielokrotny zdobywca mistrzostwa i Pucharu Europy, uwielbiany nie tylko w Mediolanie, lecz także w całej Europie. W takim klubie trzeba już wielkiej odporności psychicznej, nie można się zadowolić kilkoma golami, trzeba strzelać natychmiast i dużo, bo włoscy kibice potrafią się błyskawicznie zakochać, ale też szybko zacząć gwizdać.

PODSYCANE UWIELBIENIE

Same przenosiny Piątka z Genui do Mediolanu były niesamowite. Już wtedy dawały o sobie znać pierwsze objawy piątkomanii. Przed oficjalnym ogłoszeniem transferu w butikach pojawiły się czerwono-czarne koszulki z nazwiskiem „Piątek" i numerem „9", który tradycyjnie jest zarezerwowany dla najlepszych napastników. Tylko że wszyscy, którzy się spieszyli, chcąc jak najszybciej zarobić, trochę się rozczarowali. Polak gra w klubie z Mediolanu z „19", bo – jak stwierdził trener Gennaro Gattuso – dziewiątka była ostatnio pechowa dla napastników jego drużyny.

Uwielbienie dla Polaka nie słabnie, a numer to rzecz wtórna. Kibice, którzy mieli koszulki z numerem „9", nawet kupione kilka lat temu, zaklejają stare nazwiska, dorysowują z przodu cyfrę jeden i mogą dumnie paradować po Mediolanie. Każdy zna jego gest rewolwerowca – w taki sposób Polak cieszy się po zdobyciu każdej bramki. Oczekiwania były wielkie, ale jeśli jakikolwiek klub na świecie płaci za piłkarza 35 mln euro, to kibice mają prawo wymagać. Włoscy potrafią również okazywać uwielbienie, jeśli zawodnik prowadzi ich ukochaną drużynę do zwycięstw. Dokładnie tak się dzieje w przypadku Piątka. Już w drugim meczu zdobył dwa gole, a kibice ułożyli pierwszą piosenkę na jego cześć.

W dobie Internetu, mediów społecznościowych rozkręca się to jeszcze szybciej. Ktoś nagra jakiś utwór komórką, wrzuci do sieci i za chwilę wszyscy śpiewają o Krzysztofie Piątku. Włoscy komentatorzy sportowi znani są z ekspresji, krzyków,

eprasa.pl de79146524

FOT. MIGUEL MEDINA/AFP/EAST NEWS

padania sobie w ramiona na wizji. W tym gronie chyba najbardziej znany jest Tiziano Crudeli, który o Milanie pisze od ponad 30 lat i był przy największych sukcesach przełomu lat 80. i 90. Patrzył z bliska na grę Marco van Bastena i Ruuda Gullita, a teraz zachwycił się Piątkiem. To właśnie on po golach, zdobywanych przez polskiego napastnika, wykrzyczał: „Pio, Pio, Pio, Piątek", co stało się jednym z najbardziej rozpoznawalnych przejawów piątkomanii. Ostatnio znów miał okazję, żeby swój okrzyk powtórzyć, gdy napastnik Milanu zdobył gola, stojąc niemalże tyłem do bramki i jednocześnie walcząc z atakującym go obrońcą.

Inny nestor włoskiego dziennikarstwa, piszący o Milanie, Carlo Pellegatti nadał reprezentantowi Polski przydomek Łowca (Il Cacciatore di Taglie) w nawiązaniu do filmu z 1980 r. ze Steve'em McQueenem w roli głównej. Wystarczyło, że swoje przemyślenia na temat Piątka, nagrane telefonem komórkowym w kuchni, umieścił w serwisie YouTube i w ciągu kilku dni obejrzało je niemal 30 tys. widzów.

Włoska prasa zresztą podsyca to uwielbienie dla Polaka na każdym kroku. Robi to tym chętniej, że Serie A w ostatnich latach cierpiała na brak wielkich bohaterów. Okładka wielkiego dziennika sportowego „La Gazzetta dello Sport" po meczu z Napoli, w którym Polak zdobył dwie bramki, była 15. z rzędu, na której pojawiło się zdjęcie Piątka lub jego nazwisko. Zaczęło się, kiedy Milan negocjował z Genoą transfer, a po dobiciu targu o Polaku wcale nie przestało być głośno.

Po spotkaniu ligowym z Atalantą Bergamo, w którym Piątek strzelił dwa gole, „La Gazzetta dello Sport" poświęciła nowemu zawodnikowi Milanu rozkładówkę, którą zatytułowała „Piątekstein". Takich egzaltowanych tytułów jest zresztą dużo więcej. O polskim napastniku pisano już „Magik", „Czarodziej", „Potwór i maszyna, której nic nie powstrzyma" czy „Zamienia w złoto wszystko, czego dotknie stopą", a „Corriere dello Sport", po tym jak Milan dzięki golom nowej gwiazdy wyeliminował Napoli z Pucharu Włoch, na pierwszej stronie umieścił zdjęcie Piątka i zatytułował je „Robocoppa". To i tak nic, bo ta sama gazeta na jednej okładce zmieściła określenia „minister do spraw goli" i „polski papież".

WOLI PRACOWAĆ

O Piątka pytani są wszyscy ludzie włoskiej piłki, bo też chyba nie ma drugiego nazwiska, które wzbudzałoby tak wiele emocji. Enrico Preziosi, prezes Genoi, musi deklarować, że nie żałuje sprzedaży Polaka (raczej nie ma powodów, bo klub zarobił na nim więcej niż godnie). Piątkowi nie szczędzi pochwał Marcello Lippi (zdobył z reprezentacją Włoch mistrzostwo świata w 2006 r.), który mówi, że wychowanek Lechii Dzierżoniów jest wzorem środkowego napastnika. Koszulkę z nazwiskiem Polaka dostał od klubu wicepremier Włoch Matteo Salvini, prywatnie kibic Milanu. Dziennikarzom powiedział, że odebrał prezent od klubu – „koszulkę naszego wielkiego Piątka".

O Krzysztofa Piątka pytany już był Filippo Inzaghi, w przeszłości świetny napastnik, jedna z legend Milanu. Jeden z najbardziej szanowanych włoskich trenerów Francesco Guidolin stwierdził, że Polak przypomina mu Hiszpana Fernando Torresa, i porównał go do słynnego Andrija Szewczenki. Kibice z Mediolanu marzą o tym, by Polak nawiązał do sukcesów słynnego Ukraińca i poprowadził klub do wielkich sukcesów. W Internecie pojawiły się już nawet stosowne zestawienia zdjęć: na jednym Szewczenko wskakuje na plecy Kaki, a na drugim Piątek w podobnej pozie jest na plecach innego Brazylijczyka – Paquety, z którym tworzą zgrany duet. Z takimi porównaniami trzeba być ostrożnym, bo Milan z Ukraińcem w składzie zdobył m.in. mistrzostwo Włoch i wygrał Ligę Mistrzów, a do takich sukcesów obecnej drużynie AC Milan jeszcze daleko.

Polak podchodzi do całego zamieszania spokojnie i mówi w rozmowie z Michałem Polem, że niektóre okładki są przesadzone i nie czyta wszystkiego na swój temat. Docierają do niego pojedyncze informacje, często podrzucone przez znajomych. Powtarza, że woli koncentrować się na pracy, bo to dzięki niej zdobywa tyle bramek i może zajść daleko. Po tym, co pokazuje w pierwszych tygodniach swojej gry dla jednego z najsłynniejszych włoskich klubów, można mieć nadzieję, że jest dopiero na początku swojej drogi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kult lekkomyślności

Ta z pozoru błaha kwestia jest w istocie kluczowym symbolem kultu, który – w odróżnieniu od większości państw, do których tak chętnie się porównujemy – wciąż się w Polsce panoszy. Kultu beztroski, lekkomyślności czy wręcz bezmyślności, nieroztropności, niefrasobliwości, nieostrożności. Albo po prostu głupoty.

Chodzi o brak finansowej odpowiedzialności ludzi, którzy narażają siebie, a także innych, czy to wybierając się w góry, czy wypływając na jezioro lub w morze. A gdy przytrafi się im nieszczęście, bez skrupułów oczekują nie tylko pomocy, bo to rzecz oczywista, lecz także opłacenia jej kosztów przez wszystkich podatników. Wskutek czego polskie Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe i Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe traktowane są przez nich jak firma transportowa. Jak „bezpłatna taksówka dla turystów", nierzadko powietrzna, którą każdy i zawsze – nawet jeśli wybrał się na wycieczkę podczas niesprzyjającej pogody i kompletnie nieprzygotowany, bez odpowiedniego stroju i sprzętu, czyli na przekór zdrowemu rozsądkowi – może wezwać i skorzystać z jej usług, nie płacąc za to ani grosza.

A koszty tych usług idą w grube tysiące złotych. Sam start śmigłowca ratunkowego to ponad 10 tys. zł, nie mniej kosztuje transport do szpitala. W polskich realiach płacą za to głównie podatnicy – np. GOPR finansowany jest z dotacji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, a także pieniędzy pochodzących od sponsorów i z wpływów z biletów do parków narodowych.

Nie wiem, czy kiedykolwiek doczekamy się rządu, który zdobędzie się na odwagę, by doprowadzić do tej cywilizacyjnej przemiany. A dotyczyć to powinno przecież nie tylko ponoszenia odpowiedzialności za swe czyny podczas wypraw w góry czy na jeziora i morze; powinno dotyczyć także, a raczej w pierwszej kolejności, odpowiedzialności za siebie i własny dobytek w każdym miejscu i czasie, czyli ubezpieczania się od wszelkich nieszczęść. A nie oczekiwania, że w przypadku powodzi, pożaru czy innej katastrofy – i poniesienia z jej powodu strat – z finansową pomocą zawsze musi pospieszyć rząd i bez oglądania się na cokolwiek hojnie obdzielać poszkodowanych pieniędzmi podatników.

„Trzeba się ubezpieczać, a ta prawda jest ciągle mało powszechna" – tylko jeden jedyny raz szef polskiego rządu (Włodzimierz Cimoszewicz) – podczas wielkiej powodzi, w 1997 r. – miał odwagę przypomnieć o tej podstawowej powinności, czyli ubezpieczeniu własnego mienia. I wraz ze swym ugrupowaniem przepadł w wyborach, a potem już żaden premier czy minister na taki „akt odwagi" się nie zdobył. „Akt odwagi", by przypomnieć o elementarnych zasadach, które podpowiada po prostu zdrowy rozsądek. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Politycy w mediach

Zgodnie z zapowiedzią sprzed tygodnia przeprowadziłem analizę wydźwięku kluczowych polskich polityków rządu i opozycji metodą automatycznej analizy tekstu. W okresie czerwiec 2017–luty 2019 r. na trzech portalach: Gazeta.pl, Rp.pl i wPolityce.pl w ok. 100 tys. tekstów program znalazł ponad 65 tys. akapitów, w których występuje jeden z analizowanych polityków. Następnie program ocenił, jaki jest wydźwięk danego akapitu: pozytywny, neutralny czy negatywny, i policzył średnią ze wszystkich akapitów dla każdego polityka. Jeżeli wynik był ujemny, to oznacza, że nazwisko polityka pojawia się raczej w negatywnym świetle, a jeżeli pozytywny, to znaczy, że portale częściej piszą o nim/niej w pozytywnym kontekście. To wszystko zajęło ok. godziny dzięki temu, że część obliczeń prowadziłem równolegle na kilku procesorach.

Sporą niespodzianką tego badania było odkrycie, że Gazeta.pl używa języka o bardzo negatywnym wydźwięku do opisywania polityków w porównaniu z Rp.pl i wPolityce.pl. Na Rp.pl i wPolityce.pl nie ma ani jednego polityka na analizowanej liście, który średnio byłby opisywany negatywnie, tj. w sąsiedztwie jego nazwiska przeważałyby wyrazy o negatywnym wydźwięku. Zaś na Gazeta.pl połowa analizowanych polityków jest przedstawiana w negatywnym świetle.

Łącznie na wszystkich portalach najlepszy wizerunek ma Piotr Gliński, następnie Andrzej Duda i Mateusz Morawiecki. Trzy osoby od końca to Jarosław Kaczyński, Donald Tusk i Zbigniew Ziobro jako ostatni. Jednak ten ranking znacznie się różni w zależności od analizowanego medium. Na Gazeta.pl liderem jest Władysław Kosiniak-Kamysz, następnie Andrzej Duda i Piotr Gliński. W najgorszym świetle przedstawiany jest Janusz Korwin-Mikke, daleko gorzej od przedostatniego Zbigniewa Ziobry. W Rp.pl liderem jest Włodzimierz Czarzasty, który wyprzedza Kosiniaka-Kamysza i Korwin-Mikkego. Ostatni w Rp.pl jest Ziobro. W wPolityce.pl liderami są Gliński, Duda i Morawiecki, stawkę zamykają Ziobro, Tusk i Korwin-Mikke. Analizując te wyniki, warto pamiętać o tzw. branżowym obciążeniu. Na przykład minister kultury często pojawia się w mediach w kontekście pozytywnie postrzeganych wydarzeń kulturalnych, a minister sprawiedliwości w kontekście zdarzeń związanych z przestępczością, co wpływa na prezentowane wyniki.

W analizowanym okresie na tych trzech portalach najczęściej pojawiał się Kaczyński, prawie 13,5 tys. razy, Morawiecki wystąpił ponad 12 tys. razy, a Duda ponad 7 tys. razy. Najrzadziej pisze się o Czarzastym i Korwin-Mikkem, zaledwie nieco ponad 200 razy w ciągu ponad półtora roku. Tyle w formule felietonu, wiele innych ciekawych wniosków na pewno opiszę w dłuższym artykule. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl de79146524

TEST „DO RZECZY": SYSTEM INTELIGENTNEGO OGRZEWANIA NETATMO

Nawet 37 proc. – według francuskiego producenta – można zaoszczędzić na opłatach za ogrzewanie mieszkania lub domu dzięki inteligentnym głowicom do grzejników Netatmo Smart Radiator Valves.

System sprawdzić się może zarówno w domach jednorodzinnych – stanowiąc ciekawy dodatek do sieci inteligentnego domu – jak i w mieszkaniach podłączonych do miejskiej sieci ciepłowniczej. Zamiast ręcznie regulować temperaturę, system inteligentnych głowic pozwala robić to zdalnie lub zupełnie automatycznie według wcześniej zdefiniowanego harmonogramu.

W pakiecie startowym – kosztującym 899 zł – znajdują się: dwie nowocześnie wyglądające inteligentne głowice do montażu na grzejnikach, sterownik Wi-Fi oraz różnego rodzaju konwertery, pozwalające na zamontowanie głowic na niemal każdym zaworze grzejnikowym.

Montaż jest bajecznie prosty i szybki. Intuicyjne w obsłudze jest również oprogramowanie. Systemem ogrzewania można zdalnie sterować za pomocą aplikacji Netatmo (umożliwiającej również podglądanie aktualnej temperatury w wybranych pomieszczeniach, statystyk etc.) lub poprzez HomeKit (na urządzenia z systemem iOS) i Google Home (dla zwolenników Androida). Ogrzewaniem można też sterować głosem za pomocą asystenta Google.

Jeszcze wygodniejsze jest tworzenie harmonogramów dla poszczególnych pomieszczeń. Dzięki temu w domu może być chłodno, gdy jesteśmy w pracy, a gdy stoimy już w korku w drodze z pracy, temperatura zaczyna się powoli podnosić. Głowice Netatmo mogą również automatycznie obniżyć temperaturę w nocy i podnieść ją tuż przed porankiem, aby po przebudzeniu człowiek mógł w komfortowych warunkach wyjść spod pierzyny i dotrzeć do kuchni po filiżankę kawy.

Zaletą systemu jest też czujnik otwartego okna. Gdy inteligentna głowica wyczuje, że akurat wietrzymy pokój, automatycznie wyłączy ogrzewanie, aby nie marnować energii.

Minusem jest to, że praca silniczków w głowicach nie jest zupełnie bezgłośna, co może przeszkadzać osobom, które mają problemy z zasypianiem. Szkoda też, że system pracuje jedynie w paśmie 2,4 GHz. Najważniejszą wadą, jak to w przypadku inteligentnych systemów, jest jednak cena. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POZNAJCIE PEEQO

Czy już stajemy się społeczeństwem komunikującym się za pomocą obrazków – ikonek, memów, gifów? Zabrzmi to szowinistycznie, ale z pewnością takie tendencje dają się coraz mocniej zauważyć w korespondencjach piękniejszej części naszego społeczeństwa, lubującej się w ilustrowaniu wiadomości tekstowych uśmiechniętymi minkami albo wizerunkami różowych kucyków pony. Być może zatem to właśnie płeć piękna będzie najbardziej zainteresowana bliższą znajomością z Peeqo – czyli całkowicie osobistym robocikiem, kontaktującym się z otoczeniem za pomocą gifów i ikonek.

Nie da się ukryć, że Peeqo sprawia całkiem sympatyczne wrażenie, tyle tylko, że trzeba go sobie samemu zmontować. Jest też niewielki, więc można go sobie postawić np. na biurku, obok kubka z kawą, i w celu odstresowania zabawiać się „rozmową" z nim. Składa się z 4-calowego ekranu IPS, dwukierunkowych mikrofonów, dwóch głośników 3W stereo, kamery 5 MP i czterech programowalnych przycisków. Robocik rozpoznaje głos i odpowiada na pytania systemem gifów i krótkich filmików, korzystając przy tym z Google Cloud Speech, Amazon Voice Service, Snips i takich źródeł jak Jasper i Mycroft, przeszukuje też sieć i używa stron w rodzaju Giphy, Guggy, Vlipsy, aby uzyskać najnowsze i najlepsze odpowiedzi. W ograniczonym zakresie może też emitować dźwięk.

Najprostszy Peeqo kosztuje ok. 500 zł i można zamawiać go na Kickstarterze. Dostawa w maju.

KLUCZ DO KLUCZY

Kolejny sposób na to, by uniknąć zgubienia kluczy i telefonu (nawet z wyładowaną baterią), nazywa się KickTrack. To podpórka, którą przykleja się do tylnej części telefonu, sparowana z bezprzewodowym breloczkiem do kluczy. Gubimy telefon – naciskamy przycisk na breloczku i dzwoni KickTrack przy telefonie, gubimy klucze – naciskamy guziczek na podpórce do telefonu i dzwoni breloczek do kluczy.

Urządzenie nie ma GPS ani żadnej cud-techniki, która zadziałałaby, gdybyśmy o zgubie przypomnieli sobie dopiero po wyjściu – dajmy na to – z knajpy, która naprowadziłaby nas prosto na zgubę lub złodzieja. Za to sprawdzi się, gdy nie możemy znaleźć kluczy lub telefonu w domowym bałaganie.

Za zabaweczkę trzeba zapłacić na Indiegogo od 50 zł, przy czym rzeczywiście jest ona estetycznie i solidnie wykonana. Dostawa w marcu. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl de79146524

FOT. ADOBE STOCK

Nowy sposób na wyższą emeryturę

Już od 1 lipca 2019 r. firmy zatrudniające co najmniej 250 osób powinny uruchomić Pracownicze Plany Kapitałowe. Gdzie i jak będą inwestowane pieniądze wpłacone w ramach PPK? Kiedy oszczędności zostaną wypłacone uczestnikom? Czy można wypłacić zaoszczędzone środki jeszcze przed ukończeniem 60. roku życia?

Najpóźniej do 1 stycznia 2021 r. do Pracowniczych Planów Kapitałowych zostanie automatycznie zapisany każdy pracownik w wieku 19–55 lat podlegający obowiązkowo ubezpieczeniom emerytalnemu i rentowemu (czyli zarówno osoby zatrudnione na umowę o pracę, jak i np. na umowę-zlecenie lub umowę agencyjną).

Oszczędności na indywidualnych kontach będą pochodzić z trzech źródeł: z wpłat pracowników (w wysokości od 2 do 4 proc. wynagrodzenia brutto), wpłat pracodawców (1,5–4 proc. wynagrodzenia brutto) oraz dopłat państwa (250 zł w ramach jednorazowej wpłaty powitalnej oraz 240 zł rocznie). Osoby najniżej zarabiające mogą zdecydować o obniżeniu swoich wpłat do PPK (minimalna składka pracownika w takiej sytuacji wynosi 0,5 proc. wynagrodzenia brutto).

REGUŁY INWESTOWANIA

Gdzie i jak będą inwestowane pieniądze wpłacone do PPK? Zgromadzonym kapitałem zarządzają instytucje finansowe spełniające rygorystyczne kryteria. Gromadzone na rachunkach uczestników PPK środki lokowane będą w tzw. fundusze zdefiniowanej daty. O co chodzi? Otóż każdy pracownik biorący udział w programie zostanie automatycznie przypisany do funduszu w zależności od swojej daty urodzenia. Fundusz ten w miarę zbliżania się uczestnika do 60. roku życia ma obowiązek dostosowania polityki inwestycyjnej w taki sposób, aby zapewniała właściwe bezpieczeństwo powierzonych środków.

W ustawie szczegółowo zostały opisane reguły inwestowania w zależności od wieku uczestnika. Dla przykładu w przypadku osób, które nie ukończyły jeszcze 40 lat, w części udziałowej (akcje, jednostki uczestnictwa funduszy

eprasa.pl de79146524

inwestycyjnych etc.) może być zainwestowanych 60–80 proc. oszczędności, a w części dłużnej (obligacje, bony skarbowe, certyfikaty depozytowe etc.) – 20–40 proc. Z kolei po osiągnięciu przez uczestnika PPK 60. roku życia w części udziałowej może być zainwestowanych maksymalnie 15 proc., a w części dłużnej minimum 85 proc. środków.

Trzeba jednak pamiętać, że inwestowanie zawsze wiąże się z ryzykiem – oszczędności zgromadzone w PPK nie są więc gwarantowane.

BEZPIECZNIE I TANIO

Aby zaoszczędzone w programie pieniądze były jeszcze bezpieczniejsze, nadzór nad PPK będzie jednak sprawować Komisja Nadzoru Finansowego. A instytucje finansowe, aby móc zarządzać środkami gromadzonymi w PPK, muszą spełnić wiele określonych ustawowo wymogów. Środkami w PPK będą mogły zarządzać fundusze inwestycyjne zarządzane przez towarzystwa funduszy inwestycyjnych, fundusze emerytalne zarządzane przez powszechne towarzystwa emerytalne albo pracownicze towarzystwa emerytalne, a także zakłady ubezpieczeń.

Konkretną instytucję finansową, na którą będą wpłacane pieniądze w ramach programu, wybiera pracodawca z listy instytucji, które zostały wpisane do ewidencji PPK na stronie www.mojePPK.pl. Takiego wyboru pracodawca dokonuje w porozumieniu z działającym w firmie związkiem zawodowym, a jeśli w danym przedsiębiorstwie nie działają żadne związki, to w porozumieniu z reprezentacją osób zatrudnionych, wyłonioną w trybie przyjętym u danego pracodawcy.

Co istotne, ustawodawca zadbał o to, aby Pracownicze Plany Kapitałowe były programem nie tylko dobrowolnym i przyjaznym pracownikom, lecz także tanim w obsłudze. Wynagrodzenie za zarządzanie funduszem inwestycyjnym, funduszem emerytalnym lub subfunduszem, w których lokowane będą środki w ramach PPK, nie może być wyższe niż 0,5 proc. wartości aktywów netto w skali roku. Całkowity limit opłat pobieranych przez instytucje finansowe wynosi zaś 0,6 proc. wartości aktywów netto.

W przypadku zmiany pracy nowy pracodawca przekazuje wpłaty na wybrany przez niego rachunek. Dla pracownika zostanie z kolei utworzony kolejny rachunek PPK. Zgromadzone wcześniej pieniądze można zostawić na rachunku w starej instytucji (osoby, które często zmieniają pracodawcę, mogą więc mieć kilka rachunków PPK) lub też zdecydować o przeniesieniu wszystkich oszczędności do nowej instytucji finansowej.

JAK WYPŁACIĆ PIENIĄDZE?

O tym, ile pieniędzy udało się już zaoszczędzić w ramach PPK, informować będą uczestników instytucje finansowe zarządzające ich rachunkiem. Zgodnie z ustawą taka informacja powinna być przekazywana w terminie do ostatniego dnia lutego każdego roku, choć można przewidywać, że uczestnicy będą mieć stały podgląd swoich rachunków w Internecie.

Oszczędności zgromadzone w ramach PPK będzie można najkorzystniej wypłacić po osiągnięciu 60. roku życia (dotyczy to zarówno kobiet, jak i mężczyzn, a także osób, które już nie pracują, oraz tych, które nadal są aktywne zawodowo).

0,6 proc.

WARTOŚCI AKTYWÓW NETTO – TYLE WYNOSI CAŁKOWITY LIMIT OPŁAT POBIERANYCH PRZEZ INSTYTUCJE FINANSOWE

Uczestnik programu PPK, który ukończył już 60 lat, będzie miał kilka możliwości:

– wypłacić pieniądze w ratach;

– wypłacić całość oszczędności jednorazowo;

– kontynuować oszczędzanie w ramach PPK (można wówczas nadal dokonywać wpłat, ale nie ma już takiego obowiązku);

– dokonać wypłaty transferowej na polisę w zakładzie ubezpieczeń z prawem do świadczenia okresowego lub dożywotniego lub na rachunek terminowej lokaty oszczędnościowej z założeniem, że wypłata tych środków może się odbyć tylko na zasadach opisanych w ustawie.

Domyślna forma wypłaty oszczędności – która daje możliwość skorzystania ze zwolnienia z podatku od zysków kapitałowych – przewiduje wypłatę 25 proc. oszczędności jednorazowo i rozłożenie pozostałej kwoty na minimum 120 comiesięcznych rat. Można też rozłożyć zgromadzone pieniądze np. na 240 czy 360 rat. W przypadku, gdy uczestnik PPK zdecyduje się na wypłatę od razu całości zgromadzonych środków, będzie musiał zapłacić podatek od zysków kapitałowych.

NA DOM LUB NA LECZENIE

A czy można pieniądze wypłacić przed ukończeniem 60. roku życia? Tak. Ustawodawca przewidział możliwość wypłaty zgromadzonych w PPK oszczędności przez młodszych uczestników, ale tylko w dwóch sytuacjach. Pierwsza to poważne zachorowanie uczestnika, jego małżonka lub dziecka (wypłata do wysokości 25 proc. zgromadzonych oszczędności bez obowiązku zwrotu).

Druga sytuacja to konieczność pokrycia wkładu własnego w związku z zaciągnięciem kredytu na sfinansowanie budowy domu lub zakup mieszkania. Z tej możliwości będą mogły skorzystać wyłącznie osoby przed ukończeniem 45 lat. W takim przypadku można wypłacić z rachunku PPK nawet 100 proc. zebranych środków. W przyszłości trzeba je jednak wpłacić z powrotem na konto PPK – istnieje przy tym możliwość rozłożenia takiego zobowiązania na nieoprocentowane raty spłacane przez okres do 15 lat.

ZWROT I PODZIAŁ

Pieniądze zgromadzone w PPK stanowią prywatną własność ich uczestników, co jest wyraźnie zapisane w ustawie. Zebrane w programie oszczędności są dziedziczone. Każdy uczestnik PPK w dowolnym momencie może też zrezygnować z dalszego udziału w programie i zażądać zwrotu środków. W takim przypadku otrzyma on z powrotem w całości środki, które sam wpłacił na konto PPK, potrącone o 30 proc. wpłat od pracodawcy oraz całość środków pochodzących z dopłaty powitalnej i dopłat rocznych od państwa. Dlaczego potrącane jest 30 proc. wpłat od pracodawcy? Wpłaty te były zwolnione ze składek na ubezpieczenia emerytalne i rentowe. Pobrane 30 proc. oszczędności zapisywane jest więc jako składka na ubezpieczenie emerytalne w ZUS.

Warto też pamiętać, że pieniądze zgromadzone w ramach PPK w razie rozwodu podlegają podziałowi (w przypadku osób, które mają wspólność majątkową).

Więcej informacji na temat programu można znaleźć na www.mojePPK.pl.

eprasa.pl de79146524

Katarzyna Pinkosz

Wiele dzieje się w Polsce w kardiologii i onkologii, czas na zmiany w opiece nad chorymi na cukrzycę typu 2 – podkreślali uczestnicy debaty „Do Rzeczy" pt. „Cukrzyca 2019, zapobiec powikłaniom i przedwczesnym zgonom"

Rok zmian w cukrzycy?

Liczba chorych na cukrzycę typu 2 w Polsce jest trudna do ustalenia, gdyż nawet jedna trzecia nie wie, że ją ma. Przez wiele lat przebiega skrycie, nie dając objawów. – Rozpoznajemy cukrzycę u 20–30 proc. pacjentów hospitalizowanych w naszej klinice z innych powodów. Nie wiedzieli, że chorują – potwierdza dr n. med. Marek Maciejewski, kierownik Kliniki Kardiologii i Wad Wrodzonych Dorosłych Instytutu-Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. – Nasze dane opieramy na liczbie osób, które kupowały paski do mierzenia poziomu glukozy lub leki przeciwcukrzycowe. W 2013 r. było to 2,2 mln osób, w 2018 – ponad 2,8 mln. W ciągu pięciu lat mamy więc wzrost o ponad 600 tys. osób. Być może poprawiła się nieco wykrywalność, widać jednak, że mamy ewidentny wzrost zachorowań – mówi Andrzej Niedzielski, wiceprezes NFZ.

Eksperci podkreślają, że cukrzyca typu 1 jest w Polsce dobrze leczona. – Dzieci i młodzież do 26. roku życia mają refundowane osobiste pompy insulinowe i systemy do ciągłego monitorowania glikemii. Został uczyniony duży krok, brakuje jeszcze refundacji szybkich insulin najnowszej generacji, które pozwoliłyby na lepsze wyrównanie poziomu glikemii oraz systemu flash pozwalającego monitorować glikemię za pomocą skanowania. Konieczna jest też refundacja osobistych pomp insulinowych i systemu ciągłego monitorowania glikemii dla chorych po 26. roku życia, bo cukrzyca się wtedy nie kończy – mówi Monika Zamarlik, prezes Ogólnopolskiej Federacji Organizacji Pomocy Dzieciom i Młodzieży Chorym na Cukrzycę. W dużo trudniejszej sytuacji są chorzy z cukrzycą typu 2, która stanowi ok. 90 proc. przypadków. – Trzeba przestać traktować ją tylko jako chorobę metaboliczną. Cukrzyca prowadzi do zgonów: Światowa Organizacja Zdrowia uznała cukrzycę za siódmą w kolejności przyczynę zgonów na świecie. Według GUS w 2017 r. w Polsce zmarło 8781 osób z powodu hiperglikemii lub hipoglikemii, czyli za wysokiego lub zbyt niskiego poziomu cukru. Dodatkowo co roku 26 tys. osób umiera z powodu powikłań cukrzycy, z których 70 proc. to powikłania sercowo-naczyniowe, głównie zawały serca i udary mózgu – potwierdza dr n. med. Jakub Gierczyński, ekspert od systemu ochrony zdrowia.

Podwyższony poziom cukru systematycznie niszczy naczynia krwionośne.

eprasa.pl de79146524

Uczestnicy debaty „Do Rzeczy": lekarze, eksperci od systemu ochrony zdrowia, przedstawiciele pacjentów i administracji państwowej rozmawiali z wiceministrem Maciejem Miłkowskim, jak zapobiec powikłaniom i przedwczesnym zgonom z powodu cukrzycy FOT. PROFESJONALNA.TV

– Stają się kruche, słabe, a przez to mniej ukrwione i niedotlenione są poszczególne narządy – obrazowo mówi Ewa Tomaszewska, posłanka PiS, która od wielu lat zmaga się z cukrzycą typu 2. Powikłania to przede wszystkim: miażdżyca, zawały serca, udary mózgu, a także pogorszenie widzenia prowadzące do ślepoty, niewydolności nerek, zespołu stopy cukrzycowej.

OCALIĆ SERCE I ŻYCIE

– U mężczyzn chorych na cukrzycę dwukrotnie, a u kobiet prawie trzykrotnie szybciej rozwija się miażdżyca prowadząca do zawału serca i udaru mózgu. Te dane są przerażające, bo to oznacza, że w ciągu 10 lat kobieta chora na cukrzycę starzeje się o 26 lat – podkreśla dr Maciejewski. Chory powinien być wcześnie zdiagnozowany, a potem objęty opieką. Ważne są: zmiana diety, aktywność fizyczna i odpowiednie leczenie. – Skrupulatne przestrzeganie zaleceń lekarskich jest istotne, pacjent często potrzebuje porady edukacyjnej, dlatego chcemy stworzyć nowe zawody medyczne, m.in. edukatora cukrzycowego, a także wycenić pielęgniarską poradę diabetologiczną – zapewnia wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski.

Cukrzyca jest chorobą postępującą; gdy przestają wystarczać leki stosowane w pierwszym rzucie, trzeba do nich dołączyć kolejne, o innym mechanizmie działania. Od wielu lat problemem w Polsce jest brak refundacji coraz powszechniej stosowanych w innych krajach leków z grupy inkretyn i flozyn. Niektóre z nich oprócz tego, że obniżają poziom cukru – i to w sposób inteligentny, nie doprowadzając do hipoglikemii – to jeszcze zmniejszają ryzyko powikłań, zwłaszcza sercowo-naczyniowych, a także ryzyko zgonów. – Zostało to wielokrotnie udowodnione w badaniach klinicznych, dlatego leki te zostały oficjalnie wymienione w zaleceniach amerykańskiego, europejskiego, a także polskiego towarzystwa diabetologicznego. Początkowo zalecenia były bardzo ostrożne, jednak po ukazaniu się wyników badań w zaleceniach znajdują się konkretne leki, wymieniane z nazwy. W Polsce zależałoby nam na tym, żeby móc je stosować przynajmniej u tych chorych, którzy są zagrożeni zawałem serca, udarem mózgu – przekonuje prof. Edward Franek, kierujący Kliniką Chorób Wewnętrznych, Endokrynologii i Diabetologii CSK MSWiA. – Nie muszą być stosowane u wszystkich chorych na cukrzycę. Szacuje się, że byłoby to wskazane u ok. 20 tys. pacjentów rocznie, którzy mają wysokie ryzyko sercowo-naczyniowe – ocenia dr Jakub Gierczyński.

O tym, że niektóre leki są skuteczniejsze, dobrze wiedzą też pacjenci. – Coraz więcej osób jest świadomych, że są nowoczesne rozwiązania, niestety nierefundowane. Chorzy pytają dlaczego. Nie chcą być ciężarem ani dla społeczeństwa, ani dla rodzin, a powikłania cukrzycy to ogromny dramat. Czują, że państwo o nich zapomina, pomija – mówi Anna Śliwińska, prezes zarządu głównego Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków.

Inkretyny i flozyny były ocenione przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. – Nowe terapie oceniamy pod trzema względami: bezpieczeństwa, efektywności i wpływu na budżet. Opieramy się na wynikach badań klinicznych, dlatego dla niektórych tych leków już wydawaliśmy pozytywne rekomendacje. Często jednak były to rekomendacje warunkowe z powodu wysokich kosztów dla budżetu – zaznacza Roman Topór-Mądry, prezes AOTMiT. Podkreśla jednak, że ich stosowanie byłoby wskazane u chorych zagrożonych udarem mózgu czy zawałem serca.

Co do wyższej skuteczności wielu nowych terapii nie ma również wątpliwości wiceminister Maciej Miłkowski. – Jest to udowodnione, jednak pamiętajmy, że refundowanie nowych leków wiązałoby się z istotnym wyższym kosztem. Dlatego staramy się określić grupy pacjentów, którym terapie najbardziej by pomogły, i negocjujemy ceny z firmami. Mam nadzieję, że w tym roku uda nam się wprowadzić do refundacji kilka nowych rozwiązań – mówi wiceminister Miłkowski, zapewniając, że negocjacje z firmami dotyczą nowych rodzajów insulin, systemów do ciągłego monitorowania glikemii w cukrzycy typu 1 oraz nowych terapii w cukrzycy typu 2.

ZATRZYMAĆ EPIDEMIĘ

Jeśli jako kraj nie zahamujemy liczby zachorowań, to nie poradzimy sobie z kosztami leczenia cukrzycy i jej powikłań. – W wieku trzydziestu kilku lat stwierdzono u mnie stan przedcukrzycowy i nadwagę. Lekarz zasugerował, że muszę się za siebie wziąć. Od tego czasu staram się promować zdrowy tryb życia, przede wszystkim aktywność fizyczną. Ja biegam – przyznaje wiceprezes Adam Niedzielski. Podkreśla, że dużym zainteresowaniem cieszą się akcje profilaktyczne prowadzone przez NFZ, takie jak „Nie cukrz" – promująca zmianę postaw żywieniowych. Wiele jest też prozdrowotnych programów samorządowych, które starają się edukować i pomagać w zmianie stylu życia. – Staramy się, by były to nie wyłącznie kampanie edukacyjne, ale żeby również pomagały w faktycznym dokonywaniu zmian w trybie życia, włączały samorządy, lekarzy, pielęgniarki, szkołę – podkreśla prezes Roman Topór-Mądry.

Powinna zmienić się też postawa społeczeństwa w stosunku do chorych. – Nie namawia się kierowcy do wypicia kieliszka alkoholu, tymczasem chorego na cukrzycę wciąż namawia się na ciasteczko i uważa za afront, jeśli nie spróbuje – mówi posłanka Ewa Tomaszewska.

Zmiana nawyków i edukacja są ważne, ale ciężko chorym potrzebne są też opieka i właściwe leczenie. – Z punktu widzenia pacjenta optymalne by było mieć zarówno edukację, opiekę, jak i skuteczne leki, które dziś są nierefundowane. Przeciętny pacjent, który ma powikłania, jest schorowany, na emeryturze i nie jest w stanie zapłacić sam za te nowe leki – podkreśla prof. Franek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

debata DO RZECZY

FOT. ADOBE STOCK

Wzmacniamy serca

Duszność – początkowo tylko przy większym wysiłku fizycznym, potem po coraz mniejszym, jak choćby wejście po schodach na piętro: to mogą być objawy niewydolności serca (NS). Chorzy przyzwyczajają się do nich i często nawet nie idą do lekarza, dlatego choroba zwykle pozostaje długo niezdiagnozowana. W bardziej zaawansowanych stadiach chory nie jest w stanie przejść z jednego do drugiego pokoju, a nawet ma trudność ze złapaniem oddechu, gdy leży w łóżku.

Na niewydolność serca choruje dziś w Polsce już nawet między 800 tys. a milionem osób, a prognozuje się, że będzie ich jeszcze więcej. 60 tys. co roku umiera. Do choroby prowadzą m.in. nieleczone lub nieprawidłowo leczone nadciśnienie, miażdżyca, niedoleczone infekcje grypowe, które uszkadzają serce. – Ratujemy życie wielu osób po zawale, to bardzo cieszy, jednak powikłaniem zawału często jest niewydolność serca – zwraca uwagę prof. Jadwiga Nessler, kierownik Kliniki Choroby Wieńcowej i Niewydolności Serca Collegium Medicum UJ, pełnomocnik zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego (PTK) ds. niewydolności serca.

ZE SZPITALA DO... SZPITALA

Kardiolodzy nazywają NS epidemią początku XXI w. Jest problemem w całej Europie, jednak w Polsce choroba dotyka osób w młodszym wieku niż w innych krajach. – Mimo że nasz styl życia się zmienia, to jednak Polacy częściej mają czynniki ryzyka prowadzące do chorób serca, takie jak mała aktywność fizyczna, palenie papierosów, nieprawidłowa dieta. 60 proc. dorosłych ma zbyt wysoki poziom cholesterolu, a 30 proc. nadciśnienie, które zaledwie u 30 proc. jest leczone zgodnie z normami. A tylko 8 proc. leczonych z powodu zbyt wysokiego poziomu cholesterolu osiąga zalecane wartości – mówi dr Paweł Balsam z I Katedry i Kliniki Kardiologii WUM.

Choroba skraca życie i pogarsza jego jakość, ale jest też ogromnym obciążeniem dla finansów publicznych. Z raportu „Ocena kosztów niewydolności serca w Polsce z perspektywy gospodarki państwa" Instytutu Innowacyjna Gospodarka wynika, że w Polsce na diagnostykę i leczenie niewydolności serca wydaje się 3,2 proc. wszystkich środków NFZ. Aż 90 proc. tych wydatków stanowi leczenie szpitalne. – Jesteśmy jedynym krajem w Europie, który tyle wydaje na hospitalizacje. Z powodu niewydolności serca mamy ich dwa razy więcej niż np. w Anglii – mówi prof. Nessler.

Pacjenci z zaostrzeniem choroby trafiają do szpitala, są leczeni, wychodzą do domu. Niestety, ponad połowa z nich szybko znów jest hospitalizowana. – 25 proc. pacjentów wraca do szpitala, a 11 proc. umiera w ciągu miesiąca od hospitalizacji – mówi dr Renata Główczyńska z kliniki kardiologii WUM. – Wydatki NFZ na leczenie niewydolności serca związane są głównie z hospitalizacją, czyli najdroższą formą leczenia. Do kosztów choroby trzeba doliczyć też to, że chorzy

eprasa.pl de79146524

na niewydolność serca często muszą rezygnować z pracy, przechodzą na zasiłki, renty – dodaje dr Główczyńska.

PACJENT ZAOPIEKOWANY...

Przyczyną częstych nawrotów choroby jest późne rozpoznanie, gdy NS jest mocno zaawansowana, i brak właściwej opieki. Pacjent wypisany ze szpitala często jest pozostawiony sam sobie. Zanim doczeka na wizytę u kardiologa, pojawia się kolejne zaostrzenie. Poprawić sytuację chorych mają programy koordynowanej opieki: KOS (nad chorymi po zawale serca) i startujący właśnie pilotaż KONS (nad chorymi z niewydolnością serca). Oba zostały przygotowane przez Polskie Towarzystwo Kardiologiczne we współpracy z Ministerstwem Zdrowia.

– KONS jest adresowany do pacjentów wypisywanych ze szpitala do domu oraz do chorych ze świeżo rozpoznaną niewydolnością serca. Chcemy, by chory był szybciej diagnozowany i lepiej leczony, co przełoży się na mniejszą liczbę hospitalizacji i poprawę rokowania. Dzisiaj część pacjentów, zwłaszcza z zaawansowanymi postaciami NS, umiera po trzech–czterech latach. Chcemy to zmienić – zaznacza prof. Nessler.

Role koordynatorów w opiece nad osobami z NS mają odgrywać lekarze kardiolodzy – będą oni ściśle współpracować z lekarzami podstawowej opieki zdrowotnej (POZ), pod których nadzorem mają znajdować się pacjenci w stanie stabilnym. W razie zaostrzenia choroby lekarze POZ będą mogli skierować pilnie pacjenta do opieki specjalistycznej lub do szpitala w celu wykonania badań lub niezbędnych specjalistycznych interwencji, np. wszczepienia kardiowertera-defibrylatora. Pilotaż KONS jest zaplanowany na dwa lata. Jeśli ten model opieki sprawdzi się, będzie wprowadzany w całej Polsce. Już obecnie jest tworzona sieć ośrodków koordynujących, m.in. w Warszawie, Krakowie, Zabrzu, we Wrocławiu, w Poznaniu.

Oprócz skoordynowanej opieki nad pacjentem konieczne jest też właściwe leczenie: zarówno farmakologiczne, jak i – w bardziej zaawansowanych stadiach – możliwość przeprowadzenia zabiegów interwencyjnych.

... I WYEDUKOWANY

Koordynowana opieka, skuteczne leki, dostęp do nowych technologii – wszystko to na pewno poprawi sytuację pacjentów, choć nie można zapominać, że na swój stan zdrowia pracujemy w dużej mierze sami: dietą, aktywnością fizyczną, stylem życia. – Kluczowa jest świadomość pacjenta; ma on lepsze wyniki leczenia, gdy jest wyedukowany – zaznacza Marek Kustosz z fundacji Serce dla Kardiologii, która stara się edukować pacjentów, jaką powinni stosować dietę, jak ważny jest wysiłek fizyczny. Również Polskie Towarzystwo Kardiologiczne opracowało stronę z poradami dla pacjentów: slabeserce.pl. – Wyedukowani pacjenci stają się partnerami lekarzy, a wtedy efekty terapeutyczne są znacznie lepsze – potwierdza prof. Nessler.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Jadwiga Nessler, pełnomocnik zarządu głównego PTK ds. niewydolności serca:

W Polsce bardzo dobrze leczymy zawały serca, jednak jeszcze kilka lat temu nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak palącym problemem stanie się niewydolność serca. Za sprawą profilaktyki musimy spowodować, że nie będą rozwijać się w takim stopniu schorzenia sercowo-naczyniowe. Dzięki programowi KONS, nowym technologiom lekowym i nielekowym oraz edukacji pacjentów możemy zmienić przebieg choroby. Możemy zahamować epidemię, jednak muszą to być długofalowe działania.

dr n. med. Paweł Balsam, I Katedra i Klinika Kardiologii, Warszawski Uniwersytet Medyczny:

Niewydolność serca powoduje śmiertelność dwa razy większą niż rak piersi. W ciągu pięciu lat od rozpoznania 50 proc. chorych umiera. Tak więc jest to choroba, która często przynosi większe żniwo niż wiele typów nowotworów.

dr n. med. Renata Główczyńska, Polskie Towarzystwo Kardiologiczne:

Mówimy o dobrym leczeniu jako inwestycji, jednak bardziej właściwe byłyby słowa o „planowaniu oszczędności" związanych ze zmniejszeniem liczby hospitalizacji, konieczności wykonywania drogich procedur medycznych, nieobecności w pracy, rent. Bilans skutecznego leczenia i dobrej opieki jest opłacalny w dość krótkiej perspektywie czasowej.

Marek Kustosz, fundacja Serce dla Kardiologii:

Głos pacjentów często nie był słyszalny, ponieważ chory nie jest w stanie walczyć o zmiany systemowe, gdy ma problem z przejściem z jednego do drugiego pokoju. Pacjenci dziś zwracają uwagę na potrzebę szybkiej diagnostyki i opieki po wyjściu ze szpitala. Liczą, że to się zmieni, a także że pojawią się innowacyjne leki oraz edukacja dotycząca profilaktyki pierwotnej i wtórnej.

Objawy niewydolności serca:

- nadmierna męczliwość,
- duszność wysiłkowa lub spoczynkowa,
- obrzęki kończyn dolnych.

- **1,73 mld zł rocznie** – to wydatki związane z diagnozowaniem i leczeniem NS.
- **Co czwarty chory** wraca do szpitala przed upływem 30 dni od wypisu.
- **11 proc. pacjentów** umiera w ciągu pierwszego roku po hospitalizacji.
- **Tylko 23 proc. pacjentów** z niewydolnością serca w wieku przedemerytalnym pracuje.

Źródło: Niewydolność serca w Polsce – raport 2016. Materiały informacyjne Sekcji Niewydolności Serca PTK

Debata: „Leczenie niewydolności serca – wyzwanie na 2019 rok" została zorganizowana dzięki współpracy z firmą Novartis Poland.

NOVARTIS

PL1902964133

eprasa.pl de79146524

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ADOBE STOCK

Z Marcinem Czechem, twórcą Polityki Lekowej Państwa i byłym wiceministrem zdrowia
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Potrzebujemy

prof. nadzw. Marcin Czech *– lekarz, farmakoekonomista, wiceminister zdrowia w latach 2017–2019, twórca Polityki Lekowej Państwa, trzeci na liście 100 najbardziej wpływowych ludzi systemu ochrony zdrowia 2018.*

KATARZYNA PINKOSZ: Chcemy być dobrze i skutecznie leczeni. Jednak czy ważne jest to, żeby leki, które stosujemy, były tworzone w Polsce? Polski przemysł farmaceutyczny powinien być wspierany przez państwo?

PROF. NADZW. MARCIN CZECH: Powiedziałbym, że polski przemysł farmaceutyczny radzi sobie bardzo dobrze w Polsce, w coraz większej liczbie krajów naszego regionu, a w tej chwili rozwija ekspansję na nowe rynki, np. wietnamski w przypadku przedsiębiorstwa Adamed czy rosyjski, na którym bardzo dobrze radzi sobie Polpharma. Gdy stworzy mu się dobre warunki, ma szansę być bardzo konkurencyjny. Polski przemysł farmaceutyczny ma znakomitą kadrę menedżerską, dobrą strukturę. Wydaje mi się, że nie wymaga akcji ratunkowych. Jeśli biznesowi się nie przeszkadza, tylko stwarza długookresowo stabilne warunki, to doskonale sam sobie radzi.

Polscy producenci często skarżą się na brak przewidywalności, stabilności i brak Refundacyjnego Trybu Rozwojowego, którego pomysł pojawił się w 2015 r. Miał wspierać firmy farmaceutyczne inwestujące w Polsce. Do dziś nie udało się wdrożyć RTR.

RTR, czyli Refundacyjny Tryb Rozwojowy – czy ITR, to znaczy Innowacyjny Tryb Rozwojowy, jak go nazwałem – ma stwarzać preferencje dla firm inwestujących w Polsce. To zarówno firmy polskie, jak i mające kapitał obcy. Obecnie trudno nawet powiedzieć, do kogo należy dana firma; akcjonariusze i ich kapitał mogą pochodzić z różnych krajów. ITR ma wspierać firmy, które inwestują w Polsce, mają tu swoje fabryki, ale też dzielą się wiedzą, pracują razem z polskimi naukowcami. ITR powinien dotyczyć wszystkich firm działających na terenie Polski. To zestaw preferencji w obszarze gospodarczym.

eprasa.pl de79146524

leków z Polski?

Pomysł RTR pojawił się w 2015 r. Dlaczego przez blisko cztery lata nie udało się go wdrożyć?

Ja odpowiadam za swoje półtora roku bycia wiceministrem. Doceniam wysiłki wiceministra Krzysztofa Łandy, który model RTR wymyślił i rozwinął. Korzystałem z jego pomysłów, miałem też swoje doświadczenia podczas prac nad Polityką Lekową Państwa, którą tworzyliśmy na podstawie wytycznych Światowej Organizacji Zdrowia. Była recenzowana przez trzech niezależnych recenzentów wskazanych lub pracujących w WHO i wszystkie te recenzje odradzały mi, jako wiceministrowi zdrowia odpowiedzialnemu za udostępnianie terapii dla pacjentów, umieszczanie informacji dotyczących preferencji gospodarczych w polityce lekowej. Nie posłuchałem tych opinii, gdyż uważałem, że dla Polski takie regulacje są ważne. Próbowałem je nawet częściowo wdrażać, jednak Ministerstwo Zdrowia zapewnia pacjentom leczenie, dlatego nie mogę dawać jakichkolwiek ulg finansowych czy zachęt gospodarczych przemysłowi, z którym walczę o najlepsze warunki finansowe dla pacjentów i budżetu, to znaczy staram się obniżyć koszty leków.

Udało nam się obniżyć wiele cen leków, zarówno firm globalnych, jak i polskich. Uważałem, że stoję na straży pacjenta, a w tym przypadku każda złotówka „wyrwana" przemysłowi farmaceutycznemu oznacza dodatkowe finansowanie opcji terapeutycznych dla chorych. Taka jest rola Ministerstwa Zdrowia, stwarzanie zaś impulsów gospodarczych dla polskich firm to rola ministerstwa odpowiedzialnego za procesy gospodarcze, czyli obecnie Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii, oraz pani minister Jadwigi Emilewicz. Oni rozwijają ten projekt w obszarze regulacji gospodarczych.

RTR (lub ITR) ma szansę wejść w tym roku?

Wiem, że został rozstrzygnięty przetarg w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii. Konsorcjum złożone z kancelarii prawnej i firmy analitycznej ma zaproponować konkretne propozycje, jak takie wsparcie dla firm inwestujących w Polsce mogłoby wyglądać.

Na preferencje mogłyby liczyć wszystkie firmy, zarówno innowacyjne, jak i generyczne, a warunkiem byłoby to, że inwestują w Polsce?

Tak, zresztą podobnie to działa w innych krajach. Francuzi, Niemcy również premiują swoje firmy, mimo że nie mają takich formalnych zapisów. Nie widzę powodu, dlaczego Polska miałaby nie premiować działalności innowacyjnej. Inne kraje robią to nawet bardziej brutalnie, np. w Algierii w pewnym momencie warunkiem refundacji leku było to, że fabryka danej firmy musiała znajdować się na terenie kraju. Z kolei Rosjanie, jeśli lek ma być u nich refundowany, oczekują, że badania dotyczące jego stosowania będą wykonywane w ich kraju.

Może więc w Polsce też powinny być tak mocne preferencje, bo to zachęca firmy do inwestowania.

Jestem lekarzem i ekonomistą. Jako wiceminister zdrowia patrzyłem z perspektywy pacjenta, zapewnienia mu najlepszej i najtańszej terapii, oraz płatnika, aby dobrze gospodarować ograniczonymi zasobami publicznymi. Jako ekonomista premiowałbym firmy inwestujące w Polsce, bo to oznacza płacenie podatków, tworzenie miejsc pracy, eksport, czyli wszystko to, co jest ważne dla polskiej gospodarki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Strategiczne dla gospodarki

Z raportu „Zdrowy przemysł. Reindustrializacja krajowej branży farmaceutycznej", przygotowanego przez Polski Związek Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego, wynika, że firmy produkujące w Polsce powinny znaleźć się na liście branż strategicznych dla polskiej gospodarki, a polityka wobec nich powinna polegać na inteligentnym wsparciu.

Przegramy z azjatycką konkurencją

KRZYSZTOF KOPEĆ, ***prezes zarządu Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego***

Polski rynek farmaceutyczny w Polsce rośnie. W 2018 r. jego wartość wyniosła 34 mld zł – czyli o 2,4 proc. więcej niż w 2017 r. Taki wzrost powinien pozwolić naszej branży na rozwój. Jednak ciągła presja na obniżki cen doprowadza do sytuacji kuriozalnych, w których wytwórca zastanawia się, czy produkcja będzie dalej opłacalna. Niektóre leki krajowych producentów są droższe od zagranicznych, ale inne znacznie tańsze. Do 75 proc. refundowanych opakowań naszych leków pacjenci nie dopłacają więcej niż 10 zł, a średnie nasze ceny są o jedną czwartą niższe niż odpowiedników zagranicznych. Nie da się w Polsce produkować taniej. Zwłaszcza że koszty produkcji rosną – te związane z zatrudnieniem oraz wynikające z nowych regulacji, np. serializacji. Wdrożenie dyrektywy fałszywkowej kosztuje nas dziesiątki milionów złotych.

Oczywiście można kupić leki taniej od zagranicznych producentów. Jednak jest to opłacalne dla państwa? Wspomagamy wówczas rozwój gospodarek azjatyckich, a nie polskiej. W 2019 r. dzięki konkurencji generycznej NFZ zaoszczędzi ponad 100 mln zł. Zlokalizowanie zakładów na terenie kraju obniża ryzyko braku leków. Oznacza też, że firmy płacą tu podatki i zatrudniają pracowników.

Wielkie nadzieje wiążemy z produkcją leków biologicznych, bo obecnie wygasa wiele patentów. Jeśli jednak resort gospodarki nie wprowadzi wytycznych dla komisji negocjującej ceny leków, aby ta brała pod uwagę, kto jest partnerem polskiej gospodarki, i preferowała takich dostawców, przemysł farmaceutyczny w Polsce nie ma szans. Przegra z azjatycką konkurencją.

eprasa.pl de79146524

Z Sebastianem Szymankiem, prezesem zarządu Polpharma BH
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Współtworzymy rozwój polskiej gospodarki

KATARZYNA PINKOSZ: W czasach głębokiego komunizmu byliśmy przekonani, że polskie produkty, w tym leki, nie są tak dobrej jakości jak importowane z Niemiec czy Francji. Dzisiaj taki sąd byłby prawdziwy?

SEBASTIAN SZYMANEK: Zdecydowanie nie, Polska jest częścią UE, produkujemy leki w takim samym standardzie jak wszyscy europejscy producenci, czyli zgodnie z wymogami Dobrej Praktyki Wytwarzania (GMP). Dodatkowo polski inspektorat farmaceutyczny jest bardzo restrykcyjny, dzięki czemu możemy powiedzieć, że leki produkowane w Polsce są najwyższej jakości. W samej Polpharmie odbywa się w ciągu roku prawie 70 audytów. Szczegółowo kontrolowane są nie tylko leki, lecz także substancje farmaceutyczne – jako jedyni w Polsce wytwarzamy bowiem substancje czynne służące do produkcji leków. Poddajemy się także oglądowi zagranicznych inspekcji: np. amerykańskiej Agencji ds. Leków i Żywności (FDA) czy nadzorowi japońskiemu, gdyż substancje produkowane w naszym zakładzie w Starogardzie są podstawą produkcji leków w wielu krajach.

Polpharma jest największym polskim producentem leków i należy do grona 20 największych firm generycznych na świecie. To najlepiej świadczy o tym, jakim zaufaniem obdarzyli nas pacjenci, lekarze i farmaceuci, a my dokładamy wszelkich starań, żeby tego zaufania nie zawieść.

Każdy kraj wysokorozwinięty dba o rozwój własnego przemysłu farmaceutycznego. W Polsce ma on dobre warunki rozwoju?

Zarówno w zdrowiu, jak i w gospodarce trzeba mieć długofalowe plany, ale działać należy już dziś. Kraje wysokorozwinięte zadbały o rozwój przemysłu farmaceutycznego nie tylko ze względu na bezpieczeństwo lekowe, lecz także ze względów gospodarczych. Na przykład udział przemysłu farmaceutycznego w czołowej piątce krajów UE waha się pomiędzy 2–3 proc. PKB. Mamy tu do czynienia z wysoką korelacją między udziałem tego przemysłu a wysokością PKB per capita i efektywnością gospodarki. Jeśli chcemy budować silną gospodarkę, to musi być ona oparta na tych branżach,

eprasa.pl de79146524

które są nowoczesne, innowacyjne i efektywne. Polska niestety nadal ma tu sporo do nadrobienia. Dlatego warto stymulować rozwój produkcji leków w naszym kraju. W tym celu trzeba zachęcać nie tylko polskich producentów, aby więcej inwestowali w badania i rozwój, żeby rozwijali produkcję, lecz także zagranicznych wytwórców, aby budowali w Polsce swoje fabryki, inwestowali w ośrodki badawcze lub nawiązywali współpracę z lokalnymi partnerami posiadającymi nowoczesne zaplecze badawcze i produkcyjne.

Nasz rząd dostrzega potencjał branży. Przemysł farmaceutyczny i biotechnologiczny został wymieniony w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju jako strategiczny, co więcej – w rządowym dokumencie „Polityka lekowa kraju" wyraźnie podkreślono konieczność wsparcia producentów, którzy wytwarzają leki w Polsce.

Jakie instrumenty wsparcia rozwoju rząd wam zaproponował?

Niestety, ten najważniejszy dla nas, czyli dawno obiecywany RTR (Refundacyjny Tryb Rozwojowy), jeszcze nie powstał. Nie wiemy nawet, jakie kryteria będą brane pod uwagę. Nie można jednak powiedzieć, że nic nie zostało zrobione. Przez ostatnie trzy lata prowadzimy dialog, zarówno z Ministerstwem Przedsiębiorczości i Technologii, jak i z Ministerstwem Zdrowia. Pod koniec ubiegłego roku po raz pierwszy w trakcie negocjacji cenowych pytano nas o nasze zaangażowanie w działalność naukowo-badawczą i inwestycyjną. Niestety, wraz z nadejściem nowego roku wszystko się zmieniło, Komisja Ekonomiczna zainteresowana jest wyłącznie ceną. Nie wiemy już, czy rząd planuje wsparcie rozwoju sektora, czy z tego zrezygnował. Przestaliśmy wierzyć w instrumenty wsparcia produkcji farmaceutycznej w Polsce, bo rozmowy trwają już kilka lat, a w roku wyborczym nigdy nie są wprowadzane duże zmiany legislacyjne.

Jakich chcielibyście rozwiązań, które wesprą firmy produkujące w Polsce?

Od dawna postulujemy wypracowanie modelu, który wiąże decyzje refundacyjne z tym, czy firma inwestuje w polską gospodarkę i innowacyjność. Od trzech lat mówi się o RTR, tymczasem wciąż nie ma gotowych rozwiązań. RTR nie miał na celu wsparcia tylko polskich firm, ale firm inwestujących w Polsce, zwłaszcza w innowacyjność. Ponadto, wnioskujemy o zwolnienie ważnych dla gospodarki inwestorów z ryzyka paybacku (firma musi zwrócić część pieniędzy uzyskanych z refundacji, jeśli NFZ wyda więcej, niż jest to zapisane w budżecie na leki). Trudno jest nam zrozumieć logikę tej propozycji, bo po pierwsze to Ministerstwo Zdrowia samodzielnie podejmuje wszystkie decyzje refundacyjne i zarządza tym budżetem, a po drugie to właśnie producenci leków generycznych przynoszą oszczędności, wprowadzając konkurencję i obniżenie cen.

Producenci krajowi produkują leki bardzo korzystne dla budżetu NFZ. Krajowy przemysł farmaceutyczny dostarcza ogółem 44 proc. refundowanych opakowań leków, a kosztuje niecałe 30 proc. kwoty wydawanej na refundację. Na przykładzie Polpharmy wygląda to tak, że średnia cena wprowadzanego przez nas leku do obrotu wynosi 11 zł, a średnia dopłata pacjenta – poniżej 7 zł. Tak więc już dzisiaj nasze ceny są na niskim poziomie w porównaniu z innymi krajami Unii Europejskiej. Nie można oczekiwać, że będziemy produkować taniej, chyba że przeniesiemy produkcję poza Europę, tym bardziej że w wielu krajach oferuje nam się wsparcie w zamian za wytwarzanie tam leków.

Tylko jak wycenić, ile dodatkowych punktów miałaby dostać firma, skoro jedna zainwestuje w fabrykę leków generycznych, a inna prowadzi w Polsce badania kliniczne?

Zgodnie z opinią ekonomistów powinno się postawić na trzy elementy. Pierwszy to wpływ na PKB, drugi – wpływ na zatrudnienie, a trzeci to wpływ na innowacyjność, czyli wartość nakładów na badania i rozwój, badania kliniczne, nakłady na rozwój infrastruktury. Badania kliniczne wymieniamy osobno, bo tu dużo zależy od tego, o jakich badaniach mówimy. Dla przykładu badania trzeciej fazy mogą rzeczywiście wpływać na poprawę standardów leczenia i przynoszą postęp w nowych terapiach, trudno je jednak wiązać z wpływem na innowacyjność polskiej gospodarki, jeśli ten lek nie jest potem produkowany w Polsce.

Oczywiście jako Polpharma jesteśmy żywo zainteresowani wprowadzeniem takich rozwiązań, należymy bowiem do największych inwestorów z branży farmaceutycznej w Polsce. Od prywatyzacji w roku 2000 zainwestowaliśmy ponad 3,2 mld zł w nowoczesne laboratoria i zakłady produkcyjne, linie technologiczne oraz rozwój nowych produktów. Kolejne 2 mld zł zamierzamy przeznaczyć na inwestycje w ciągu najbliższych pięciu lat. Budujemy m.in. nową fabrykę w Duchnicach, rozbudowujemy zakład w Sieradzu, tworzymy centrum doskonałości leków sterylnych w Starogardzie Gdańskim. Takie firmy jak Polpharma wzmacniają siłę polskiej gospodarki, opierając się na kapitale intelektualnym i najnowocześniejszych technologiach. Pokazujemy, że polskie firmy zdecydowały się w Polsce rzetelnie inwestować, i prosimy, by stworzyć takie ramy prawne, które dadzą nam stabilność niezbędną do długofalowego inwestowania.

Inne kraje mocniej wspierają przemysł farmaceutyczny, ktory u nich inwestuje?

W niektórych krajach azjatyckich protekcjonizm jest bardzo silny, włącznie z tym, że lek produkcji krajowej może mieć wyższą cenę niż lek z importu. W krajach UE protekcjonizm też istnieje, tyle że w innej formie. Prawo unijne pozostawia dość dużą swobodę w zakresie decyzji w ochronie zdrowia. Jesteśmy przekonani, że można stworzyć rozwiązania, które będą wspierały nie tylko polskie firmy, lecz także inwestorów zagranicznych, którzy zdecydują się inwestować w Polsce.

Opłacałoby się przenieść produkcję z Polski?

No cóż, na polskim rynku z powodzeniem działa wiele firm, które oferują leki wyłącznie z importu, więc pokusa na dzisiaj jest spora. Koszty produkcji np. w Azji bez wątpienia są i będą niższe. Mam nadzieję jednak, że rządowi uda się wdrożyć stosowne narzędzia mobilizujące inwestorów do pozostania w Polsce, a nawet do przyciągania zagranicznych inwestycji.

Dla gospodarki korzystniejsze jest inwestowanie w leki produkowane w Polsce?

Ośrodek badawczy DeLab z Uniwersytetu Warszawskiego przygotował kalkulację dla branży farmaceutycznej, jaka część złotówki wydanej przez pacjenta na lek wyprodukowany w Polsce trafia do polskiego PKB. Okazuje się, że jeśli wydajemy 1 zł na lek produkowany w kraju, to 78 gr z niego trafia do PKB. Oczywiście, jeśli kupujemy lek importowany, to do PKB trafia 0 zł. Tak więc warto inwestować w skuteczne krajowe leki, bo to nie tylko dobry wybór terapii, lecz także wsparcie naszej polskiej gospodarki.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl de79146524

GRZECHY PIASTÓW

„Dieta” Henryka Brzuchatego

JACEK KOMUDA

Henryk zwany Brzuchatym, najstarszy syn rozbójniczego Bolesława Rogatki, o którym pisałem w jednym z poprzednich felietonów, nie do końca wrodził się w wyrodnego ojca. Można by rzec – na szczęście. Rogatka bowiem słynął zarówno z rycerskiego, jak i awanturniczego trybu życia, czego przykładem były liczne porwania wrogów oraz krewnych, które zresztą były specjalnością Piastów śląskich.

Henryk V jeszcze w 1277 r. razem z ojcem schwytał i uwięził Henryka Probusa, co spotkało się ze zdecydowaną reakcją rycerstwa i zakończyło bitwą pod Stolcem. Młody książę uratował skórę swojemu porywczemu ojcu, wygrywając to starcie. Co więcej, najechał później posiadłości głównego wroga – króla Czech Przemysława Ottokara – pustosząc m.in. Bystrzycę Kłodzką.

Po śmierci ojca przejął jego księstwo legnickie, oddając Jawor i Lwówek braciom – Bolkowi oraz Bernardowi. Wkrótce też, bo w 1281 r., wziął udział w zjeździe zorganizowanym przez księcia wrocławskiego, na którym z kolei Henryk Probus zemścił się, urządzając zasadzkę, zmuszając gości do obietnicy dostarczenia pomocy i ukorzenia się przed jego władzą. Kiedy jednak w 1290 r. Probus zmarł, doszło do dramatycznych wydarzeń. Nieboszczyk przekazał bowiem księstwo wrocławskie Henrykowi III Głogowskiemu, który jednak nie spodobał się mieszczanom i możnym. W stolicy Śląska wybuchł bunt, Głogowczyka wygnano, a na tron powołano Henryka V. Tak też właśnie zaczęła się książęca tragedia.

Wrocławscy możni i patrycjusze sądzili, że wybrany przez nich na wiecu Brzuchaty będzie władcą słabym i uległym. Przeliczyli się; nie tylko rządził samodzielnie, lecz także w dodatku zaczął odsuwać od wpływów wielu dawnych stronników i popleczników Probusa. Jednym z nich był Pakosław Zdzieszyc, którego oskarżono o zbrodnie kryminalne i stracono. Jednocześnie Brzuchaty, chcąc się pokazać jako rycerski władca, pozostawił na swoim dworze syna Pakosława – Lutka. Wkrótce się okazało, że była to decyzja ze wszech miar fatalna.

W tym samym czasie książę toczył walkę z Henrykiem III Głogowskim, który nie zrezygnował z Wrocławia i po kolei odbierał Brzuchatemu kolejne miasta i ziemie. Henryk V stracił tak m.in. Chojnów, Milicz i inne grody, kilkakrotnie uchodził

FOT. WIKIPEDIA

też z zasadzek wroga, który zamierzał w staropiastowski i zarazem śląski sposób wymusić na nim oddanie księstwa. Głogowskiemu udało się w końcu przekupić i przekabacić wspomnianego Lutka, syna Zdzieszyca, który mszcząc się za śmierć ojca, zastawił na Brzuchatego zasadzkę. W listopadzie 1293 r., kiedy książę poszedł do łaźni, napadł go i uprowadził przez Odrę prosto do Sądowla, gdzie oczekiwał już uradowany Głogowczyk. Zaskoczenie było kompletne – kiedy pachołkowie Lutka wpadli do łaźni, towarzysze Brzuchatego byli nadzy i nie mogli się bronić – najwaleczniejszy z nich – który próbował osłaniać księcia, został zabity. Lutek zaś kazał narzucić na księcia lichy płaszcz i wsadzić na konia.

Nie poszła na zdrowie Henrykowi V owa niewola. Henryk III wywiózł go bowiem do Głogowa i osadził w ciężkim więzieniu. Co więcej, poddał go wyrafinowanym torturom – kazał mianowicie zamknąć księcia w ciasnej beczce, zaopatrzonej w dwie kraty – jedną do dopływu powietrza i przyjmowania jedzenia, a drugą – do wypróżniania się. Henryk Brzuchaty nie mógł więc ani stać, ani siedzieć, ani nawet leżeć i przebywał w ciasnocie, męczony bólem i robactwem. Głogowczyk był bezlitosny – spokojnie czekał, aż jeniec się załamie. Dopiero po trzech miesiącach Brzuchaty, nie mogąc wytrzymać męczarni, zgodził się oddać mu bez mała połowę księstwa – a więc m.in. Namysłów, Bierutów, Oleśnicę, Byczynę, Olesno i inne miasta. Co więcej, w zmowie z Głogowczykiem pozostawał, zdaje się, młodszy brat Henryka – Bolko I Jaworski, który nie tylko nie pomógł Henrykowi, lecz także dodatkowo wymusił oddanie południowej części księstwa.

Henryk V Brzuchaty, którego przydomek trzeba by chyba zmienić po tej niewoli na Chudy, wyszedł z opresji jako kaleka i prawdziwy wrak człowieka. Do końca życia obawiał się Głogowczyka i innych książąt, czemu dał wyraz, oddając swoje księstwo pod protekcję papieża. Dodatkowo poprosił brata Bolka o opiekę nad swymi małoletnimi dziećmi, który uczynił to, wszelako w zamian za oddanie mu miasteczka Sobótki. Schorowany i wycieńczony Henryk zmarł 22 lutego roku pańskiego 1296. Szkoda, bo był znany jako człowiek rycerski, aczkolwiek surowy i nieznoszący sprzeciwu. ©℗

eprasa.pl de79146524

SZYBKI DESER JOANNY JABŁCZYŃSKIEJ

Nigdy nie wychodzę z domu bez śniadania, bo to ono daje energię na cały dzień. Często jadam bardzo proste i szybkie śniadania – np. owsiankę, do której dorzucam orzechy, suszone owoce i co tam mam pod ręką, co akurat pasuje do owsianki. Naprawdę nie potrzeba wiele wysiłku, by coś od rana zjeść, a mówienie o braku czasu na przygotowywanie śniadania to tylko wymówki.

Lubię gotować też bardziej skomplikowane rzeczy, ale często to, co najprostsze, a przy okazji szybkie do przyrządzenia, bywa najsmaczniejsze. Tak jest chociażby w przypadku jednego z moich ulubionych deserów. Przygotowuje się go z trzech, czterech składników, a jest przepyszny. Jest dobry dla osób dbających o linię, ale tęskniących za czymś słodkim, bo w tym przypadku cała słodycz deseru pochodzi z owoców lub – ewentualnie – z miodu. To dużo zdrowsze niż zwykły cukier, a jak mówiłam – jest przepyszne.

Składniki:

- awokado
- banan
- sok z cytryny
- miód (opcjonalnie)
- pistacje (opcjonalnie)

Przygotowanie:

Dojrzałe awokado obieramy, dodajemy do niego pół lub całego banana (w zależności jak słodki deser chcemy, banan dodaje słodyczy). Blendujemy i podlewamy odrobiną soku z cytryny. Jeżeli dla kogoś nadal jest za mało słodkie, bo np. banan nie był wystarczająco dojrzały, może dodać miodu. Przekładamy do małego naczynia i schładzamy. Ja nie dodaję miodu, ale czasem lubię posypać deser po wierzchu pokruszonymi pistacjami. Chociaż wersja jedynie z awokado, bananem i sokiem z cytryny też się sprawdza. ©℗

oprac. raw
Joanna Jabłczyńska jest aktorką, piosenkarką, prawniczką.

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zakwas podaj dalej

Przyszła sąsiadka ze słoikiem w ręku. – Chcesz zakwas? – zapytała. Nie miałam planów, aby w najbliższej przyszłości zostać piekarzem. Ale dlaczego nie? – Tu masz dokładny przepis – powiedziała i wręczyła mi kartkę. – To bardzo proste, masz tylko kupić mąkę żytnią 720 i 2000. I tak wciągnęłam się w proceder.

Uznałam, że można spróbować, nie jestem znowu taką debiutantką, jeden epizod z pieczeniem chleba już miałam. Została po nim maszyna, której używaliśmy może przez dwa miesiące. Początkowo to było fascynujące – wrzucić do pojemnika wszystkie składniki, nastawić i do śniadania wyjąć ciepły bochenek. Wprawdzie po tym, jak zaczęłam modyfikować przepisy, to, co znajdowaliśmy w maszynie, nie zawsze przypominało rumiany bochenek pokazany na jej opakowaniu, ale i tak było fajnie. Po jakimś czasie jednak entuzjazm zaczął opadać. – Zjadłbym bagietkę, a nie ciągle ten chleb – jęknął mąż. No i działalność powoli została zarzucona.

FOT. ADOBE STOCK

Teraz możemy przejść do stadium bardziej zaawansowanego. Całkowicie naturalnego.

Tamto pieczywo, chociaż pieczone w domu, było maszynowe i na drożdżach. Na drożdżach! Teraz, jako neofitka zakwasu, nie dopuściłabym, żeby pójść na taką łatwiznę. To tak, jakby porównać ubranie poliestrowe z ubraniem z wełny czy jedwabiu. Jedno i drugie można nosić. Ale jakaż różnica! Pieczywo na zakwasie jest długo świeże i ma ten charakterystyczny środkowoeuropejski kwaskowaty smak (Niemcy, Rosja, Ukraina). Zalety zdrowotne są oczywiste: niski indeks glikemiczny – dobry dla cukrzyków, pomoc w przyswajaniu mikroelementów zawartych w mące: żelaza, cynku, magnezu, fosforu. Zła flora nie wykwitnie nam w brzuchu, bo laktobakterie nie lubią kwaśnego odczynu, który zakwas wytwarza. W końcu zakwas to żywy organizm. Na dowód czego w lodówce słoik z zakwasem zaczął żyć własnym życiem. Pączkująca bąbelkami zawartość opuściła zamknięte naczynie i rozpoczęła wędrówkę po półkach. – Wzięłaś za mały słoik – pouczyła mnie sąsiadka, doświadczona piekarka.

Zagniatanie jest nawet fajne. Ciasto narasta, staje się zwarte i lśniące. Będzie rosnąć w cieple przez kilka godzin w dwóch etapach. Cały proces zajmie kilkanaście godzin.

Smak świeżo wyjętego z pieca bochenka jest nagrodą za tę pracę, ale też zapowiedzią, że działalność piekarnicza będzie miała charakter łańcuszka dobrej woli. Zakwas trzeba zużyć w ciągu 10 dni albo podać dalej znajomym. Wyrok piekarki to dożywocie. Co jest zrozumiałe przy czymś tak fundamentalnym jak chleb. ©℗

eprasa.pl de79146524

NAJSZYBSZY SUV ŚWIATA?

Aż 306 km/godz. Z taką maksymalną prędkością może pędzić bentley Bentayga Speed. Od zera do pierwszej setki SUV Bentleya rozpędza się zaś w zaledwie 3,9 s. Imponujące wyniki są możliwe do osiągnięcia dzięki zamontowaniu pod maską potężnego sześciolitrowego silnika W12 twin-turbo generującego 900 nM momentu obrotowego i o maksymalnej mocy wynoszącej aż 626 KM.

Model, który ma mieć premierę podczas salonu samochodowego w Genewie, według producenta jest „najszybszym SUV-em świata". Do tej pory tytuł też należał do Urusa z włoskiej stajni Lamborghini, który co prawda do pierwszej setki rozpędza się zaledwie w 3,6 s, ale osiąga prędkość maksymalną wynoszącą „jedynie" 305 km/godz.

HYBRYDOWE LAMBORGHINI WYPRZEDANE PRZED PREMIERĄ

Model LB48H – pierwsze hybrydowe auto ze stajni słynnego włoskiego producenta – ma zostać pokazane za pół roku podczas targów samochodowych we Frankfurcie. O samochodzie na razie wiadomo niewiele. Hybrydowe lambo ma bazować na pojeździe koncepcyjnym Terzo Millennio (na zdjęciu). Auto ma napędzać jednostka elektryczna współpracująca z 12-cylindrowym silnikiem o pojemności 6,5 l. Napęd elektryczny ma napędzać przednią oś, a benzynowy tylną. Według niepotwierdzonych danych – podanych przez portal CarScoops – łączna moc ma wynieść 838 KM. Wiadomo też, że produkcja tego modelu hybrydowego Lamborghini ma być ograniczona zaledwie do 63 egzemplarzy. Niestety, mimo prognozowanej na ok. 10 mln zł ceny, na składanie zamówień jest już za późno. Wszystkie auta zostały bowiem wyprzedane.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NOWY WZÓR PRAWA JAZDY

Od 4 marca prawo jazdy będzie wydawane według nowego wzoru. Z dokumentu zniknie wreszcie adres zamieszkania kierowcy. Dzięki temu po przeprowadzce nie będzie już trzeba płacić haraczu za wymianę dokumentu. Zmiany wynikają z wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który w 2017 r. orzekł, że wymaganie dodatkowych opłat (100 zł za dokument i 50 gr tzw. opłaty ewidencyjnej) za wyrobienie blankietu, wynikające np. w sytuacji, gdy lokalne władze zmieniły nazwę ulicy, jest niekonstytucyjne. Dotychczas wydane dokumenty zachowują ważność do końca okresu obowiązywania.

PRZEPIS NA HAMOWANIE

Jedno z najważniejszych rozwiązań w samochodach autonomicznych ma trafić pod strzechy, a dokładniej pod maski wszystkich sprzedawanych w Unii Europejskiej aut. System automatycznego hamowania, który ostrzega kierowcę przed ryzykiem kolizji lub potrącenia pieszego, a w razie potrzeby samodzielnie zatrzymuje samochód, najprawdopodobniej będzie obowiązkowym elementem aut sprzedawanych już od 2022 r. Ostateczna data nie została jednak jeszcze zatwierdzona przez prawodawców. Wiadomo jednak, że system ma działać w mieście (do prędkości 60 km/godz.) i wykrywać zarówno auta, jak i pieszych. Według szacunków Komisji Europejskiej wprowadzenie nowego przepisu może uratować życie tysiącom ludzi rocznie.

TRYB ROMANTYCZNY

Na bardzo nastrojowy pomysł wykorzystania nowoczesnych technologii wpadli projektanci Tesli. W Modelu 3, Modelu S i Modelu X podczas jazdy można uruchomić tryb romantyczny. Po jego włączeniu na dużym ekranie systemu multimedialnego wyświetla się film płonącego kominka, a z głośników zaczynają dochodzić dźwięki nastrojowej muzyki. Jednocześnie – aby podgrzać atmosferę – uruchamia się ogrzewanie. Z oczywistych powodów ze względów bezpieczeństwa nowy tryb będzie można uruchomić wyłącznie na parkingu. ©℗ ***oprac. Jacek Przybylski***

eprasa.pl de79146524

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

PARTNER Poczta Polska

eprasa.pl de79146524

SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ja, „olszewik”!

Zmarł Jan Olszewski. Człowiek dobry, polityk wyjątkowy. I mógłbym teraz sporo opowiedzieć o swoich z nim relacjach, ale nie chcę. Wiem, że najczęściej śmierć ludzi ważnych służy egoizmom żyjących, stąd moja niechęć do składania publicznych świadectw o zmarłych, w tym o Panu Premierze.

Olszewski był dla mnie – a w zasadzie dla tysięcy podobnych do mnie – kimś wielkim, to oczywiste. Ale przecież nie dlatego, że go znałem osobiście! Był politykiem, a więc osobą publiczną, którą znałem przede wszystkim z mediów i lektur. Był ważny, bo uosabiał dokładnie te ideały – antykomunizmu, siły woli i charakteru, autorytetu i niezłomnego przywiązania do imponderabiliów – w które wierzyłem od lat szczenięcych. Byłem radykałem z Federacji Młodzieży Walczącej, tej jej części, która kontestowała Okrągły Stół i wybory z 4 czerwca 1989 r. W III RP wchodziłem więc bez wiary. W zasadzie bez wiary w jakąkolwiek swoją reprezentację, bo wszyscy, którym ufałem – Romuald Szeremietiew, Kornel Morawiecki i Wojciech Ziembiński – byli na bocznym torze polityki, stając się u zarania nowej Polski politycznym planktonem. Ziembiński – pamiętam to dobrze – opowiadał nam o szlachetnym niepodległościowcu Olszewskim, ale też jakoś bez wiary, twierdząc, że w zderzeniu z „okrągłostołowiczami” – Wałęsą czy Kaczyńskimi – będzie pozbawiony większych szans.

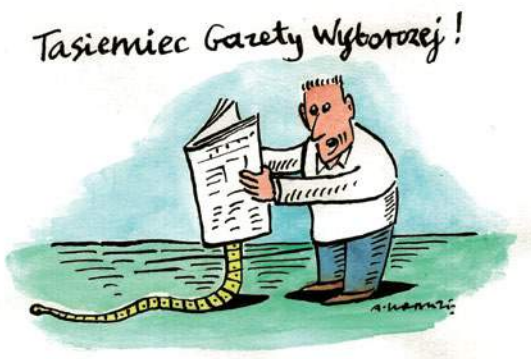

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Jednak w mojej świadomości Jan Olszewski zaistniał na dobre dopiero w 1991 r. Niedługo przed tym, jak został premierem RP. I nie była to fascynacja od pierwszego wejrzenia. Pamiętam, jak Olszewski został jesienią 1991 r. premierem, a wkrótce dowiedziałem się, że krąg nieco starszych kolegów z Polskiej Partii Niepodległościowej i FMW znalazł się w rządowej orbicie, głównie w MON, za sprawą Jana Parysa i Romka Szeremietiewa. Nie wierzyłem wciąż, że to się może udać, bo od 1988 r. nie wierzyłem Wałęsie i „okrągłostołowiczom”. Pamiętam takie późnojesienne spotkanie na Uniwersytecie Gdańskim z byłym już premierem Janem K. Bieleckim, który brutalnie atakował świeżo upieczonego premiera. Próbowałem – pamiętam – zadać pytanie na temat patologii gospodarczych i finansowych, o których mówił wówczas publicznie Olszewski, ale w czasie formułowania pytania zaczęto mnie wytupywać, klaskać i rechotać. Pomyślałem sobie, że coś w tym Olszewskim musi być superpozytywnego, skoro już na wstępie budzi taką nienawiść! Takie były odczucia środowiska, z którego wyrastałem i siłą rozpędu wciąż w nim trwałem.

Zaktywizowało mnie (i nas) dopiero odwołanie Parysa z MON wiosną 1992 r. Wówczas uznałem, że rząd Olszewskiego jest jednak moim rządem, pomimo zasiadania w nim Krzysztofa Skubiszewskiego czy Andrzeja Olechowskiego. Współtworzyłem zatem trójmiejski Komitet Obrony Parysa (później przekształcony w Ruch III RP). Tak więc w noc z 4 na 5 czerwca 1992 r. wchodziłem już jako pełnowymiarowy „olszewik”, żeby użyć pogardliwego języka środowiska niszczącego rząd i Olszewskiego jako człowieka. Byłem tym wszystkim przybity, ale i szczęśliwy – zwłaszcza po słowach Kazimierza Świtonia z trybuny sejmowej o współpracy Wałęsy z SB – że od teraz wiem na 100 proc., na czym polega spór o Polskę! I co miał na myśli premier Olszewski, pytając, czyja będzie Polska.

To wszystko wydaje mi się ważne, bo wtedy się zrodziłem jako przyszły historyk i badacz kulis III RP. W czerwcu byłem maturzystą i marzyłem o studiach historycznych. Pamiętam, że w tę straszną noc z 4 na 5 czerwca 1992 r. pomyślałem sobie, że kiedyś chciałbym to wszystko opisać, pokazać, jak było naprawdę. I tak się stało! W 2008 r. ukazała się nakładem IPN książka „SB a Lech Wałęsa”, w której wspólnie z Piotrem Gontarczykiem opisaliśmy tajemną kuchnię zniszczenia rządu Jana Olszewskiego. Książka ta pozostaje wciąż najpełniejszym naukowym opracowaniem tamtego spisku, w którym chodziło o dwie kwestie: ochronę interesów rosyjskich w Polsce i ratowanie agentury przed dekonspiracją (w sumie na jedno wychodzi). Pamiętam swoje spotkanie – pierwsze prywatne – z premierem Olszewskim w Kancelarii Prezydenta RP w zasypanym książkami gabinecie. I tę jego radość, że prawda o 4 czerwca 1992 r. doczekała się naukowego opracowania.

Premier, wówczas już doradca prezydenta Lecha Kaczyńskiego, nie wierzył jednak w siłę bieżącą słowa pisanego. Studził mój optymizm i zapowiadał, że teraz przyjdą dla nas (i dla mnie osobiście) ciężkie czasy odwetu. Tak się stało. Urealnił mnie jeszcze bardziej. Na zawsze! Dziękuję, Panie Premierze! ©℗

eprasa.pl de79146524

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Kto nocą stoi przy windzie?

Ciekawe, o czym oni teraz wszyscy myślą, stojąc przez całe noce przy windach? Ciekawe. Może zresztą nie całe noce, tylko tak od czwartej czy piątej nad ranem? Niewesołe to rozmyślania, ale jakby coś, to sztuka zawsze pomaga. Zawsze.

Czasy bywają brzydkie, a literatura piękna. Takiego Juliana Barnesa weźmy i jego bohatera w „Zgiełku czasu". Piękna literatura. W tejże jego powieści Szostakowicz kompozytor stoi całe noce przy windzie i sobie spokojnie czeka, choć we wnętrzu niespokojnie, na czekistów z walizką. Bo on wie, że oni przyjdą, ale nie wie kiedy, a przecież po co rodzinę budzić, żonę, dzieci, nieprzyjemna to sytuacja.

Tak z ciekawości, szczególnie do mieszkańców apartamentowców warszawskich adresuję apel, ale nie tylko: weźcie w nocy się wychylcie zza drzwi swoich i zerknijcie, kto tam przy windzie stoi. Najbardziej prawdopodobni są byli pracownicy spółek Skarbu Państwa. A w walizce szczoteczka, trochę książek, bielizna i cebula. Smartfon można wziąć, ale zabiorą…

Czasy bywają brzydkie, a literatura piękna. Jakby się wahadło zmieniło, to też będą stać przy windach menedżerowie spółek Skarbu Państwa, tylko po prostu inni. Książkę polecam z serca, można czytać w fotelu, można na pryczy, może menedżer, może też prokurator, bo przecież prokuratorzy też mają fotele, ale także mieszkają przy windach.

A komu jedzie winda? Tego nigdy nie wiadomo. Nawet ci bardzo ważni prokuratorzy przy windach mieszkają dziś w górę, jutro w dół, a czasem zachowują się, jakby nie mieszkali. Krótkowzroczne. Z tym wahadłem to problem, nigdy nie wiadomo. Ale książkę polecam. Piękna literatura.

Z innej beczki. Obserwuję tak z nolensem wolensem karierę pani Żyły, którą rzucił pan Żyła, skoczek narciarski. Bardzo lubię pana Żyłę, gdyż jest wesoły i skacze, a nie z powodu rzucania kogoś, bo to sprawy trudne, indywidualne. Trzeba przyznać, że kariera pani Żyły od czasu porzucenia jej przez męża niezwykle przyspieszyła. Wcześniej była tylko tłem zaledwie, a po rzuceniu była najważniejszym punktem na okładce „Playboya" na golasa. W środku też na golasa, widziałem, ale się nie przyznam. Nie oszukujmy się, celebrytką prawdziwą się stała pani Żyła dzięki temu, że ją mąż porzucił. Kto wie, czy nie dojdzie teraz do serii pozwów sądowych i pretensji tych wszystkich kobiet marudzących w pretensjach? Już sobie wyobrażam taką kwestię żonki jakiejś zawiedzionej do męża: „Ty nieudaczniku, to nawet mnie rzucić nie potrafisz dla innej i zdradzić?! A inne zdradzone i porzucone to kariery robią! A ja co?! Nieudaczniku ty!".

Z drugiej jednak strony rodzi to pewną pokusę, czy może nawet wymówkę, pretekst dla tych mężów obrzydliwych zdradzaczy: „Rzucam cię, kochanie, gdyż pragnę szczęścia twego i rozkwitu twej kariery nie mniejszej niż ta pani Żyły".

A windy jeżdżą w górę i w dół… ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Z mlekiem matki

Proszę sobie wyobrazić następującą sytuację: trwa kampania parlamentarna, a na jej finiszu polska delegacja wybiera się w prestiżową podróż do Jerozolimy.

Za chwilę odbędzie się tam szczyt dotyczący rosyjskiego zagrożenia militarnego dla Europy Wschodniej. Przylecą przedstawiciele Ameryki, grupy V4, krajów bałtyckich – poważna sprawa. I choć umówiono się zakulisowo, że temat Rosji będzie poruszany delikatnie, to Mateusz Morawiecki na pierwszej konferencji prasowej mówi, iż to spotkanie stanowi świetny moment na zastanowienie się, jak mogłaby wyglądać wojna z Moskwą. Amerykańska dziennikarka relacjonująca szczyt wspomina o izraelskiej okupacji Strefy Gazy, a szef Departamentu Stanu przypomina premierowi Netanjahu, aby uszanował niepodległość Autonomii Palestyńskiej. Na odchodne na konferencji prasowej Morawiecki rzuca, że kolaborujący z komunistami Żydzi nigdy nie ponieśli kary za swoją rolę w stalinowskim aparacie bezpieczeństwa. Dopytywany przez szefa izraelskiego MSZ o kontekst słów, mówi w rozmowie telefonicznej, że nie miał na myśli całego narodu, ale poszczególnych jego przedstawicieli.

Już w Polsce nasz minister spraw zagranicznych uznaje jednak, że tłumaczyć z historii nikomu się nie będziemy, bo „Żydzi wyssali antypolonizm z mlekiem matki". Przedstawiciele polskiej opozycji prześcigają się w potępiających politykę historyczną Izraela wypowiedziach, idą wybory. „Izrael nie będzie nam dyktował, jak wygląda nasza historia" – piszą czołowi publicyści.

A teraz odwróćmy perspektywę, aby zrozumieć, że coś, co brzmi jak political science fiction, wydarzyło się naprawdę, ale w stosunku do naszego kraju. Z jedną różnicą – nawet wypowiedzi tak rasistowskie i odrażające jak zdanie szefa izraelskiego MSZ o „antysemityzmie w mleku polskich matek" są u nas podstawą do dzielenia włosa na czworo.

Ów cytat „funkcjonuje w przestrzeni publicznej, ale jak większość tego rodzaju sformułowań jednocześnie zawiera prawdę, ale nie obejmuje całej społeczności" – powiedział ks. Wojciech Lemański w programie „Newsweek Opinie". „[…] polski antysemityzm istniał cały czas i jest niezbywalną częścią składową życia publicznego" – dodaje w TVN24 była ambasador w Izraelu, Agnieszka Magdziak-Miszewska. Na pytanie prowadzącego o to, co jest większym problemem – antysemityzm w Polsce czy antypolonizm w Izraelu – tłumaczy: „Zdecydowanie polski antysemityzm, naprawdę". O siebie wartych „żydowskich i polskich nacjonalistach" piszą Jarosław Kurski i Tomasz Lis. W tym samym czasie na portalu Haaretz dziennikarz Bradley Burston wykrzykuje: „Polacy z większym zapałem ścigali Żydów, niż robili to naziści". Przepraszajmy wszystkich za wszystko dalej. ©℗

eprasa.pl de79146524

OKIEM BLOGERKI

Kryształ ciut matowy

KATARYNA

***JAROSŁAW GOWIN:** Jarosław Kaczyński to stuprocentowy cynik. Fanatyczna wiara w słuszność celów usprawiedliwia w jego oczach sięganie po dowolne środki. Nie ma w polskiej polityce człowieka równie bezwzględnego jak on.*

To oczywiście słowa wicepremiera sprzed siedmiu lat, kiedy jeszcze przymierzał się do wygrania z Tuskiem walki o przywództwo w Platformie i jeszcze nie mógł wiedzieć, że najwyżej w swojej politycznej karierze zajdzie właśnie dzięki Kaczyńskiemu. Dzisiaj by tego nie powtórzył, to oczywiste.

Nie mam niestety wątpliwości, że w sprawie Srebrnej smród robi się coraz gęstszy

Ale jutro? Pojutrze? Być może po bliższym poznaniu prezesa wicepremier radykalnie zmienił zdanie o nim, a może po prostu wtedy, kiedy niczego mu nie zawdzięczał ani nie przypuszczał, że kiedyś będzie, był bardziej szczery w ocenie?

Nie będzie jednak o Gowinie, po prostu jego słowa przypomniały mi się, gdy przy okazji „afery taśmowej" cała Polska roztrząsa, czy powszechnie znanego ze skromności Kaczyńskiego mogło być stać na to wszystko, o co jest oskarżany przez człowieka marnej reputacji, mającego na poparcie oskarżeń niewiele ponad marne poszlaki. Czy prezes, który po raz pierwszy do władzy szedł pod hasłem „rewolucji moralnej", mógłby posunąć się do namawiania kogoś do przekupienia księdza tylko po to, żeby usunąć jedną z przeszkód w postawieniu wieżowca? Jeśli wierzyć Gowinowi, to „fanatyczna wiara w słuszność celów usprawiedliwia w jego oczach sięganie po dowolne środki". Czy nie mógł więc uznać, że cel, jakim jest budowa „prawicowej odpowiedzi na Fundację Batorego", nie jest wart pewnych moralnych kompromisów? A że te kompromisy okazały się ogromne? Dzieło też miało być ogromne, więc na pewnym etapie mógł uznać, że są ich warte. I chyba właśnie zaczyna się przekonywać, jak bardzo nie były warte.

Jeśli wierzyć dziennikarzom, to tajemniczy (nie)ksiądz zwolnił się z pracy, nie wiadomo, gdzie jest, być może za granicą. Jeśli się prędko nie odnajdzie, to opinia publiczna zostanie z wersją austriackiego męża kuzynki prezesa, który twierdzi, że z polecenia prezesa przekazał łapówkę dla księdza. Na razie i prezes, i ksiądz zachowują się tak, jakby im ani trochę nie zależało, żeby te oskarżenia obalić, a prezes jest w polityce zbyt długo, żeby się nie łudzić, iż w roku podwójnych wyborów taka sprawa sama rozejdzie się po kościach. „Taśmy Kaczyńskiego" są w politycznej agendzie wystarczająco długo, żeby tęgie głowy od zarządzania kryzysowego podrzuciły wreszcie opinii publicznej jakąś alternatywną dla austriacko-giertychowej narrację. Opozycja i tak w nią nie uwierzy, ale przynajmniej własny elektorat będzie miał jakiś punkt zaczepienia i nie będzie musiał na wszystko odpowiadać argumentem o skromnym ubiorze jako koronnym dowodzie na kryształową uczciwość prezesa.

Osobiście nie mam wątpliwości, że prezes nie napycha własnych kieszeni. Nie mam też niestety wątpliwości, że w sprawie Srebrnej smród robi się coraz gęstszy. Uczciwie byłoby wreszcie odpowiedzieć na trudne pytania, w przeciwnym razie opinia publiczna uwierzy w odpowiedzi udzielane przez przeciwników. ©℗

PODSŁUCHANE

Może jakoś inaczej?

No nie, Sławek, trzeba coś z tym Biedroniem zrobić. Wchrzania nam się ciągle, postponuje, od dinozaurów wyzywa, poparcie odbiera. Ja mam dość.
Grzesiu, przecież to proste: trzeba ludziom zacząć przypominać, że on jest pe...

Stop! Nawet prywatnie tak nie mów!
Ale jak to? Przecież zawsze tak o nim mówimy.

Mówiliśmy. Chcesz, żeby to ktoś nagrał i potem żeby była kompromitacja?
Ale kto ma nagrać? Przecież tu tylko my jesteśmy w pokoju. I w sumie gołe ściany, nawet nie byłoby gdzie schować nagrywarki.

A bo ja wiem? Kaczor też myślał, że niby sami swoi są. I co?
Ale co – że mnie podejrzewasz? Mnie?!

Ja każdego podejrzewam z zasady, dlatego jestem tu, gdzie jestem. A jeśli chodzi o Biedronia, to wszyscy wiedzą, że on jest... No, wiesz. Przecież on na tym właśnie karierę zrobił, to jak mają nie wiedzieć?!
To może jakoś inaczej... Na przykład, że on tego swojego partnera zdradza. Z kobietą! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Chciałabym doprowadzić do postawienia Kościoła rzymskokatolickiego przed Trybunałem w Hadze".

***JOANNA SCHEURING-WIELGUS**, posłanka partii Teraz!, o tym, dlaczego rozważa start w wyborach do Parlamentu Europejskiego*

eprasa.pl de79146524

fot. Jerzy Gumowski

Lewa(tywa)

Dziś będę się wymądrzał à propos starej i nowej lewicy, bo w obu tych obszarach przedwiośnie przyniosło rzeczy ciekawe — o nowej nad Wisłą, a o starej za granicą (wejście starego SLD do Koalicji Europejskiej PO nie stanowi moim zdaniem ważnego *„newsa”*). Pisanie na temat lewaków to u mnie rygor tradycji, chłoszczę bowiem lewactwo (także wszelaką partyjną *„lewicę”*) już kilka dekad drukiem oficjalnym (wcześniej *„bezdebitowym”*), mając ku temu większe prawo niż rozmaici *„ludzie pióra”* III RP grający zawodowych antykomunistów, gdyż w przeciwieństwie do nich (Rymkiewicz, Nowakowski i in.) nigdy wcześniej nie biłem braw żadnemu lewactwu, żadnej *„komunie”* (a już ubekom czy esbekom zwłaszcza), nawet jedną sylabą nie pochwaliłem gangreny (a tym bardziej nie czapkowałem jej, nie hołdowałem — nul!). Dzisiaj też przyłożę lagą, a nie laurką.

Pierwszy miesiąc roku zaserwował dwie ciekawostki. Lewicowe gazety europejskie (**„Guardian”** itp.) opublikowały alarmistyczny apel *„30 czołowych intelektualistów”* (ze strony polskiej sygnowany przez Michnika, Zagajewskiego i Applebaum czyli mrs Sikorską), wymierzony we wszelką prawicę, która jest *„pijana nienawiścią”*, dysząca *„pogardą dla inteligencji i kultury”*, pełna *„ksenofobii oraz antysemityzmu”*, dążąca do *„spalenia naszej wolności, obrócenia jej w zgliszcza bez duszy i ducha”*. Ciekawostka polega tu na tym, że tę właśnie robotę — obracanie europejskiej tożsamości w zgliszcza bluźnierczą kontrkulturą i dechrystianizacją — wykonuje konsekwentnie (*„marsz przez instytucje”*, według Gramsciego) lewicowy Salon będący pepinierą sygnatariuszy apelu!! Jednak trzeba ich zrozumieć: dygoczą ze strachu widząc jak od Europy (Kaczyński, Orbán, Salvini, i in.) po antypody (brazylijski Bolsonaro, kolumbijski Duque, argentyński Macri, i in.) rozpędza się *„rewolucja konserwatywna”* prawicowców.

Również w styczniu padł francuski dziennik **„L'Humanité”**, która to nazwa nic nie mówi dzisiejszym młodziakom, jednak dla starszych pokoleń ta firma (urzędowy organ FPK — Francuskiej Partii Komunistycznej) miała siłę dzwonu jako legendarne papierowe medium zachodnioeuropejskiej lewicy, odpowiednik **„Prawdy”** moskiewskiej królującej na europejskim Wschodzie. W ostatnich latach **„L'Humanité”** próbowała się jeszcze ratować lansowaniem politpoprawnych nowości (*„gender”* itp.), lecz to nie pomogło. Wedle prawicowych komentatorów owa plajta stanowi *„finał komunizmu nad Sekwaną”*, wszakże nie koniec lewactwa jako takiego, wbrew zapewnieniom modnego pisarza, Michela Houllebecqa, że *„francuska lewica dogorywa na łożu śmierci”* (2017). Tenże sam literat słusznie wcześniej wskazywał: *„Przez cały XX wiek intelektualną debatę monopolizowała występna lewacka hołota”* (2016). Niestety — duch Sartre'a nie obumarł zupełnie u salonowych elit zachodnioeuropejskich oraz północnoamerykańskich, tylko się zmodyfikował: zostawił za sobą toporny Heglizm–Marksizm–Engelsizm, pseudofilozoficzne piruety Szkoły Frankfurckiej, a nawet ortodoksyjny Gramscizm i neoleninowski Żiżkizm, by wyewoluować w dzisiejszą apologię LGBTQ tudzież innych politpoprawnych sprośności, sprzedawanych jako humanizm nowego Raju, przeznaczonego dla oświeconych lewacko w dużych miastach.

Do nas też zawitała Wiosna zimą — zjawił się nad Wisłą nowy (po Palikocie i palikociętach) sprzedawca tychże świecidełek. Fałszywych, co już mu wytknęli internauci i spece z mediów, bo w swym założycielskim partyjnym exposé wykazał kompletne polityczne i ekonomiczne dyletanctwo, bredząc na temat spraw gospodarczych metodą kwiestionowania grawitacji, a także robiąc obiecanki torpedujące kilka paragrafów konstytucji. Ów falstart był tylko retoryczny, nie zaś sondażowy, politpoprawni kupili te ględy z entuzjazmem, wszakże u reszty pozostał niesmak. Stara zdrowa zasada: na każdy temat wypowiadać się publicznie powinni jedynie ludzie kompetentni, znający zagadnienie, gdy bowiem głos zabiera ignorant lub dyletant, czuje się fuszerkę, exemplum sztuka Oscara Wilde'a pt. **„Mąż idealny”** (1895), która dowodzi, że jej autor nie ma pojęcia o kobietach, o uczuciach mężczyzn do kobiet i w ogóle o stosunkach damsko–męskich, jak to pederasta.

> *„Nie zastanawiaj się kto stoi za Biedroniem — sprawdź czy Biedroń nie stoi za tobą”*

Słupski pederasta przemawiając zionął pokojem i miłością, obiecując m.in. *„wojnę polsko–polską”* ugasić, ale laniem benzyny na ogień, bo jego spicz był totalnym (wręcz totalitarnym) atakiem przeciwko wszystkiemu co normalne i religijne, gwoli ofensywy *„liberalnych”* dewiantów, dla których jest istotnie mężem idealnym. No i gwoli satysfakcji tajemniczych sponsorów, którzy pragnąc zrealizować swoje kombinacje polityczne (wyautowanie wcześniejszej lewicy partyjnej — SLD, Razem?; odebranie Platformie części elektoratu?; czy tylko zaspokojenie własnej ambicji/pazerności?) sfinansowali dużą imprezę założycielską oraz rozkręcanie się „partii” Wiosna. Mem internetowy, asekurujący przed lewatywą: *„Nie zastanawiaj się kto stoi za Robertem Biedroniem — sprawdź czy Biedroń nie stoi za tobą”*. Gdy stoi przede mną na ekranie telewizora i agituje, cisną mi się pod pióro strofy Hemara o takim politcwaniaczku:

„Słuchając go, zażenowaniu
Jakoś się oprzeć nie mogę,
Że wciska ludziom świństwa
Przywdziawszy świątka togę.

On we mnie nawet frajdę
Pisania truje, bo jaka
Przyjemność karcić nikczemność
Wartą tylko kopniaka”.

Każda lewica (zwłaszcza agresywna) warta jest kopniaka. Maurizio Bettini: *„Lewica zawsze niesie kłopoty, groźbę i chaos”*; Paul Johnson: *„Lewica jest zdolna do popełniania niesprawiedliwości bądź okrucieństw w stopniu dotychczas nieznanym, i gotowa jest tłumić prawdę w imię własnej «wyższej» prawdy”*; Martin Kriele: *„Lewicowe schematy myślowe tkwiące wewnątrz mózgu wytwarzają wokół niego coś na kształt żelaznej skorupy nieprzepuszczającej doń prawdy”*; George Orwell: *„Lewicowość jest rodzajem fantazji masturbacyjnej, dla której świat faktów nie ma większego znaczenia”*; Roger Scruton: *„Lewica to fabryka nonsensów”*; Nicolás Gómez Dávila: *„Lewica nie zawsze morduje, lecz zawsze kłamie”*; Oscar Romero: *„Dlatego właśnie my, chrześcijanie, nie możemy być lewicowcami”*; Antoine de Saint–Exupéry: *„Jeśli pozwolisz, by robactwo się rozmnożyło, rodzą się prawa robactwa. I rodzą się piewcy, którzy będą je wysławiać”*.

Lewicowe robactwo mnoży się powielając trik owych facetów, którzy seryjnie łowią kobiety: sztuka polega na tym, aby kobieta wzięła cię za takiego, jakiego udajesz. Głosujące społeczeństwa lubią czarujących udawaczy typu Biedronia, a niebezpieczeństwo nie tkwi w tym, że nie spełnią oni wyborczych obietnic, tylko przeciwnie — że je spełnią (Dávila: *„Prawdziwa tragedia ma miejsce wtedy, kiedy lewica realizuje swój obiecany program”*). Doskonale pamiętam, że w ręce Zachodu (NATO itd.) oddali nas ekskomuniści, takie *„przechrzty”* jak Leszek Miller, więc boję się nie ich, tylko pedolalusiów nowej generacji. Partiopodobny ruch Wiosna to klasyczna *„lewica kawiorowa”*, choć szermuje radykalizmem wprost drapieżnym, robespierowskim, politpoprawnie jakobińskim, bać się tedy mogą nie tylko ich lewicowi konkurenci (dla każdej lewicy *„wróg z lewej”* jest dużo groźniejszy od *„wroga z prawej”*, co wiedzieli już bolszewicy mordujący eserowców) — również prawica i całe społeczeństwo, bo jak o *„rzeczach dziwnych”* pisał międzywojenny literat Juliusz Baykowski: *„Widziałem uczniów Marksa piszących soctraktaty w lektykach niesionych przez niewolników”* (1929). Dzisiaj zwiemy takich nygusów właśnie *„lewicą kawiorową”*. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl de79146524

APLIKACJA BANKOWA IKO PO RAZ KOLEJNY NAJLEPSZA NA ŚWIECIE

Bank Polski

100 1919/2019

Aplikacja mobilna IKO PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z lutego 2019 r., obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.

eprasa.pl de79146524